W PREZENCIE

NA DZIEŃ DZIECKA

PIĘKNE GRY PLANSZOWE DLA CAŁEJ RODZINY

WYŁAPUJEMY KŁAMSTWA O POLSCE



MASTALEREK O KAMPANII DUDY I WEJŚCIU TRZASKOWSKIEGO



JESIENIĄ WIRUS ZNÓW MOŻE UDERZYĆ

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 23 (392) 2020
1–7 czerwca 2020
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

UJAWNIAMY SZOKUJĄCY RAPORT



TAK ZAATAKUJE ROSJA

DOTARLIŚMY DO SCENARIUSZA ATAKU MILITARNEGO NA POLSKĘ I EUROPĘ

POLSKIE INSTYTUCJE I MEDIA JUŻ DZISIAJ SĄ NA CELOWNIKU CYBERWOJSK PUTINA

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

CYFROWY POLSAT

NAJLEPSZE BAJKI, FILMY I SERIALE

Na start 3 miesiące TV bez opłat

Telewizja na Twoich zasadach z funkcjami TimeShift, reStart i CatchUP.













Oglądaj tak, jak Ci wygodnie

SAT TELEWIZJA SATELITARNA

IPTV TELEWIZJA KABLOWA

OTT TELEWIZJA INTERNETOWA

Promocje dla nowych Klientów przy umowach z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe. „Bez opłat" nie dotyczy opłaty jednorazowej za aktywację dekodera, usług dodatkowych na czas nieokreślony, a w przypadku oferty telewizji kablowej IPTV i telewizji internetowej także opłat za internet. Funkcje TimeShift, reStart i CatchUP dostępne dla wybranych programów w ramach pakietów wykupionych przez Abonenta, a w ofercie telewizji satelitarnej dostępne są po podłączeniu do internetu na dekoderach EVOBOX LITE i EVOBOX HD. Szczegóły w Warunkach Oferty, Regulaminie Promocji i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl. Oferta ważna na dzień 15.05.2020 r.

„Kontra: Sieć" © MGM Television Entertainment Inc. and Bluebush Productions, LLC. „Pewnego razu w... Hollywood" © 2019 Visiona Romantica, Inc. „Angry Birds 2: Film" © Sony Pictures. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Jesteśmy wielką wspólnotą. Już 30 tys. podpisów

Im dalej od przełomu 2015 r., tym bardziej blaknie pamięć o tym, jak zablokowane, niedemokratyczne, zamordystyczne może być życie publiczne. Dziś to niewyobrażalne, ale to wcale nie tak dawno wszystkie stacje telewizyjne i wielkie gazety to samo śmieszyło, oburzało, w tej samej orkiestrze, różniącej się zaledwie półtonami, grały. Niektórzy za tym tęsknią, nazywając to „jednością środowiska" – ja nie. To było chore.

Całe pokolenie dziennikarzy i wielu innych ludzi aktywnych publicznie dzięki zmianie roku 2015 dostało możliwość uczestnictwa w życiu publicznym. Otworzono, odblokowano, wiele drzwi. Dla polskiej demokracji, dla naszej republiki – rzecz bezcenna.

Ale jednocześnie ci sami ludzie domagają się dzisiaj, by człowiek, który tę zmianę w ogromnej mierze umożliwił, był na antenie radia publicznego kopany i poniewierany szyderczą, nieuczciwą piosenką. Utworem, którego nawet stacje komercyjne nie grają (ponoć słaby – ja się nie podejmuję artystycznej oceny), jego pompowanie ma więc charakter złośliwego sypania soli na rany.

Dlaczego zatem aż tylu z tej grupy zawołało: „Bez tej piosenki nas w tym radiu nie ma?". Odpowiedź jest prosta i smutna zarazem: rządy prawicy wiele blokad przełamały, ale wielu z tych, którzy w ostatnich latach weszli z sukcesem w przestrzeń publiczną, przestawił się cel. Zamarzyli o uzyskaniu autoryzacji przez salon III RP, o uznanie „Gazety Wyborczej", o zaproszeniach na śniadanka w telewizji. Jedni pokiwają głową nad wiecznie próżną naturą ludzką, inni nazwą to pękaniem – ale jest to zauważalny fakt społeczny.

Pierwszy i bardzo ciekawie napisał o tym zjawisku Jacek Karnowski, który zapytał: „Dlaczego tak wielu krzyczy: »Tak, niech skaczą po tym bólu«? To nie tylko nikczemne i tanie, ale także po prostu głupie". Warto też pamiętać, że sam Kazik o Smoleńsku nigdy nic nie zaśpiewał – widocznie go tamten dzień nie zabolał na tyle, by artystycznie cokolwiek wyrazić. Pewnie też nigdy nie był na obchodach rocznicy tej tragedii – wiedziałby, ilu ludzi przemierzało setki i tysiące kilometrów, by dać świadectwo, że nie zapomnieli, by oddać hołd, by pokazać państwowy i narodowy wymiar straty. To ma znaczenie, gdy pytamy, czy epidemia zwalniała nas z obowiązku pamięci.

My – to znaczy wielka wspólnota naszych Czytelników. Już 30 tys. osób nadesłało nam podpis pod deklaracją, którą ogłosiliśmy dwa tygodnie temu, a która głosi m.in.:

„My, niżej podpisani, wyrażamy nasze wsparcie i uznanie dla osób, które 10 kwietnia 2020 r., w 10. rocznicę katastrofy smoleńskiej, uczciły pamięć ofiar tej tragedii.

Oddanie hołdu śp. prezydentowi Lechowi Kaczyńskiemu, jego małżonce, a także wszystkim ofiarom, było obowiązkiem naszej wspólnoty – zarówno tej najszerszej, narodowej, jak i tej szczególnie mocno zjednoczonej pamięcią o tamtych tragicznych wydarzeniach. Dotyczy to zarówno pomników poświęconych ofiarom, jak i miejsc, gdzie zostały pochowane. Wyjątkowe okoliczności, wywołane epidemią, nie stanowiły i nie mogły stanowić przeszkody, która uniemożliwiałaby wypełnienie tego obowiązku przez przedstawicieli środowisk szczególnie poszkodowanych 10 kwietnia 2010 r., i później szczególnie wyraźnie pielęgnujących pamięć o Tych, których straciliśmy w Smoleńsku".

Idzie trudny czas. Obóz III RP rzuca wszystkie zasoby na wybory prezydenckie – one na długo rozstrzygną bieg spraw w Polsce. Mnożą się prowokacje i fałszywe informacje, ruszają kampanie nagonkowo-wzmożeniowe. Jednocześnie kilku w obozie propolskim wyraźnie się znudziło, zgnuśniało, uległo presjom. Krok po kroku przechodzą na drugą stronę albo uchylają się od walki o prawdę. Widzimy to wszyscy. Trudno. Najważniejsze, że Polacy w większości rozumieją stawkę, o jaką toczy się gra, i dobrze odczytują narodowy interes.

Mogę zapewnić, że mimo ciągłych ataków i nagonek my linii broniącej polskiej racji stanu nigdy nie zdradzimy, dziedzictwa, które zostawił nam wszystkim śp. prezydent Lech Kaczyński, nie porzucimy.

Ale to też możliwe tylko dzięki temu, że możemy liczyć na Państwa. Dowiódł tego także bardzo duży odzew na naszą prośbę o zakup prenumeraty (zwykłej lub elektronicznej) tygodnika „Sieci". To najlepsza forma pomocy dla naszego zespołu. I tę cegiełkę wciąż można wykupić.

Michał Karnowski



Reklama | 9/0320/F

eprasa.pl 0a823495aa

SIECI spis treści



18 *Twoje zdrowie – bezpiecznie i wygodnie online* *Anna Raciniewska*



33 Sposób na Trzaskowskiego *Stanisław Janecki*



44 Gra ekologów wokół przekopu mierzei *rozmowa Aleksandry Jakubowskiej*

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **PRZERĄBANE DZIECIŃSTWO**
Dorota Łosiewicz

9 **ZNISZCZYĆ SZUMOWSKIEGO**
Bronisław Wildstein

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **ZABÓJCZE LISTY POPARCIA**
Jan Pietrzak

13 **KREM, SPOT I ŁZY**
Krzysztof Feusette

14 **ZDJĘCIA Z PODRÓŻY DARKA MALEJONKA**
Michał Korsun

15 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **MIESZKANIA ZE WSPARCIEM**
Marta Kaczyńska-Zielińska

21 **KAŻDY LEK NIEWŁAŚCIWIE UŻYTY…**
Maciej Pawlicki

TEMAT TYGODNIA

24 **POLSKA W NIEBEZPIECZEŃSTWIE**
Marek Budzisz

30 **ZE STANISŁAWEM ŻARYNEM**
rozmawiają Marek Pyza i Marcin Wikło

KRAJ

33 **SPOSÓB NA TRZASKOWSKIEGO**
Stanisław Janecki

36 **Z MARCINEM MASTALERKIEM**
rozmawia Michał Karnowski

40 **WINA I NIEWINNOŚĆ SZUMOWSKICH**
Jan Rokita

44 **Z DR. GRZEGORZEM CHOCIANEM**
rozmawia Aleksandra Jakubowska

47 **CZY TO JUŻ KONIEC PANDEMII?**
Konrad Kołodziejski

50 **Z DARIUSZEM PIONTKOWSKIM**
rozmawia Dorota Łosiewicz

54 **KRÓL WNUCZKÓW Z KRÓTKĄ WIZYTĄ W ARESZCIE**
Maja Narbutt

SIECI KULTURY

59 **BIEGNIJ OLA, BIEGNIJ**
Jolanta Gajda-Zadworna

62 **POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

HISTORIA

64 **NA NIEMIECKIM POSTERUNKU**
Piotr Gontarczyk

GOSPODARKA

68 **Z MARCINEM CHLUDZIŃSKIM**
rozmawiają Michał Karnowski i Maciej Wośko

ŚWIAT

71 **POLSKA JAKO UPIÓR**
Aleksandra Rybińska

KUCHNIA

74 **MOJE SMAKI: Z MENU FLORKI**
Jolanta Gajda-Zadworna

75 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

76 **SILNE PAŃSTWO**
Wojciech Reszczyński

77 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

78 **STOWARZYSZENIE MIERNOT**
Aleksander Nalaskowski

79 **ŚLĄSKIE TACZKI**
Wiktor Świetlik

80 **GRA NA CHAOS**
Ryszard Makowski

81 **NA DZIEŃ MATKI, NA DZIEŃ DZIECKA**
Leszek Długosz

82 **WIELKA NIEOBECNA**
Andrzej Zybertowicz

Reklama | 46/0520/F

eprasa.pl 0a823495aa



PKO BANK POLSKI LIDEREM W DYSTRYBUCJI SUBWENCJI Z TARCZY FINANSOWEJ PFR

Bank Polski

40 mld zł z PFR trafiło już do firm i ich pracowników. Najwięcej za pośrednictwem PKO Banku Polskiego. Z dumą wspieramy naszych klientów. Dziękujemy za zaufanie.

Tarcza Finansowa PFR

eprasa.pl 0a823495aa



Sygnalista nadaje

Donald Tusk skomentował konferencję liderów Zjednoczonej Prawicy w sposób, który właściwie domyka jego ewolucję „od premiera do hejtera", o której pisaliśmy w tygodniku „Sieci" kilka tygodni temu: „Chciałbym zdjąć to odium, że ta władza jest groźna. Słuchając dzisiaj Kaczyńskiego, chciałbym powiedzieć: »Nie strasz, nie strasz, bo się...«. Wiecie, o jakie powiedzenie chodzi, nie chcę go kończyć, bo nie ma jeszcze 22". Jeśli tak mówi w telewizji, to jak mówi do bliskich czy współpracowników ten „inteligent"?

Tusk kontynuował swoją „diagnozę": „Mamy do czynienia z ekipą bezradną, to ciamajdy, to ludzie, którym wszystko wylatuje z rąk. Trzeba odsunąć tych ludzi od władzy". Cenne słowa. Przekonanie, że PiS to głupcy, którzy niczego nie potrafią i nic nie rozumieją, utorowało Zjednoczonej Prawicy drogę do kolejnych zwycięstw i wygląda na to, że utoruje do kolejnych.

Lech Wałęsa: „Wiele pytań do mnie po powołaniu przez prezydenta Dudę Panią na prezes Sądu Najwyższego. Moja opinia... Sk...syn musi być rozliczony". Ciekawe, że Tusk i Wałęsa brzmią tak podobnie. Może dlatego tak dobrze się dogadywali?

Marszałek Senatu ***Tomasz Grodzki***: „Powaga Rzeczypospolitej nie ucierpiałaby na tym, gdyby 6 sierpnia prezydent Duda opuścił swój urząd". I dalej: „Może być tak, że Polska nie będzie miała prezydenta, konstytucja przewiduje taką sytuację. Ja bym się tego nie obawiał". Tą wypowiedzią Grodzki potwierdził, że państwo polskie powinno się go bardzo obawiać.

Tylko w zeszłym roku stołeczny ratusz przeznaczył 3,6 mln zł na funkcjonowanie placówki o nazwie Biennale Warszawa. Zorganizowała ona m.in. „Społeczną Szkołę Antykapitalizmu", a w jej ramach przeprowadzono następujące zajęcia: „Własność prywatna to kradzież. Własność wspólna to bogactwo", „Taktyki miejskie/uliczna gimnastyka, czyli techniki działania grupowego", „My jesteśmy kryzysem (Kapitału)". Wygląda to na hodowanie lewackich bojówek. Trzaskowski weźmie na siebie krew ewentualnych ofiar?

PortalwPolityce.plrozmawiałzosobami, które dobrze znają Rafała Trzaskowskiego. Oto jedna z relacji: „Rzeczywiście jest bardzo sprawny intelektualnie, ale pozbawiony kręgosłupa. Do tego wiarołomny i nieskuteczny. Dobrze się zapowiadał. Miał być naukowcem. Na polityka nigdy się nie nadawał. Nie jest samcem alfa. Z tym się człowiek rodzi albo nie". A także: „Ma lewackie nachylenie. Wynika to z tego, że młodość spędził w Stanach Zjednoczonych. Jest produktem amerykańskiego systemu kształcenia, w jakimś stopniu wykorzenionym z polskiej kultury". Ten ostatni trop szczególnie ciekawy. Rzeczywiście to polityk, który mógłby kandydować na prezydenta w każdym, dowolnie wybranym, kraju.

Radiowa Trójka ma nowego dyrektora. Został nim Jakub Strzyczkowski, od wielu lat związany z tą stacją. Zapowiedział powrót dziennikarzy, którzy niedawno porzucili Trójkę, oraz… wyrzucenie dziennikarzy prawicowych: „Wszystkich reprezentujących różne tygodniki z przyjemnością zaproszę do komentowania wydarzeń na antenie. Będą naszymi stałymi komentatorami. Wydaje mi się, że cenna poznawczo i intelektualnie jest sytuacja, kiedy z jednej strony mamy komentatora z »Newsweeka«, a z drugiej strony z tygodnika »Sieci«. Ja tak lubię, na pewno bardziej niż układ, gdy mamy dwóch komentatorów z »Sieci«, a z tamtej strony nikogo". Skończy się tak, że z tamtej strony będzie dwóch, a z tej nikogo.

eprasa.pl 0a823495aa

I jeszcze opinia w sprawie znajomości języków, którymi tak chwali się Trzaskowski: „U nas w ogóle źle się to pojmuje, że jeśli ktoś zna języki, to nadaje się do kontaktów międzynarodowych. Język jest tylko instrumentem. Trzaskowski jest narcystyczny i w jakimś sensie niedojrzały emocjonalnie. Jeżeli ktoś ma takie poczucie własnej wartości, że potrzebuje to w taki infantylny sposób akcentować. Poza tym, to jest takie dla maluczkich. Chwalenie się znajomością języków. Dzisiaj są tysiące młodych ludzi, którzy znają języki. Jeszcze trzeba mieć w nich coś ciekawego do powiedzenia". To prawda. Z ust Trzaskowskiego nie padła dotąd ani jedna oryginalna myśl. Albo banały, albo zapożyczenia.



Paulina Kosiniak-Kamysz, żona kandydata PSL na prezydenta, odpowiedziała na pytanie, czy w związku ze słabymi sondażami jej mąż „przestał być tygrysem". „Nie, absolutnie, tygrys dalej jest rozgrzany do walki i nie zamierza się poddać. Będziemy walczyć do samego końca" – zadeklarowała. Walczyć trzeba, ale lider PSL – podobnie jak Hołownia – przespał swoją szansę. Gdyby poparł wybory korespondencyjne, mógłby być drugi. A tak to będzie nawet nie czwarty, ale piąty.



Lewica ma dalekosiężne plany. Na łamach „Krytyki Politycznej" Jan Kapela tak szkicuje przyszłość: „Zakaz posiadania więcej niż jednego mieszkania, a docelowo może nawet zniesienie własności prywatnej powyżej 15 metrów kwadratowych mieszkania na osobę", „Ciepłe prysznice powinny być nie częściej niż raz w tygodniu, a ciepłe kąpiele ewentualnie raz w miesiącu", „nie ma nic gorszego dla klimatu niż przejazdy prywatnymi samochodami, więc docelowo należałoby je praktycznie zlikwidować". Są coraz bliżej wniosku, że najlepiej przysłuży się ludzkości – i klimatowi – masowa eksterminacja.



Jacek Kurski pochwalił się wynikami. „Oglądalność filmów o pedofilii w telewizji linearnej: »Nic się nie stało« (TVP1) 3,5 mln; Debata po filmie 2,6 mln. »Zabawa w chowanego« (TVN) 1,9 mln". Później doprecyzował, iż określenie „pojedynek" było „niefortunne w kontekście tematyki". Ale istota komunikatu jest jasna: to było bardzo udane przedsięwzięcie. Dobre planowanie to niemal zawsze klucz do sukcesu.



Janusz Korwin-Mikke: „Mam 78 lat – i przy życiu trzyma mnie szczera nienawiść do tych najpodlejszych z podłych, którzy rządzą tym państwem, niszczącym mój kraj; którzy wyrzucili na emigrację kwiat naszej młodzieży, a resztę demoralizują zasiłkami". I jeszcze: „Jak się uda obalić III Rzeczpospolitą i na jej miejscu zbudować normalne Państwo Polskie – mam nadzieję dożyć tej chwili – to wtedy pogadamy!". Jedno tylko pozostaje niejasne: czy to będzie rozmowa po niemiecku, czy po rosyjsku.

Rafał Trzaskowski przedstawił program. „Bezrobotnych w Polsce jest już prawie 1 mln. Ludzie tracą pracę, muszą zaciskać pasa. To nie czas na drogie polityczne projekty, ale na nową solidarność. Miliardy na CPK, przekop Mierzei czy PFN należy przeznaczyć na służbę zdrowia, ochronę miejsc pracy i bezpieczeństwo". W sumie: po co nam inwestycje, skoro inwestują już Niemcy.

„Skąd oni biorą tych ludzi, jak ten wojewoda Czarnek?" – spytała na Twitterze była prezydent Warszawy Hanna Gronkiewicz-Waltz. Odpowiedziała sędzia TK prof. Krystyna Pawłowicz: „Haniu, to jest niezwykle utalentowany prawnik, pan profesor Przemysław Czarnek, który łączył wcześniej pracę naukową z pracą w administracji rządowej jako świetny i sprawny wojewoda, a teraz łączy błyskotliwie z pracą poselską. Prof. Czarnka zna cała Polska i ceni za wiedzę i brak kompleksów". Tak, duży talent, może zajść daleko.

Minister rolnictwa ***Jan Krzysztof Ardanowski*** zaapelował do Polaków, którzy pozostają bez pracy, a także do młodzieży i nauczycieli, by przez „kilka–kilkanaście dni popracowali u rolników". Dodał, że to dzięki pracy robotników sezonowych „nauczyciele mają co zjeść". Na ministra posypały się gromy, a szef ZNP Sławomir Broniarz uznał tę wypowiedź za „głupią" i „arogancką". Najszczęśliwsza nie była, ale młodzieży źle by nie zrobiło, gdyby trochę popracowała. Tylko kto jej to powie?

Wiceminister aktywów państwowych Artur Soboń w rozmowie rzucił ciekawy pomysł: państwowa sieć sklepów. „Bylibyśmy obecni od pola do stołu. Sieć sklepów kontrolowana przez państwo byłaby na pewno uzupełnieniem tego, nad czym pracujemy, czyli obecności państwa na kilku rynkach w ramach przetwórstwa produktów rolno-spożywczych". Dodał, że cała operacja musiałaby polegać na przejęciu jednej z istniejących sieci handlowych, ponieważ „organicznie takiej sieci nie zbudujemy". A więc na początek trzeba by kupić coś, co już jest na rynku. Pomysł świetny. Można tylko zachęcić, cytując jednego ze świętych: przestań snuć plany, zacznij działać.

Fot. Andrzej Skwarczyński x2, Andrzej Wiktor M. Czutko

eprasa.pl 0a823495aa

WIEŻA BAB

Przerąbane dzieciństwo

Dzisiejsze dzieci mają wszystko, a jakby nie miały niczego

Trzy dekady z dużym okładem temu nie mieliśmy: komputerów, tabletów, smartfonów, PlayStation, „Fortnite'a", ale mieliśmy przyjaciół i od najmłodszych lat uczyliśmy się budować relacje społeczne. Nie chodziliśmy na balet, jogę, chiński, lekcje gry na harfie, jodłowania, stepowania, nikt nie uczył się tańczyć na rurze, ale świetnie się bawiliśmy, wisząc głową w dół na trzepaku czy grając w gumę. Większość czasu, zamiast na rozwijających zajęciach dodatkowych, spędzaliśmy na powietrzu, i to bez względu na pogodę. Może dlatego mniej chorowaliśmy. Talenty artystyczne rozwijaliśmy, malując kredą po chodnikach. Mimo że nie mieliśmy stu kanałów z bajkami, nigdy się nie nudziliśmy. Ciężko uwierzyć, ale wtedy była tylko dziesięciominutowa „Dobranocka", bo ta półgodzinna to tylko w niedzielę. W głowę zachodzę, jak udawało nam się w ogóle spotkać, skoro nie było telefonów. Zdaje się, że stawało się człowiekowi, z którym chciało się spędzić popołudnie pod oknem, i co sił w piersiach wrzeszczało się jego imię.

W tamtych czasach z okazji Pierwszej Komunii Świętej dostawało się zegarek lub lalkę, a nie quada, drona czy kamerę. Generalnie nie mieliśmy zbyt wielu zabawek, ale te, które mieliśmy – szanowaliśmy. Mój mąż do dziś powtarza, że co roku z niecierpliwością wyglądał Bożego Narodzenia, marząc o zestawie Lego z jednym ludzikiem. Mieliśmy za to kapsle, w które graliśmy, zbieraliśmy historyjki obrazkowe z donaldów i szklane kulki z kolorowymi papierkami w środku. Były też żołnierzyki, ale te mnie akurat nie kręciły. Miałam za to ukochaną szmacianą lalę, z żółtymi warkoczami, w granatowej sukience, którą dostałam od taty, i lalkę Fleur z rakietą tenisową, w niebieskich trampkach. I o ile łatwiej było posprzątać pokój, w którym zamiast 10 zestawów lego i 10 lalek Barbie była jedna (i to – jak dobrze poszło)!

Jak się dobrze zastanowić, to trudno powiedzieć, jakim cudem w ogóle przeżyliśmy dzieciństwo. Przecież nie korzystaliśmy z fotelików samochodowych ani rowerowych. W tym drugim przypadku musiał wystarczyć bagażnik lub rama. Nikt nam nie zabraniał jeść ciepłego chleba prosto z piekarni, a taki z pomidorem i solą był najlepszy. Zimą zjeżdżaliśmy na sankach z najbardziej stromej górki, często lądując na drzewie. I jaka była radość, jak się udało w nie trafić! Po okolicy włóczyliśmy się sami i nigdy nie zaczepił nas żaden pedofil. Może dlatego, że łaziliśmy w grupie. W większości przypadków rodzice przy nas palili, nie myśląc o zgubnym wpływie dymu na młody organizm.

Ponieważ nie mieliśmy nic, często się staramy, żeby nasze dzieci miały wszystko. Czy są szczęśliwsze? Wątpię, obserwując rówieśników moich dzieci. Zbyt często widzę dzieci zatopione we własnych telefonach, które wolą rozmawiać na Messengerze niż w cztery oczy. Zbyt często widzę dzieci wiezione z zajęć na zajęcia, zasypiające lub jedzące w samochodach, bo brak im czasu na odpoczynek. Widzę porozrzucane zabawki, które nie mają imion, bo jest ich tak wiele, że kto by się przejmował. Często myślę, dzisiejsze nastolatki mają przerąbane dzieciństwo, bo choć mają wszystko, nie mają nic z tych radości, które my mieliśmy.

Dlatego się staram, żeby moje dzieci wiedziały, jak to jest czuć trawę pod stopami i słyszeć świergot ptaków, pozwalam im spać w ogródku w namiocie (nawet gdy teraz majowe noce nie rozpieszczają), pozwalam do północy siedzieć z cioteczny rodzeństwem na trampolinie, jeździć na rowerze na lody do „niebieskiego domku" (choćby i te duże), pozwalam łazić po drzewach i do lasu z psami sąsiadów. Przecież właśnie po to jest dzieciństwo.

A przy okazji Dnia Dziecka wszystkim dzieciom i rodzicom dedykuję piękny wiersz Diany Loomans:

Gdybym mogła od nowa wychowywać dziecko,
Częściej używałabym palca do malowania,
a rzadziej do wytykania.
Mniej bym upominała, a bardziej dbała
o bliski kontakt.
Zamiast patrzeć stale na zegarek,
patrzyłabym na to, co robi.
Wiedziałabym mniej, lecz za to
umiałabym okazać troskę.
Robilibyśmy więcej wycieczek
i puszczali więcej latawców.
Przestałabym odgrywać poważną,
a zaczęła poważnie się bawić.
Przebiegałabym więcej pól
i obejrzała więcej gwiazd.
Rzadziej bym szarpała, a częściej
przytulała.
Rzadziej byłabym nieugięta,
a częściej wspierała.
Budowałabym najpierw poczucie
własnej wartości, a dopiero potem dom.
Nie uczyłabym zamiłowania do władzy,
lecz potęgi miłości.

Dorota Łosiewicz

BRONISŁAW WILDSTEIN

Zniszczyć Szumowskiego



Nagonka na ministra zdrowia prof. Łukasza Szumowskiego jest przykładem najbardziej odrażających praktyk III RP. Człowiek, który powinien zostać uhonorowany za swój wkład w to, że Polska dała sobie radę z pandemią wyjątkowo dobrze, z powodów politycznych jest odsądzany od czci i wiary.

Rzecznicy oligarchii bezpardonowo zabiegający o odzyskanie władzy doszli do wniosku, że Szumowski, który ma poważne osiągnięcia w walce z zarazą, zaczyna być atutem rządzącego obozu. Zgodnie więc ze swoją mentalnością uznali, że należy go zniszczyć. Nie wystarczy w tym celu nieustannie kłamać na temat pandemii. Chociaż w tej mierze politycy, media oraz ośrodki opiniotwórcze III RP wykazują się niezłomną konsekwencją. Ci, którzy ograniczają się wyłącznie do ich odbioru, nie mają pojęcia, jak naprawdę, w stosunku do innych, przedstawia się w naszym kraju zaraza. W publicznych debatach, wydawałoby się, poważni ludzie wskazują jako wzór Szwecję, która abstrahując od przypominającego eutanazję podejścia do wiekowych chorych, ma blisko 16 razy większą liczbę zgonów na milion mieszkańców i prawie sześć razy większą liczbę zachorowań. Niemcy uznawane za państwo, które potrafiło dobrze opanować pandemię, ma na milion mieszkańców cztery razy większą liczbę zgonów i tyle samo więcej wypadków zakażenia niż Polska. A mówimy o krajach bez porównania bogatszych. Ale tego ci, którzy wierzą autorytetom III RP, się nie dowiedzą.

Mimo to spora część Polaków przekonuje się, że działanie władzy przynosi pozytywne rezultaty. Jej wrogowie postanowili więc uderzyć w tych, którym Polacy zawdzięczają stosunkowo łagodny przebieg pandemii. Dotyczy to głównie Szumowskiego.

Nagle okazało się, że jego brat przedsiębiorca, który od dawna pracuje w medycznym sektorze i za poprzednich rządów dostawał dużo większe zlecenia, stanowi dowód jego korupcji. Przed podjęciem ministerialnej posady Szumowski sporo zarobił i zgodnie z prawem część majątku przepisał na żonę. Ma to być jednak dowodem jego nieuczciwości, a oburzają się ci, którzy na co dzień opiewają wątpliwych biznesmenów III RP. Wprawdzie realnie dowodzi to tylko tego, że, aby pełnić publiczną misję, Szumowski wyrzekł się poważnych korzyści majątkowych, ale zasadą tego typu kampanii jest bombardowanie odbiorcy wielką liczbą połowicznych danych, które utrudnią rozumowanie. Specjaliści od marketingu wiedzą, że najważniejsze jest wrażenie, mało kto zajmuje się analizą sprawy. Ministerstwo kupiło maseczki, które okazały się nie we wszystkich wypadkach skuteczne. To, że miały one oficjalne atesty i w sytuacji podbramkowej ponowna ich weryfikacja nie była możliwa, zresztą przyniosłaby więcej szkody niż pożytku, że tego typu przypadki zdarzyły się w większości krajów UE, to wszystko niknie w hałasie informacyjnym.

Pomówienia, insynuacje, sugestie, nieuczciwe pytania przekształcają się w medialnej i politycznej nagonce w pseudofakty. Można potem ogłosić: tyle wątpliwości wokół ministra, warto by go choćby zawiesić. Fakt, że żadne z nich nie mają uzasadnienia, wymaga badania każdego z osobna, a tego zwykle ludzie nie robią.

„A może tak do dymisji, ministrze? Do Kanossy? Na zieloną trawkę, z zakazem wykonywania zawodu? Niezatapialny. Widocznie pusty w środku" – napisał ks. Wojciech Lemański. Przytaczam tę wypowiedź, aby pokazać, jak kampania pomówień niszczy wizerunek zasłużonej osoby. Lemański należy do grupy duchownych, którzy bardziej wierzą „Wyborczej" niż Ewangelii i choćby z tego powodu nie powinien być księdzem, ale nie przypuszczam, że (w przeciwieństwie do organizatorów akcji) kieruje nim zła wola. Wprawdzie bezrefleksyjne zawierzenie jednej stronie, i to takiej, której chlebem codziennym jest insynuacja, czyli skreślenie człowieka bez uzasadnienia, dyskredytuje, sądzę jednak, że Lemański w tym akurat jest człowiekiem wiary. Uwierzył w kampanię nienawiści. A więc potrafi ona przynosić efekty.

Strategia niszczenia przeciwników metodą pomówień w każdym możliwym aspekcie jest znakiem firmowym III RP. „Nie" Urbana formułowało tylko bardziej brutalnie to, co pisała „Wyborcza". Jan Olszewski przygotowywał zamach stanu, bracia Kaczyńscy dekowali się w czasie walki z komuną, wielki poeta Zbigniew Herbert popadł w obłęd, choć wyłącznie w wymiarze politycznym (w innych cechował się przenikliwością) itd. Przemysł pogardy, który uruchomiły te siły, nie liczy się z niczym. Wzorcowym przykładem takiego działania było „niszczenie godnościowych podstaw prezydentury Lecha Kaczyńskiego", co ostentacyjnie głosił oddelegowany na ten odcinek osobnik ze świńskim ryjem i gumowym penisem. A jednocześnie organizatorzy tych kampanii biadają nad „dzieleniem Polaków".

Oto świat III RP.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 0a823495aa



Fot. Shutterstock

Argentyna

Bankructwo po raz dziesiąty

Czy któryś kraj może zbankrutować? Argentyna pokazuje, że jest to możliwe nawet dziesięć razy. Właśnie obserwujemy kolejny odcinek serialu o argentyńskim fenomenie. W tej chwili dług tego południowoamerykańskiego państwa wynosi... 323 mld dol.!

Argentyna cały czas negocjuje redukcję 65 mld dol. zagranicznych długów, w tym 57 mld dla Międzynarodowego Funduszu Walutowego (MFW) oraz 2 mld dla Klubu Paryskiego, tworzonego przez przedstawicieli 19 najbogatszych państw-wierzycieli (co ciekawe, klub ten narodził się w 1956 r. właśnie z inicjatywy Argentyny). Same tylko odsetki od rządowych obligacji wynoszą już 503 mln dol. Czas na ich spłatę minął miesiąc temu. Władze w Buenos Aires domagają się od wierzycieli redukcji długu o 5,4 proc., czyli o 3,6 mld dol. W przeciwnym razie Argentyna stanie się całkowicie niewypłacalna.

Pandemia koronawirusa pogłębiła wcześniejsze kłopoty Argentyny. Dlatego rząd wpadł na pomysł, aby właśnie teraz rozpocząć negocjacje w sprawie redukcji długu. Niektórzy komentatorzy piszą, że jest to sprytne posunięcie, bowiem w czasie, gdy nawet liberalna ekonomicznie ekipa Donalda Trumpa wpompowuje w amerykańską gospodarkę miliardy dolarów, łatwiej odwołać się do interwencjonizmu. Władze podkreślają też, że pozwolenie na formalne bankructwo kraju wywoła zaburzenia w handlu międzynarodowym. Argentyna jest jednym z największych eksporterów zbóż.

Kłopoty finansowe Argentyny to jednak nic nowego. Pierwszy poważny kryzys nastąpił już dekadę po odzyskaniu niepodległości w 1827 r., gdy kraj zapożyczył się na spłatę długów wojennych. W 1890 r. nadszedł kolejny krach, który zniszczył krótkotrwałą prosperity z lat 80. XIX w. Od tamtego czasu gospodarka argentyńska zaczyna przypominać rollercoaster: najpierw w górę, a potem ostro w dół. Wskutek zadłużenia oraz przegranej wojny o Falklandy w 1982 r. Argentyna znów wpadła w tarapaty, które skończyły się uzależnieniem kraju od MFW. Gdy w 1988 r. rząd wprowadził plan „Wiosna" i zerwał z polityką oszczędności, MFW odmówił dalszego wspierania Argentyny, co ostatecznie skończyło się hiperinflacją i zamieszkami.

W 2002 r. doszło do największej zapaści w historii kraju. W ciągu następnych czterech lat gospodarka argentyńska skurczyła się o 20 proc. Od tamtego czasu kryzys finansowy jest permanentny. Aż strach pomyśleć o rozmiarach kolejnego krachu, gdy na fatalną sytuację w Argentynie dodatkowo nałożą się teraz skutki światowej pandemii.

Łukasz Adamski

Libia

Sukces Turków

Jak informuje telewizja Al-Jazeera, setki bojowników rosyjskiej armii najemników, znanej jako Grupa Wagnera, którzy walczyli w libijskiej wojnie domowej po stronie marszałka Chalify Haftara, są pospiesznie ewakuowane samolotami przysłanymi z Rosji. Dziennikarze relacjonują, że wskutek przejścia libijskich wojsk rządowych do ofensywy doszło do przerwania oblężenia Trypolisu, a rosyjscy najemnicy zostali zmuszeni do wycofania się i porzucenia dużej ilości sprzętu.

Turecki anglojęzyczny dziennik „Daily Sabah" przytacza wypowiedź Muhammeda Kununu, wojskowego rzecznika rządu w Trypolisie, który powiedział, że do odblokowania stolicy doszło m.in. dzięki tureckim dronom, które zniszczyły rosyjskie systemy przeciwlotnicze. Rosja, która za pośrednictwem Egiptu i Zjednoczonych Emiratów Arabskich zaopatrywała w broń siły Haftara, łamiąc przy tym embargo na dostawy uzbrojenia walczącym stronom, odnotowała kilka bolesnych porażek prestiżowych. Po pierwsze, rosyjskie systemy przeciwlotnicze Pancyr zostały zniszczone lub wpadły w ręce sił rządowych, co wskazuje, że nie są one tak niezawodne, jak twierdzą władze w Moskwie. Po drugie, wspierający Haftara najemnicy z Grupy Wagnera ponieśli dotkliwe straty. Jak powiedział Reutersowi mjr Salem Alaywan z sił rządowych, najemnicy wycofali się do położonej w środkowej Libii miejscowości Al-Dżufra. Jednak zachodni analitycy zwracają uwagę na to, że Rosjanie wycofali się jeszcze przed rozpoczęciem kontrofensywy przez wojska rządowe, co może świadczyć o tym, że Ankara porozumiała się z ich mocodawcami. Jeśli rzeczywiście tak było, może to oznaczać, że Moskwa wycofała poparcie dla Haftara. Według innej interpretacji Rosja uznała, że w obliczu dominacji tureckich dronów dalszy opór najemników będzie prowadził do lawinowo narastających strat i dlatego zdecydowano o ich odwrocie.

Niezależnie od tego, który z tych domysłów jest prawdziwy, mamy prawdopodobnie do czynienia ze wzmocnieniem pozycji Turcji w Libii. To dzięki jej interwencji, która rozpoczęła się po podpisaniu w listopadzie ub.r. porozumienia między Ankarą a rządem Fajiza as-Sarradża, możliwe było odwrócenie losów libijskiej wojny domowej, której szala wcześniej zdawała się przechylać na rzecz wojsk Haftara. Turcja zastosowała przy tym sprawdzoną w Syrii taktykę atakowania celów naziemnych przez drony bojowe oraz przerzuciła do Libii bojowników rekrutujących się z powiązanych z Ankarą organizacji opozycji syryjskiej, którzy wcześniej utrudniali jej osiągnięcie porozumienia z Rosją w prowincji Idlib. W ten sposób Turcja, do pewnego stopnia kopiując rosyjską strategię w Syrii, osiągnęła w Libii status rozgrywającego i znacznie poprawiła swoją pozycję na Bliskim Wschodzie.

Marek Budzisz

eprasa.pl 0a823495aa



Fot. Martin Vlček, Kancelář Senátu

Czechy

Co zabiło szefa Senatu?

Czechy znalazły się w samym środku dyplomatycznego skandalu między Chinami a Tajwanem. Zaczęło się od tego, że pod koniec 2019 r. ówczesny przewodniczący tamtejszego Senatu Jaroslav Kubera zapowiedział udanie się z międzynarodową wizytą do Tajpej. Nie zdążył, ponieważ 20 stycznia zmarł na zawał serca.

Kubera, reprezentujący prawicowy ODS, był politykiem słynącym z bezkompromisowości i niewyparzonego języka. Potrafił np. przestrzegać przed nowymi formami totalitaryzmu: klimatycznym i genderowym. Niektórzy przedstawiciele władz czeskich próbowali odwieść go od pomysłu podróży na Tajwan w obawie przed pogorszeniem stosunków z Chinami, ale on był nieprzejednany.

Niedługo po pogrzebie okazało się, że Kubera tuż przed swoją śmiercią otrzymał list z ambasady chińskiej protestujący przeciw planowanej wizycie. Pismo utrzymane było w bezceremonialnym tonie i zawierało wiele gróźb, zarówno pod adresem samego polityka (że zostanie objęty dożywotnim zakazem wjazdu do Chin), jak i czeskich firm, takich jak Skoda, Home Credit czy Pianos Petrof, które mogą spotkać trudności w prowadzeniu biznesu z Chińczykami. Rodzina Kubery twierdzi, że pismo przyczyniło się do zawału serca i śmierci polityka. W mediach pojawiły się też informacje, że w pisaniu listu uczestniczył szef kancelarii prezydenta Zemana – Vratislav Mynář, który zdecydowanie wszystkiemu zaprzeczył. Część publicystów zaczęła jednak pisać, że Kuberę zabili wspólnie Chińczycy i Zeman.

W takiej sytuacji doszło do wyborów nowego przewodniczącego Senatu, którym został bliski przyjaciel zmarłego – Miloš Vystrčil, również z ODS. Wkrótce potem złożył on wizytę prezydentowi Milošowi Zemanowi. Po spotkaniu oświadczył, że ich poglądy w sprawie listu rozmijają się ze sobą. Powiedział też: „Moja podróż na Tajwan staje się coraz bardziej realna. Podstawową wartością każdego kraju jest to, że jest demokratyczny i niezależny. Jeśli Chińska Republika Ludowa chce dyktować Republice Czeskiej lub Senatowi, co mają robić, a czego nie, to nie zegniemy głowy". Cóż, wypada czekać na ciąg dalszy.

Grzegorz Górny

Niemcy

Ratowanie rynków zbytu



Fot. Casimiro PT/Shutterstock.com

Kanclerz Niemiec Angela Merkel i prezydent Francji Emmanuel Macron zaproponowali 18 maja stworzenie funduszu odbudowy dla gospodarek unijnych najbardziej dotkniętych koronakryzysem. Ma on być oparty na 500 mld euro, które Komisja Europejska pożyczyłaby na rynkach finansowych pod wspólne gwarancje 27 krajów członkowskich. Podział odpowiedzialności finansowej odpowiadałby kluczowi zwykłych wkładów do budżetu Unii, czyli największy ciężar poniosłyby Niemcy (jedna czwarta). Wspólne obligacje byłyby spłacane przez UE przez najbliższe 30 lat. Propozycja duetu Mercron, jak nazwały go europejskie media, została poparta przez niemiecką chadecję, co jest zaskakujące, realizacja planu francusko-niemieckiego oznaczałaby bowiem stworzenie unii transferowej wraz z uwspólnotowieniem długu, przed czym CDU/CSU z Angelą Merkel na czele broniła się od lat rękami i nogami. Teraz jednak chadecy chwalą plan Merkel i Macrona jako „rozsądny", „nieunikniony", a co najmniej „do przyjęcia". Tymczasem niemieckie media zachodzą w głowę, co się takiego stało, że pani kanclerz, znana z tego, że poleciła Grekom, by nauczyli się być jak „szwabska gospodyni", jest gotowa wydawać pieniądze garściami? A raczej pokryć część długu krajów Południa z kieszeni niemieckich podatników?

Dziennik „Die Welt" uważa, że Berlin zrozumiał, iż wskutek pandemii Francja, wraz z którą tworzy motor napędowy Unii, może wkrótce dołączyć do klubu „petentów" z Południa, co zatrzyma ten od dawna zgrzytający duet. Według „Münchner Merkur" za zwrotem pani kanclerz kryją się „twarde interesy". Niemcy po prostu ratują swoje rynki zbytu. „Süddeutsche Zeitung" wskazuje natomiast na rosnący eurosceptycyzm oraz „populistów" w krajach Południa, którzy tylko „czekają na kolejną słabość Europy".

Do realizacji planu Merkel i Macrona jest jeszcze daleko, ale większość sił politycznych za Odrą – jak zwykle – przyjęła nową linię rządu bez dyskusji, niektórzy nawet entuzjastycznie, jak SPD, która liczy przy okazji na pogłębienie unijnej integracji. Tylko Alternatywa dla Niemiec (AfD) ostrzega przed „roztrwonieniem majątku narodowego". Tymczasem to nie koniec. Komisja Europejska przedstawiła w minioną środę własny plan, jeszcze hojniejszy: 750 mld euro, z czego 500 w formie dotacji, a 250 w formie pożyczek. Ma on zostać sfinansowany m.in. za pomocą nowych podatków, choćby z podatku cyfrowego.

Aleksandra Rybińska

eprasa.pl 0a823495aa

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Zabójcze listy poparcia



Jan Pietrzak

Nielegalne listy. Trwa nieoficjalna zbiórka podpisów popierających kandydaturę Trzaskowskiego na prezydenta. Takie listy mogą stanowić śmiertelne zagrożenie dla osób podpisujących, na co zwrócił uwagę Marshall Grodzki. Na wszelki wypadek znowu stosuje obstrukcję w Senacie... Może nawet sabotaż?

Atak. Minister Szumowski po nikczemnym ataku na jego żonę: „Dałbym panu Nitrasowi w pysk". Panie profesorze, Polacy proszą: najpierw obowiązek, a potem przyjemność, przede wszystkim koronawirus, potem pysk Nitrasa.

Wady. Kuźniar spytał Trzaskowskiego o wady. Odparł, że jest zbyt dokładny i punktualny. Przez skromność nie wspomniał, że jest zbyt piękny, elokwentny, obcojęzyczny, elegancki, rozkoszny, bogaty, światowy... i znał Geremka.

Sędzia Wróbel: „Najpierw robi się hejt. Robi się z sędziów bestie, kastę, komunistów, złodziei". Otóż NAJPIERW sędziowie wydawali skandaliczne wyroki, niszczące poczucie sprawiedliwości. Po latach degeneracji sądownictwa Polacy mieli dość leniwej, aroganckiej kasty i zażądali zmiany, panie Wróbel. Prace w toku.

Budka postanowił wyręczyć prezydenta i zarządził, który z pięciu wybranych przez SN kandydatów ma być prezesem SN. Zapomniał o konstytucji i zdrowym rozsądku, jeżeli kiedykolwiek go miał. Prywatnie mówiąc – wątpię.

Klub targowicy w Brukseli spowodował uchwalenie antypolskiego raportu. Po raz kolejny parszywa dwudziestka szkaluje Polskę. Czy może ktoś zrobić coś z tymi renegatami à la Tusk?

Przypadek Kazika przypomniał mi, że blisko pół wieku temu zaśpiewałem trefną piosenkę „Żeby Polska była Polską". Od tamtej pory jestem zakazany w Trójce. Jakoś z tym żyję. Polska też.

À propos... Jeszcze wcześniejsze wspomnienie. Mój kabaret miał premierę 10 lutego 1968 r. jako „Kabaret pod egidą III Programu Polskiego Radia". Już po miesiącu, w Marcu, redakcja Trójki umierała ze strachu. Robiono śledztwo i szukano winnych. Kto do tego dopuścił i kto za tym stoi!? No, właśnie...?

Gorące oklaski online

Z aktorką Beatą Kawką rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Czy „Małe zbrodnie małżeńskie" znaczą dziś coś innego niż przed pandemią?

Beata Kawka: Myślę, że niezależnie od doświadczeń ostatnich miesięcy ten spektakl pozostaje zarówno aktualny, jak i różny dla różnych osób. Opowiadamy o ludziach zmagających się z sobą i kochających jednocześnie. Nasi bohaterowie nadal z sobą rozmawiają, mimo że są u progu rozstania. Wspominają swoje małżeństwo. Także to, jak się ranili, bo tylko bliski człowiek może mocno i skutecznie zranić. To też opowieść o tym, jak ludzie radzą sobie po wielu latach małżeństwa – z samotnością, zazdrością...

Wasza premiera zainaugurowała działanie 1*Teatru Online, w którym na żywo, codziennie o godz. 20, prezentowane są spektakle i koncerty. Jak tu trafiliście?

Zostaliśmy (z Mirosławem Zbrojewiczem) zaproszeni. Po trzech latach mieliśmy wrócić do „Małych zbrodni małżeńskich" w nowej odsłonie. Premierę wstrzymała pandemia, ale pojawiła się propozycja wystąpienia online (kolejny spektakl 5 lipca), a potem pozostajemy w repertuarze Sceny Monopolis w Łodzi.

W jaki sposób można się wybrać do 1*Teatru Online?

Na stronie artkombinat.pl trzeba kupić dostęp do streamingu, a potem „wybrać się" na wydarzenie. W ramach swojej Fundacji Edukacji Teatralnej i Artystycznej zainicjowałam akcję „Wracamy do teatru" – filmik nagrali m.in. Patrycja Markowska i Jacek Kopczyński. A gdy przed premierą „Małych zbrodni..." napisałam, jak będzie mi brakowało reakcji widowni, dostałam wiele zapewnień, że możemy liczyć na gorące oklaski! Choć na razie tylko online.



fot. Gałązka / AKPA

eprasa.pl 0a823495aa

Krem, spot i łzy

Ale się porobiło. Łzy cisną się do oczu, jak człowiek sobie pomyśli, że przez Gowina wycofali Kidawę, a mnie druga tura odjeżdża jak Prokop po własnych dowcipach. Miało być pospolite ruszenie, a jest pospolite... już nie powiem co. Czułem, że tak będzie. Mówiłem nawet żonie, żeby sobie poszła polatać, bo jeszcze nic nie jest rozstrzygnięte. Fakt, że najpierw nie chciałem wyborów 10 maja, ale przecież nikt z opozycji nie chciał, a głupio mówić coś innego niż wszyscy, jak się jest kandydatem niezależnym. Potem Kosiniak przysnął, Kidawa zaczęła mówić własnymi słowami, Biedroń posiwiał, a Bosak stał się tak rozdarty, że gdyby nie krawat, dawno rozpadłby się na dwie części – i nagle się okazało, że gdyby nie ja, to nawet drugiej tury nie będzie! A teraz co? Z Kosiniakiem mam się szarpać o trzecie miejsce? Może piosenkę wyborczą nagram „Nie płacz, kiedy odjadę", to sobie ludzie przypomną, że jeszcze jestem? Że płaczę? Ja nie mogę tyle płakać. Poza tym to jest totalny odlot, a nie odjazd!

No, bo powiedzcie – kto? Kto mógł się spodziewać, że ja, skromny chłopak z TVN, będę walczył o wejście do finału w wyborach prezydenckich? Do tego z Trzaskowskim! Przecież ja go uwielbiam! Kosiniaka też! Dlatego już zapowiedziałem, że jak tylko będę prezydentem, obojętnie czego, natychmiast zacznę budować takie coś, żeby Rafał albo Władek mogli być premierami, też obojętnie czego! Najważniejsze, że na przemian. Dzięki temu władza raz będzie w rękach lewicy, raz prawicy. O ile, oczywiście, Donald się zgodzi. Ech, jak on mi zaimponował, że nie miał żadnego konkurenta w wyborach na szefa Europejskiej Partii Ludowej! To jest wyższa demokracja! Nie trzeba tej całej papierologii, zatrutych kopert... I sztab Rafała nie musiałby prawa łamać, bo nie trzeba by wtedy żadnych podpisów. Po prostu powstałoby konkretne grono pewnych ludzi na odpowiednim poziomie i to ono, po długim namyśle – oczywiście, ustalałoby, jak zagłosowaliby rodacy, gdyby mogli głosować. A zaoszczędzone pieniądze można by wydać np. na walkę z globalnym ociepleniem w Afryce.

Co tu kryć – ja się bardzo cieszę, gdy ludzie mówią, że jestem trochę do Donalda podobny. Ale wolę nie dopytywać, w czym konkretnie. Na przykład obaj kochamy swoje poczucie humoru. Ja np., zanim zostałem politykiem z pierwszych stron gazet, lubiłem żartować z wiary i Kościoła. Że np. jak ksiądz przechodzi przez środek sali kinowej, to czyni znak krzyża. Fajne, nie? Na pewno śmieszniejsze niż to widowisko w TVN, nomen omen, „Pożar w burdelu". Wanda Półtawska obrażona, Jan Paweł II wyszydzony, Polska nazwana „zdzirą"... Mało kto dziś pamięta, że akurat ja wtedy zdecydowanie wziąłem katolików w obronę. To znaczy: nie komentowałem, nie oceniałem, nie odzywałem się – żeby nie podgrzewać atmosfery. Tak samo było z „Klątwą", kiedy udało mi się dać ważne świadectwo, że katolik potrafi milczeć nawet wtedy, gdy obrażane są najświętsze dla niego wartości. To jest właśnie nowoczesny katolicyzm.

Bo ja wolę słuchać, niż mówić. Lepiej być na bieżąco, jak się chce zostać głową państwa, drodzy państwo. Trzeba się bić, walczyć, krzyczeć, nawoływać, a czasem i zaszlochać, bo kampania wyborcza ma swoje prawa. Swoim sztabowcom mogę obiecać jedno, a w zasadzie trzy w jednym: krem, spot i łzy. Krem do wizerunku, spot rozniesie go pod strzechy, a łzy, wiadomo, jako znak rozpoznawczy. Takie logo. Na marginesie – gdybym wygrał, toby się dopiero porobiło. Każdy przywódca, gość zagraniczny, ochroniarz czy sprzątaczka – wszyscy chcieliby zobaczyć, jak płaczę na zawołanie. I weź im teraz tłumacz, że ja naprawdę się poryczałem w czasie czytania konstytucji. Bo ja tam... Nie, nie powiem... Znowu mi się oczy szklą... Ja tam przeczytałem, że pierwszego prezesa Sądu Najwyższego wybiera prezydent spośród piątki zgłoszonej przez zgromadzenie ogólne SN. I nagle uświadomiłem sobie, że skończyła się już dla nas wolna Polska. Demokratyczna, praworządna, konstytucyjna. Rząd PO-PSL, prezydent Komorowski, prezes Gersdorf w Sądzie Najwyższym, prezes Rzepliński w Trybunale Konstytucyjnym, Tomek Lis w TVP – komu to przeszkadzało? Przyszedł Kaczyński i wszystko zniszczył. Zgadzam się z Romanem Giertychem, który chce na mnie głosować i twierdzi, że teraz już wszystko jedno, kto wygra wybory, byle to nie był Duda. Mnie też jest wszystko jedno, pod warunkiem że wejdę do drugiej tury, przejmę poparcie i do boju, robimy tę robotę. Po pierwsze: rozdział państwa od Kościoła, a resztę będę musiał na spokojnie obgadać z żoną, doradcami, sponsorami... No i z wami, Polakami, bo bym zapomniał. A przecież nikogo nie trzeba przekonywać, że ja się nad wami pochylam, myślę o was i będę o was pamiętał – o ile, oczywiście, wejdę do drugiej tury. Do tego zaś potrzebne są poważne pieniądze. To co, kochani, dacie dychę?



Krzysztof Feusette

ZDJĘCIA Z PODRÓŻY

Darka „Maleo" Malejonka

PRZED KORONAWIRUSEM





Dzięki lekturze „W pustyni i w puszczy" i książkom Szklarskiego z Afryką jestem związany emocjonalnie od dzieciństwa. Dopiero w 2008 r. zrealizowałem swoje marzenie i pojechałem na Czarny Kontynent. W ciągu pięciu wyjazdów odwiedziłem osiem krajów. Podczas nich m.in. robiłem warsztaty muzyczne dla dzieciaków. W 2016 r. zorganizowałem trasę koncertową „Śladami kardynała Kozłowieckiego", misjonarza i bohatera narodowego Zambii.

Razem z miejscowymi muzykami, w tym Maiko Zulu, graliśmy w pięciu miastach. Ostatni koncert trasy odbył się w misji w dżungli.



W 2019 r. byłem na Światowych Dniach Młodzieży w Panamie, gdzie grałem koncert dla wielotysięcznej publiczności. Polaków było tam ok. 3 tys. Tuż przed wyjazdem powrotnym usłyszałem o wyspach San Blas, które należą do Indian Kuna Yala. Ciekawostką jest, że to jedyne indiańskie plemię niepodbite przez białego człowieka. Wprawdzie w 1925 r. Panamczycy za pomocą floty zdobyli archipelag, ale podczas fety z okazji zwycięstwa żołnierzy upito winem z dodatkiem wywaru z lian. Żaden okupant już się nie obudził.



Indianie posiadają w sumie 365 wysepek i pas dzikiej górzystej dżungli. Kuna Yala nie mają infrastruktury turystycznej, więc żeby się do nich dostać, trzeba wszystko organizować na własną rękę: wynajęcie jeepa, żeby przejechać przez dżunglę do przystani na rzece, następnie wypożyczenie łodzi w celu dostania do otwartego morza. Łódką do najbliższych wysepek płynie się ok. 50 km. Są one zamieszkiwane przez kilkunastoosobowe grupy miejscowych. Białych trudno uraczyć. Istnieje możliwość wynajęcia chatki z noclegiem plus wyżywienie, czyli najświeższe owoce morza.



Szkoła przeżycia dla korespondentów wojennych w Kielcach to było ekstremalne przeżycie i prawdziwy sprawdzian dla wydolności psychofizycznej. Wstawaliśmy codziennie o piątej rano. Uprawialiśmy marszobiegi z ciężkimi plecakami, dodatkowo ubrani w kamizelki kuloodporne.

Mieliśmy szkolenia, jak zachowywać w sytuacjach kryzysowych i w warunkach wojny. Wtedy zrozumiałem, jak podczas pobytu w Syrii (Aleppo) czy Iraku, zapuszczając się w różne miejsca, aby zrobić ciekawe zdjęcie, zachowywałem się głupio i nierozsądnie. Na koniec zajęć szkoleniowcy zafundowali nam symulację porwania i przesłuchiwań. Mimo świadomości, że nie groziły nam śmierć ani kalectwo, emocje sięgały zenitu.

W zeszłym roku znajomi z Chicago zaproponowali mnie i żonie, żebyśmy udali się na pielgrzymkę Drogą św. Jakuba. To był początek września, a więc najlepsza pora, żeby podejmować takie przedsięwzięcia. Wybraliśmy trasę stukilometrową, którą pokonaliśmy w ciągu siedmiu dni. Muszę przyznać, że było to najpiękniejsze duchowe doświadczenie w moim życiu. Podczas



eprasa.pl 0a823495aa



tej pielgrzymki człowiek zmaga się z samym sobą. Poznaje swoją duszę, swoje słabości. Dociera do niego, że życie to jest „prawdziwa droga pielgrzyma". Zmęczenie fizyczne oczyszcza, dusza staje się lżejsza, dotychczasowe problemy tracą na wadze, stają się błahe. Sama droga jest przepiękna. Biegnie przez lasy, doliny, dookoła góry. Mijaliśmy piękne romańskie kościółki postawione 1000 lat temu. W jednym z nich przeżyłem mistyczne spotkanie z Bogiem. Dodatkowo podróż przez Galicję zbliżyła mnie i żonę Elę jeszcze bardziej. Gdy skończą się obostrzenia związane z pandemią, zamierzamy ponownie udać się na pielgrzymkę do Santiago de Compostela, ale już dłuższym o 200 km szlakiem.



Z córką Olą braliśmy udział w Projekcie Dekalog, realizowanym razem z Michałem Lorencem i Markiem Kamińskim. Pomysłodawcą akcji był Radek Grabowski, który wniósł na górę Synaj dwie tablice z dekalogiem. Miał to być znak, że jest on nadal ważny, że bez tych „10 słów życia" jak nazywają go Żydzi, świat nie jest w stanie istnieć. Rok później w 2019 z tablicami dekalogu postanowiliśmy wejść na Mont Blanc. Niestety z powodu załamania pogody zrezygnowaliśmy z ataku na sam szczyt, ale dojście tak wysoko było dla nas nie lada wyczynem. Był z nami ksiądz alpinista Krzysztof Ciebień, który na wysokości 4100 m odprawił dla nas mszę.



Fot. archiwum prywatne Darka Malejonka

Spisał ***Michał Korsun***
Bohater tekstu jest wokalistą, kompozytorem i wolontariuszem.

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Nie proście o „kurczaka"



Dominik Zdort

W ubiegłym tygodniu każdy mógł znaleźć coś ciekawego dla siebie. Płaczący po radiowej Trójce dostali nowego dyrektora. Antyrządowi hejterzy – teorie spiskowe „Gazety Wyborczej" na temat ministra Szumowskiego. Przeciwnicy „nadzwyczajnej kasty" – nową pierwszą prezes Sądu Najwyższego. A tacy prości Polacy jak ja otrzymali w prezencie powrót piłki nożnej na stadiony.

Powrót jest kulawy, bo trybuny puste, ale jest. Zresztą to nie całkiem nowa sytuacja. Już nie raz się zdarzało, że kibice w czasie jednego meczu ostro nabroili, a potem na kolejny ich nie wpuszczano.

Gra na pustym stadionie ma zresztą swoje dobre strony. Przede wszystkim dlatego, że kiedy nie ma kiboli „tworzących niepowtarzalną atmosferę meczu" (wrzeszczących obelżywe hasła i śpiewających pełne bluzgów piosenki), doskonale słychać, co trenerzy pokrzykują do swoich zawodników. I dzięki temu wiemy, że pewien serbski menedżer potrafi nie tylko użyć płynnej i poprawnej polszczyzny przed kamerą, lecz także umiejętnie skorzystać ze znanych polszczyźnie podwórkowej przekleństw, szczególnie tego najpopularniejszego, na „k".

Gdy trener z taką swobodą wykrzyczał to ważne polskie słowo do zawodnika, który nie trafił w bramkę, intuicja mi podpowiedziała, że może i w jego języku funkcjonuje to przekleństwo. W naszej części Europy używane jest powszechnie, i to nie tylko przez braci Słowian, lecz również przez bratanków Madziarów. Skonsultowałem się z przyjacielem jugosłowianistą (tak, tak, są tacy, choć dziś wolą się nazywać specjalistami od Bałkanów Południowo-Wschodnich). Był zdziwiony okrzykiem trenera. – Posłuchaj tego uważnie, czy to nie „kurac"? – dopytywał, bo ponoć nasze przekleństwo na „k", choć w Serbii znane, to używane jest rzadko.

Znacznie częściej na belgradzkich ulicach i w knajpkach słychać owego „kuraca", słowo bardziej wulgarne, bo będące odpowiednikiem naszego na „ch". Mój kolega przywołał „Rozmówki polsko-serbskie": w rozdziale „U rzeźnika" jest zamieszczona przestroga, żeby – Boże, broń – nie prosić w sklepie o „kurczaka". Po serbsku „kurczak" może nie jest tak ordynarny jak „kurac", ale właśnie od tego słowa pochodzi.

Bałkański trener jednak wezwał na pomoc nie „kuraca" ani nie „kurczaka", lecz zaklął bardziej po naszemu. Dlaczego o tym piszę? Aby pokazać, jak bardzo polska kultura i tradycja potrafi być pociągająca dla obcych.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 0a823495aa

OGNIEM NA WPROST

Do Kanossy!



Wojciech Lemański, pełniący jeszcze ciągle posługę kapłańską, tym razem przesadził na dobre. W niewybredny sposób zaatakował poniekąd swego dobroczyńcę, ministra zdrowia Łukasza Szumowskiego. Akurat o tym jestem w pełni przekonany, że gdyby z pandemią walczyli polityczni ulubieńcy duchownego, to mielibyśmy u nas Włochy z Hiszpanią w jednym. A ksiądz Lemański, udając się na rozmowę z kimś z Czerskiej, zaraziłby się po drodze paskudztwem i kariera męczennika stanęłaby przed nim otworem. Być może właśnie z tego powodu ma żal do szefa resortu i żąda nie tylko jego dymisji, lecz także kary w postaci zakazu wykonywania zawodu. „A może tak do dymisji, ministrze? Do Kanossy? Na zieloną trawkę, z zakazem wykonywania zawodu? Niezatapialny. Widocznie pusty w środku" – kwituje. Lemański, choć nie jestem z tego zadowolony, jest niestety osobą publiczną. Jego psim obowiązkiem przed wypowiedzeniem tak ostrych słów jest sprawdzenie, czy zarzuty wobec ministra są uzasadnione. Tak samo jak w przypadku tzw. afery dwóch wież w stosunku do prezesa Jarosława Kaczyńskiego. A tu ksiądz, cieszący się ochroną dwóch biskupów – abp. łódzkiego Grzegorza Rysia oraz metropolity warszawsko-praskiego Romualda Kamińskiego – jak nic świadomie i w stu procentach łamie publicznie VIII przykazanie: „Nie mów fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu". Teraz ja się na koniec zapytam w imieniu swoim i tysięcy katolików: a może tak złożyć prośbę do Kongregacji Nauki Wiary o przeniesienie do stanu świeckiego? Do Kanossy? Na zieloną trawkę, z zakazem wykonywania zawodu? Niezatapialny. Widocznie pusty w środku.

Przed kilkoma miesiącami głośna stała się sprawa kierowniczki w sieci IKEA, która zwolniła pracownika za cytowanie w wewnętrznej sieci intranetowej firmy fragmentów Biblii odnoszących się do homoseksualizmu. Kontratak nastąpił z dwóch stron. Prawnicy Instytutu Ordo Iuris złożyli w imieniu mężczyzny pozew do sądu, a prokuratura postawiła kierowniczce homoterrorystce zarzuty. Na sprawę zareagował obergej i poseł Lewicy w jednej osobie Krzysztof Śmiszek, prywatnie partner kandydata w wyborach prezydenckich Roberta Biedronia. „W odpowiedzi na haniebne działania prokuratury ws. IKEA składam dziś skargę do Komisarz KE ds. Równości. Przepisy muszą chronić ofiary, a nie sprawców dyskryminacji. To, co robi prokuratura, to złamanie prawa unijnego" – roni krokodyle łzy na Twitterze. Tak więc, zdaniem Śmiszka, ofiarą jest kierowniczka, która pozbawiła pracy człowieka za cytowanie Pisma Świętego, a sprawcą ten, który śmiał sięgnąć po Słowo Boże. Logika LGBT w całej okazałości.

W jednej ze szkół w północnej Anglii uczniowie dostali pracę domową, która polegała na opisaniu takich zjawisk jak: twarda pornografia, miękka pornografia, pornografia transpłciowa, pornografia, LGBTQ+, homoseksualizm, transwestytyzm. Na dodatek nakazano dzieciom przed snem podać jeszcze definicję rozmaitych sposobów okaleczania narządów płciowych. W razie kłopotów zalecono, aby jako pomocy dydaktycznej użyły... wyszukiwarki internetowej. Matka jednej z uczennic, która przez przypadek dowiedziała się o tym w ostatniej chwili, narobiła w szkole rabanu, mówiąc: „Moja córka wciąż jest dzieckiem, żyje w świecie magicznych elfów, jej pokój udekorowany jest w kucyki. Niedawna po prostu chodziła do szkoły podstawowej i cieszyła się życiem, teraz prosi się ją o wyszukiwanie w internecie twardej pornografii. Ma dopiero 11 lat". Dyrekcja szkoły o dziwo przeprosiła wszystkich urażonych tą pracą domową, ale podkreśliła jednocześnie, że realizowany program jest zgodny z zaleceniami brytyjskiego ministerstwa edukacji, a odpowiedzi na zadane 11-letnim uczniom pytania można znaleźć też w obowiązującym podręczniku do seksedukacji. Dlaczego w Anglii do tego dochodzi? Ponieważ wtedy, kiedy takie sytuacje zaczynały się dziać na Wyspach, tamtejsza prokuratura, zastraszona działaniami homolobby, zamiast reagować jak w Polsce, wolała chować głowę w piasek. Efekt? Teraz właśnie działaczka pro-life Mary Wagner odbywa kolejną karę kliku miesięcy więzienia za wejście do kliniki aborcyjnej, gdzie rozdawała kobietom białe róże. Została oskarżona o zakłócanie działalności gospodarczej.

Zamiast głosu wzywającego do modlitwy z głośników zamontowanych w meczetach w tureckim mieście Izmir popłynęła włoska pieśń komunistycznych partyzantów „Bella ciao" w wykonaniu tureckiego antyfaszystowskiego zespołu Grup Yorum. Prokuratura wszczęła śledztwo przeciwko hakerom. Powody do obaw mają także ci, którzy w mediach społecznościowych wyrazili poparcie dla tej akcji. Tym razem uważam, że całkiem słusznie.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 0a823495aa

Mieszkania ze wsparciem



Marta Kaczyńska-Zielińska

Rząd pracuje nad projektem przepisów wprowadzających dopłaty do czynszu do 1,5 tys. zł i do 75 proc. jego wysokości dla osób, których dochody spadły do poziomu uprawniającego do dodatku mieszkaniowego. Wsparcie będzie można otrzymać na okres pół roku, obejmujący także minione miesiące, w których najemcy doznali problemów finansowych.

Dopłaty to element znacznie szerszego projektu, mającego na celu kompleksowe rozwiązanie problemu ograniczonej dostępności mieszkań w Polsce. Rada Ministrów planuje rozszerzenie współpracy z gminami, proponując im inicjatywę, która ma polegać na uzyskiwaniu przez jednostki samorządu terytorialnego lokali w zamian za przekazanie gruntów na cele mieszkaniowe. Nieruchomości gminne będą mogły być przekazywane na cele inwestycyjne na podstawie szczególnych konkurencyjnych procedur, które przyspieszą proces budowlany. Gminy staną się podwójnymi beneficjentami, zyskując wsparcie finansowe i lokale, które znajdą się w ich zasobach m.in. jako mieszkania komunalne.

Rozumiejąc problemy mieszkańców osiedli wzniesionych w oderwaniu od tkanki miejskiej i mając na celu zapobieżenie powstawaniu kolejnych „sypialni", pomysłodawcy nowych rozwiązań proponują przekazywanie samorządom dodatkowych grantów przeznaczonych na budowę infrastruktury okołomieszkaniowej w postaci dróg, przedszkoli czy też niezbędnych instalacji technicznych. Gminy niedysponujące nieruchomościami, które mogą zostać przeznaczone pod zabudowę mieszkaniową, będą mogły współdziałać wraz z Krajowym Zasobem Nieruchomości w ramach spółek celowych prowadzących proces inwestycyjny budynków czynszowych.

Rząd docenia kreatywność osób, które budują w ramach tzw. kooperatyw mieszkaniowych. Są to zrzeszenia tworzone przez grupę co najmniej trzech osób współdziałających ze sobą w celu zaspokojenia potrzeb mieszkaniowych, począwszy od nabycia działki po wybudowanie na niej budynku wielorodzinnego lub zespołu budynków jednorodzinnych albo poprzez nabycie budynku i przebudowanie go tak, by powstały w nim co najmniej trzy odrębne mieszkania. Kooperatywy mają zyskać osobowość prawną. Dzięki temu staną się bardziej wiarygodną stroną umów z bankami i będą mogły liczyć na udogodnienia w nabywaniu gruntów. Warto przypomnieć, że nieruchomości wybudowane przez kooperatywy w latach 2012–2016 okazały się o blisko 30 proc. tańsze od ofert deweloperskich.

Upowszechnione mają zostać społeczne agencje najmu (SAN), które sprawdzają się już w Europie Zachodniej, a co najmniej jedna z nich działa w Warszawie. SAN mają wyjść naprzeciw zaspokojeniu potrzeb tych wszystkich ludzi, którzy z różnych względów nie mogą zdecydować się na nabycie nieruchomości na własność ani też na opłacanie czynszu po rynkowych stawkach. SAN różnią się od działających w obrocie nieruchomości podmiotów pośredniczących tym, że nie dążą do wypracowania zysku, a ewentualne nadwyżki przeznaczają wyłącznie na własne koszty funkcjonowania. Agencje najmu mają się specjalizować w wynajmowaniu mieszkań na rynku, głównie od osób fizycznych. Mają być konkurencyjne względem komercyjnych podmiotów, oferując długoletni najem z gwarancją czynszu, którego wysokość może być niższa od przeciętnej nawet o 20 proc. Oferta SAN ma być atrakcyjna zarówno dla poszukujących lokali do zamieszkania, jak i dla właścicieli nieruchomości. Ci ostatni zyskają pewną perspektywę uzyskiwania dochodu, który z mocy ustawy ma być gwarantowany przez agencję. Ryzyko niewypłacalności najemcy i trudności z uzyskaniem należności mają nie dotyczyć wynajmującego. Wydaje się, że społeczne agencje najmu zyskają zainteresowanie zwłaszcza wśród najmłodszego pokolenia, które z racji częstszych zmian zatrudnienia i innej filozofii życiowej niż starsi nie planują wiązać się na stałe z jednym miejscem.

Wszystkim tym, którzy planują nabycie swojego pierwszego lokum na własność za gotówkę lub na kredyt, państwo ma zaproponować możliwość dokonania odliczenia od podatku w wysokości uwarunkowanej liczbą osób w gospodarstwie domowym. Pieniądze uzyskane od fiskusa będą mogły pomóc w wykończeniu mieszkania.

Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że dnia 24 maja 2020 r. zmarł w Toruniu

ŚP

KPT. EDMUND KAZIMIERZ SEMRAU

urodzony 21 stycznia 1926 r. w Chełmnie.

Żołnierz 2. szwadronu 1. Pułku Pancernego
1. Polskiej Dywizji Pancernej generała Stanisława Maczka,
z którą przeszedł szlak bojowy na terenie Belgii, Holandii i Niemiec.
Po demobilizacji w czerwcu 1948 r. powrócił do Polski.

Był człowiekiem bardzo zasłużonym
w podtrzymywaniu tradycji niepodległościowej
i upowszechnianiu wiedzy o polskim czynie zbrojnym
w czasie II wojny światowej.

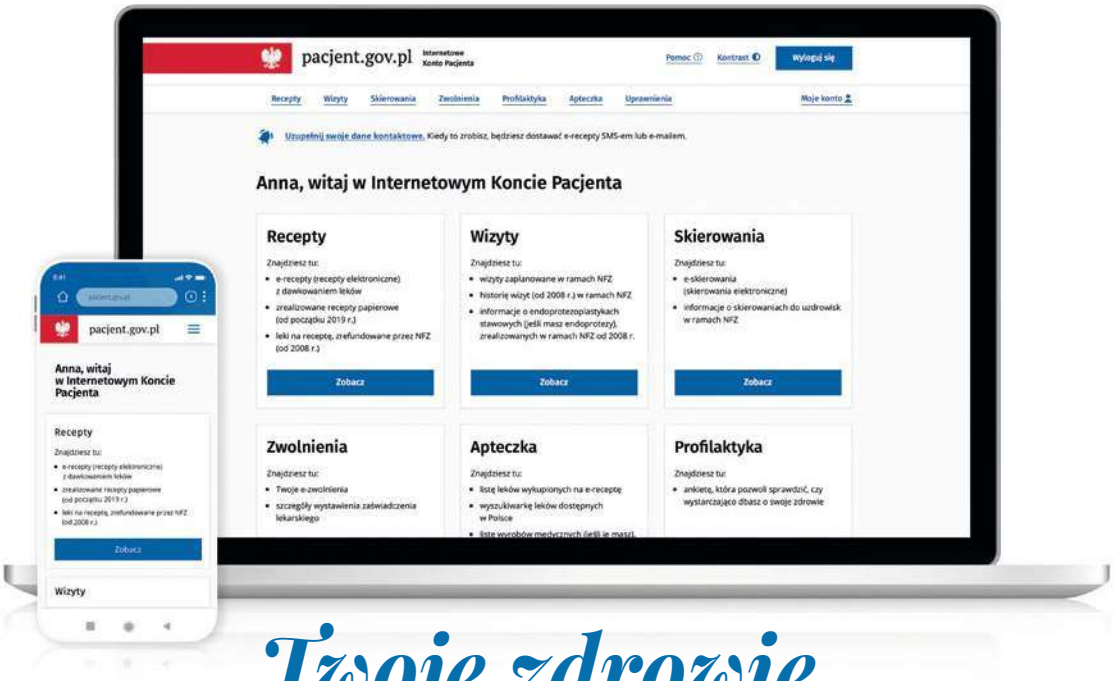
Odznaczony między innymi
Krzyżem Oficerskim i Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski,
Medalem Stulecia Odzyskanej Niepodległości,
Medalem Pro Bono Poloniae
i innymi odznaczeniami polskimi i brytyjskimi.

Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk
Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

51/0520/F

eprasa.pl 0a823495aa



Twoje zdrowie – bezpiecznie i wygodnie online

Do korzystania z Internetowego Konta Pacjenta przekonuje Polaków i komplementarność, i wygoda dostępu do usług w zakresie ochrony zdrowia. W tym „centrum dowodzenia" znajdują się informacje o twoim przeszłym, aktualnym lub planowanym leczeniu, ale także pakiet funkcjonalności pozwalający załatwić szereg spraw bez konieczności wychodzenia z domu. Tak jak niegdyś Polacy chętnie przestawili się na bankowość elektroniczną, tak dziś nie wyobrażamy sobie życia bez e-recept czy e-wizyt u lekarza

Informacje o naszym zdrowiu zapisane są w różnych systemach ochrony zdrowia. **Internetowe Konto Pacjenta (IKP) jest aplikacją Ministerstwa Zdrowia,** która porządkuje te rozproszone dotąd informacje medyczne w jednym miejscu. Znajdują się tu m.in. dane zaczerpnięte z:

- ✓ **Systemu e-zdrowie (P1)** - dotyczące e-recept i e-skierowań, które zmieniają system ochrony zdrowia z papierowego na cyfrowy i otwierają nowe możliwości korzystania z elektronicznych dokumentów medycznych;
- ✓ **Zintegrowanego Informatora Pacjenta** - systemu Narodowego Funduszu Zdrowia, który od 2008 r. gromadzi informacje o udzielonych świadczeniach oraz kwotach, które zostały przekazane na finansowanie twojego leczenia;
- ✓ **Zakładu Ubezpieczeń Społecznych** - który z Centralnego Wykazu Ubezpieczonych przekazuje informacje o relacjach opiekun-podopieczny, co pozwala nadać uprawnienia do konta dziecka temu z rodziców, który zgłosił je do ubezpieczenia. Stąd także pochodzi wiedza o e-zwolnieniach.

Pacjent.gov.pl to serwis informacyjny Ministerstwa Zdrowia, dzięki któremu obywatele mają w jednym miejscu dostęp do najważniejszych informacji na temat ochrony zdrowia w Polsce. Z artykułów publikowanych w serwisie można dowiedzieć się m.in. tego jak działają e-usługi, zapoznać się z informacjami na temat programów profilaktycznych, czy też sprawdzić gdzie uzyskać pomoc w nagłych przypadkach. **Pacjent.gov.pl** to też adres, pod którym zalogujesz się na Internetowe Konto Pacjenta, używając profilu zaufanego.

Profil zaufany to twoja przepustka do przeprowadzenia wielu spraw urzędowych online, w tym również zarządzania swoim Internetowym Kontem Pacjenta. Jeżeli dotąd nie korzystałeś z własnego profilu zaufanego, wejdź na stronę obywatel.gov.pl i postępuj zgodnie z instrukcjami w zakładce Załóż Profil Zaufany.

Ponadto Internetowe Konto Pacjenta ułatwia korzystanie z usług cyfrowych. O tym przekonali się podczas pandemii nawet ci Polacy, którzy przedtem nie wiedzieli o jego istnieniu. Rozwiązania dostępne na IKP pozwoliły nam korzystać z opieki służby zdrowia w momencie największych ograniczeń, ale ich wygoda sprawia, że pozostaną w naszym życiu, kiedy zdążymy już zapomnieć o koronawirusie.

1. E-RECEPTA – OD RĘKI

Na Internetowym Koncie Pacjenta możesz sprawdzić i pobrać wystawione e-recepty - zarówno po wizycie, jak i po konsultacji online - bez konieczności odbierania ich osobiście w przychodni. Tutaj również w każdej chwili możesz odświeżyć informacje o dawkowaniu poszczególnych leków,

eprasa.pl 0a823495aa

zapoznać się z ulotkami informacyjnymi każdego z nich. System podpowie także, czy wszystkie przepisane leki zostały wykupione, sprawdzi, jaki jest status e-recepty. E-recepty pojawiają się od razu po wystawieniu i podpisaniu ich elektronicznie przez lekarza, pielęgniarkę lub położną. Jeśli na swoim koncie zobaczysz receptę, której nie poznajesz, kliknij w link u dołu strony i zgłoś nieprawidłowość. W historii swoich recept znajdziesz również te papierowe zrealizowane od stycznia 2019 r. - gdyż farmaceuta przekazuje każdorazowo do systemu e-zdrowie (P1) informację o realizacji recepty. Historia sięga dalej - aż do roku 2008 - jednak dotyczy to jedynie recept zapisanych w systemie ZIP, które zostały zweryfikowane i opłacone przez NFZ.

2. ELEKTRONICZNA RECEPTA SMS-EM LUB E-MAILEM

Informację o przepisanych e-receptach i e-skierowaniach dostaniesz na telefon lub pocztą elektroniczną. Wystarczy uzupełnienie danych na własnym Internetowym Koncie Pacjenta: zaznaczenie, że chcesz otrzymywać powiadomienia przez e-mail lub SMS. Na adres e-mail będziesz otrzymywać informację z załączoną w PDF e-receptą. Do jej realizacji wystarczy okazanie recepty na ekranie smartfona farmaceucie, który zeskanuje kod i wyda lek. Z kolei na telefon przychodzi SMS z 4-cyfrowym kodem. Ten kod wraz ze swoim numerem PESEL możesz podać w aptece zamiast pokazywania papierowego wydruku informacyjnego, o który zawsze możesz poprosić lekarza. Jest to także ułatwienie dla osób, które wykupują leki swoim bliskim czy przyjaciołom: wystarczy znajomość kodu i nr PESEL pacjenta. Dzięki temu rozwiązaniu nie trzeba również wracać do lekarza, który niewyraźnie wypisał receptę lub gdyby została zgubiona albo zniszczona. Jeśli leczysz się przewlekle i stale przyjmujesz konkretne leki, niepotrzebna jest wizyta w przychodni tylko po przedłużenie leku. Wystarczy **e-wizyta**, czyli telefon lub kontakt e-mailowy z lekarzem, który może wystawić ci e-receptę. Wiadomość o niej dostaniesz natychmiast w momencie wystawienia w systemie, a recepta pojawi się na Internetowym Koncie Pacjenta.

> - Możliwość wydania e-recepty na przedłużenie przyjmowania leku to wygoda dla pacjenta, który zgłasza potrzebę podczas rozmowy telefonicznej bez konieczności przychodzenia do nas tylko w tym celu. Dla ośrodka zdrowia oznacza zaś lepszą organizację pracy: lekarz przyjmuje pacjentów, którzy wymagają bezpośredniego badania, a ja mogę w tym czasie telefonicznie „wypisać" e-receptę. Dzięki temu zniknęły ko-

E-wizyta ułatwia życie pacjentom 24 godziny na dobę



E-wizyta to konsultacja online z lekarzem lub pielęgniarką udzielana za pomocą wideorozmowy, chatu lub rozmowy przez telefon, bez konieczności wychodzenia z domu. Usługa jest dostępna 24 godziny na dobę przez 7 dni w tygodniu.

Jeśli po godzinach pracy przychodni, w dzień wolny od pracy lub z innego powodu nie możesz skontaktować się ze swoim lekarzem rodzinnym, wypełnij online formularz zgłoszeniowy dostępny pod adresem **pacjent.gov.pl/ewizyta** i zarejestruj się na e-wizytę lekarską lub pielęgniarską.

Podczas e-wizyty możesz m.in.:

- skonsultować niepokojące objawy lub złe samopoczucie,
- omówić wyniki badań, np. poziomu cukru czy ciśnienia,
- poprosić o e-receptę na leki, które stale przyjmujesz w przewlekłej chorobie,
- zapytać o dawkowanie leku.

Możesz również otrzymać poradę medyczną, a pracownik medyczny podejmie decyzję, czy e-wizyta jest wystarczająca w twoim przypadku. Czasami potrzebna będzie wizyta tradycyjna, by lekarz mógł Cię zbadać i ocenić bezpośrednio stan twojego zdrowia.

Na e-wizytę można się zapisać 24 godziny na dobę, 7 dni w tygodniu, także w niedziele i święta. Pamiętaj jednak, aby w dni robocze w godzinach 8:00–18:00 w pierwszej kolejności spróbować skontaktować się ze swoim lekarzem Podstawowej Opieki Zdrowotnej. Jeśli nie będzie to możliwe, wtedy skorzystaj z e-wizyty.

> – Nie umiem sobie wyobrazić, w jaki sposób działałaby służba zdrowia podczas pandemii, gdyby pacjenci nie mogli korzystać z teleporad. Myślę, że niejednemu z nas ta opcja uratowała zdrowie, a może nawet życie. Jednocześnie nie umiem sobie wyobrazić, że przyzwyczajeni do wygody, jaką daje możliwość konsultacji lekarskiej online, porady czy poproszenia o przedłużenie recepty przez telefon, mielibyśmy wrócić do zwyczaju chodzenia do przychodni – pomijając oczywiście te sytuacje, w których jest niezbędny bezpośredni kontakt z lekarzem. E-wizyta rozwiązuje problem kolejek, dostępności lekarza, pomaga oszczędzić czas i daje poczucie bezpieczeństwa ciągłości opieki – wymienia Katarzyna Kroczyńska, której rodzina korzysta z cyfryzacji usług zdrowotnych.

eprasa.pl 0a823495aa

lejki w naszej przychodni - mówi Marta Szymańska, pielęgniarka pracująca w przychodni lekarskiej.

3. ZARZĄDZAJ KONTEM DZIECKA

Internetowe Konto Pacjenta to baza wiedzy każdego rodzica o zdrowiu jego dziecka. Na swoim IKP masz dostęp do informacji medycznych twoich dzieci, które nie ukończyły jeszcze 18. roku życia. Konto dziecka jest dostępne u tego rodzica, który zgłosił je do ubezpieczenia w ZUS. Począwszy od 16. r.ż., nastolatek może się logować na swoje IKP, czytać swoje dane, ale nie ma pełnych uprawnień, np. nie może wyrażać zgody na operacje i zabiegi, nie może upoważniać innych osób do odczytywania jego danych.

Dorosły właściciel IKP może nadać uprawnienia osobom trzecim, udzielając im pełnomocnictwa poprzez konto. W ten sposób seniorzy mogą podzielić się dostępem np. ze swoimi dziećmi, które dopilnują terminów wizyt i wykupu leków. Internetowe Konto Pacjenta służy również udostępnianiu wybranemu lekarzowi, a nawet całej placówce medycznej, twojej elektronicznej dokumentacji medycznej. Upoważnienia możesz udzielić na określony czas i zakres danych. Wszystko to pod warunkiem, że w gabinecie lekarskim czy w przychodni jest zainstalowany odpowiedni system.

> Niezwykłą wygodą dla rodzica jest dostęp do wszystkich spraw związanych ze zdrowiem rodziny w jednym miejscu. Nie sposób pamiętać lub mieć przy sobie w każdym momencie pełną dokumentację każdego dziecka. Dostęp do informacji online, na Internetowym Koncie Pacjenta, pozwala nie tylko na kontrolę zdrowia i rozwoju każdego dziecka, ale również na szybką reakcję i podejmowanie decyzji w nagłych sytuacjach zdrowotnych - mówi Izabela Wardaszka, mama piątki dzieci.

4. ZGŁOŚ NIEPRAWIDŁOWOŚĆ

Internetowe Konto Pacjenta pozwala dokonać wyboru lub zmiany lekarza, pielęgniarki czy położnej Podstawowej Opieki Zdrowotnej - online. Sprawdzisz tu również, kto i kiedy Cię zgłosił do ubezpieczenia zdrowotnego, czy masz ważne ubezpieczenie zdrowotne (tzn. czy masz prawo do świadczeń zdrowotnych w ramach NFZ), a także wysokość opłaconych składek czy datę zarejestrowania ostatniej z nich. Tutaj zapisują się wszystkie otrzymane e-skierowania oraz związane z nimi terminy zaplanowanych konsultacji, zabiegów lub pobytów w szpitalach i uzdrowiskach. Dostępna jest historia wizyt lekarskich w ramach NFZ oraz informacje na temat świadczeń, jakich ci udzielono, ile NFZ za nie zapłacił, a także wystawionych elektronicznych zwolnień lekarskich. System oferuje też możliwość zgłaszania nieprawidłowości do NFZ, w przypadku gdy informacje, które w nim odczytujemy, nie są zgodne z naszą wiedzą na ten temat.

5. SPRAWDŹ WYNIK TESTU NA COVID-19

Internetowe Konto Pacjenta jest stale rozwijane z myślą o potrzebach pacjenta, dlatego pojawiają się na nim nowe funkcjonalności. Od maja br. wprowadzono możliwość sprawdzenia online wyniku testu na koronawirusa. Więcej informacji znajdziesz pod adresem **pacjent.gov.pl/punkty-pobran.**

Jeśli masz endoprotezy, teraz możesz już śledzić na swoim IKP informacje o endoprotezoplastykach stawowych zrealizowanych w ramach NFZ od 2008 r.

Udostępniono również dane dotyczące ubezpieczeń zdrowotnych: odczytasz wysokość aktualnych składek, ale także podsumowanie z poprzednich lat. Dowiesz się, ile wyniosła refundacja świadczeń, recept czy pobytów w uzdrowiskach.

Anna Raciniewska

Korzystaj z Internetowego Konta Pacjenta (IKP)

1. W serwisie pacjent.gov.pl kliknij **„Zaloguj się"**
2. Wybierz sposób logowania, np. **profil zaufany (PZ)**
   profil zaufany
3. **Brawo!** Jesteś na swoim Internetowym Koncie Pacjenta

Chcesz odbierać e-recepty SMS-em lub e-mailem?

4. Wybierz „Moje konto", a następnie ustaw „powiadomienia": wpisz swój numer telefonu lub e-mail (albo jedno i drugie)
5. Kliknij „Zapisz". Odtąd będziemy do Ciebie wysyłać **e-recepty SMS-em lub/i e-mailem**

E-wizyta krok po kroku

1. Podczas wypełniania formularza online na portalu pacjent.gov.pl podajesz swoje imię, nazwisko, wiek, PESEL, adres, e-mail i telefon.
2. Na podany adres e-mail otrzymasz wiadomość, jak połączyć się z lekarzem lub pielęgniarką za pomocą komputera, laptopa lub przez telefon. Komputer lub laptop musi mieć głośniki, kamerę i mikrofon. Zalecane jest korzystanie z jednej z następujących przeglądarek: Edge, Firefox, Opera, Safari, Chrome, Internet Explorer.
3. Gdy termin e-wizyty będzie się zbliżał, otrzymasz informację SMS-em, a następnie e-mail z linkiem, w który musisz kliknąć, by połączyć się z lekarzem lub pielęgniarką. Pilnuj terminu, aby nie przepadł!

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 44/0420/F

eprasa.pl 0a823495aa

Każdy lek niewłaściwie użyty...



...zagraża twojemu życiu lub zdrowiu. To najczęściej słyszane przez Polaków zdanie, bywa, że kilkadziesiąt razy dziennie. Jest efektem prawa nakazującego ostrzeganie konsumentów leków, ale wymyślone zostało przez prawników koncernów farmaceutycznych, by – w razie poważnych chorób spowodowanych przez leki (delikatnie nazwanych „powikłaniami") – producenci byli nie do ruszenia. By mogli się w sądach na owo zdanie powoływać, że przecież ostrzegali, że „widziały gały, co brały".

Czy jednak rozumiemy sens owego zdania? Mówi ono, że lek niewłaściwie użyty może nas zabić lub pozbawić zdrowia na całe życie. Mam wrażenie, że co chwila więc słyszymy ostrzeżenie, którego nie słyszymy.

Od kilku lat w czerwcu przechodzi przez Warszawę dziwna manifestacja. Ani prawicowa, ani lewicowa, ale w istocie – dziecięca. Tysiące rodziców pchają tysiące dziecięcych wózków, a w nich swoje niepełnosprawne, poważnie chore dzieci. Rodzice ci mówią, że ich dzieci są ofiarami „niepożądanych odczynów poszczepiennych", czyli czegoś, czego – zdaniem instytucji lekarskich, farmaceutycznych i państwowych – prawie w Polsce nie ma. A jednak takich dzieci jest coraz więcej. Rodzice protestują przeciwko przymusowi szczepień w pierwszych tygodniach życia dziecka, przeciwko „brakowi rzetelnych badań skutków szczepień", domagają się zaprzestania karania rodziców, którzy nie zgadzają się na szczepienie swoich chorych dzieci.

W Polsce niestety trwa zastraszanie lekarzy i zmuszanie, by wycofywali się ze swych diagnoz, gdy stwierdzają, że choroba dziecka jest wynikiem szczepienia. Trwa karanie rodziców broniących swych dzieci, trwa wyśmiewanie, poniżanie i eliminowanie z publicznego dyskursu wszystkich, którzy mają odwagę wołać o zachodnioeuropejskie standardy, a więc o sens przymusowych dywanowych szczepień dzieci. Szczepionki w Europie Zachodniej nie są obowiązkowe, to decyzja rodziców. Tymczasem w Polsce dla każdego dziecka obowiązkowych jest 41 szczepień, z czego 29 do drugiego roku życia. I ta liczba ciągle rośnie. Jesteśmy chyba najbardziej przymusowo wyszczepionym narodem świata. Czasem są to szczepionki (jak BCG) ponad 20 lat temu wycofane w krajach Europy Zachodniej ze względu na wysoki stopień powikłań. W Polsce obowiązkowe jest podawane ich w pierwszych dniach, a nawet godzinach życia, co na Zachodzie jest zakazane w stosunku do wszystkich szczepionek jako niosące zbyt wielkie ryzyko powikłań. Bo przecież oczywiste jest, że wtedy nie da się jeszcze zbadać, czy dziecko nie jest na dany odczynnik uczulone. Na Zachodzie nie wolno ryzykować zdrowia dziecka, u nas ważniejsza jest wyszczepialność.

W Polsce koncerny farmaceutyczne potrafią uciszać lekarzy, blokować zapytania o konflikty interesów przy ocenie jakości szczepionek, blokować powstanie (istniejącego w większości krajów Europy) funduszu odszkodowawczego dla ofiar poszczepiennych powikłań, wyśmiewać i poniżać rodziców, kupować media. Lobbyści koncernów pracują na maksymalnych obrotach, media roją się od reklam farmaceutycznych produktów, w internecie armie płatnych trolli rzucają się, by niszczyć wszystkich, którzy domagają się dla polskich dzieci europejskich standardów.

Manifestacja zrozpaczonych rodziców znowu chce przejść przez Warszawę. Nie wiem, jaka będzie formuła. Mam nadzieję, że nie dojdzie do szarpaniny z policją. Ale tym razem manifestacja będzie miała w tle majaczący pomysł obowiązkowego zaszczepienia wszystkich.

Jak słyszę, na jesień zaplanowana została druga fala pandemii. Domyślam się, że WHO i jej sponsorzy znają już liczbę – wiedzą, ilu ludzi zostanie „zachorowanych" za pomocą testów o 60-procentowej skuteczności. Ilu musi zostać „zachorowanych", by podtrzymać spontaniczne błaganie ludu miast i wsi o jak najszybszą szczepionkę. „Darmową" oczywiście. To znaczy taką, którą sprzeda się rządom, a nie szczepionym – taką, za którą zapłacimy wszyscy.

Kto chce, nich się szczepi. Ale wobec powyższych faktów oraz informacji o fałszowaniu danych medycznych przez klasyfikowanie zgonów na inne choroby, by podnieść liczbę rzekomych ofiar koronawirusa, w sytuacji śmiertelności 20-krotnie mniejszej niż zapowiadana, poważnych wątpliwości co do oceny skali epidemii oraz zastosowanych środków, wychodzenie z pomysłem „przymusowego zaszczepienia wszystkich" byłoby sabotażem, który ma obalić ten rząd. Dobrze życzących temu rządowi proszę więc o zaprzestanie mamrotania o tym upiornym pomyśle. Oświadczenie rządu w tej sprawie przed 6 czerwca uspokoiłoby nastroje. Nie ukoi bólu rodziców, ale zatrzyma rosnące przerażenie.

Maciej Pawlicki

eprasa.pl 0a823495aa



Jesteśmy blisko Ciebie

Dbamy o bezpieczeństwo energetyczne Polaków

Zapewniamy niskie ceny gazu dla gospodarstw domowych

PGNiG | DOBRA ENERGIA TANI GAZ

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL
DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL
STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA, ZBIGNIEW MALICKI
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL, BARTŁOMIEJ SZYPERSKI, BARTLOMIEJ.SZYPERSKI@FRATRIA.PL
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

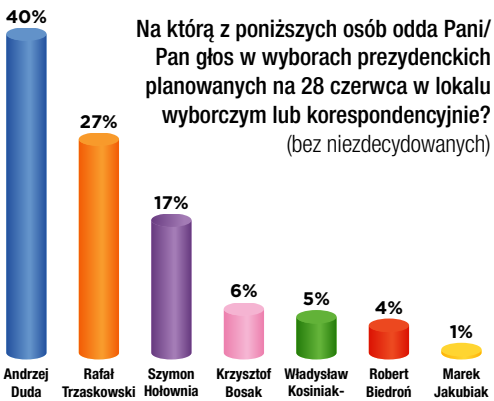
REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, KARASEV VICTOR/SHUTTERSTOCK.COM, SHUTTERSTOCK.COM

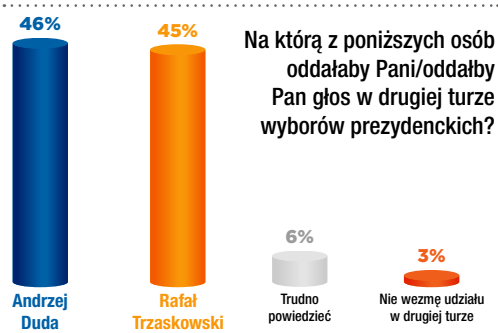
nasz sondaż

pracownia **Social Changes** dla wPolityce.pl

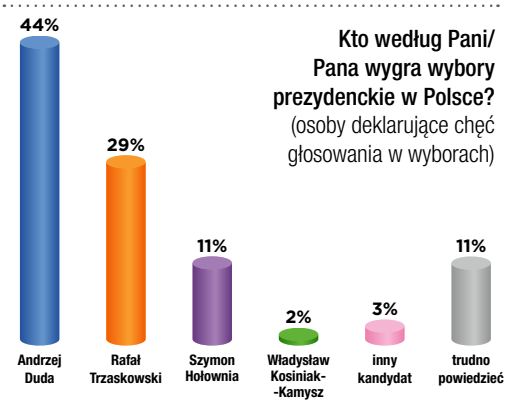
Na którą z poniższych osób odda Pani/Pan głos w wyborach prezydenckich planowanych na 28 czerwca w lokalu wyborczym lub korespondencyjnie?
(bez niezdecydowanych)



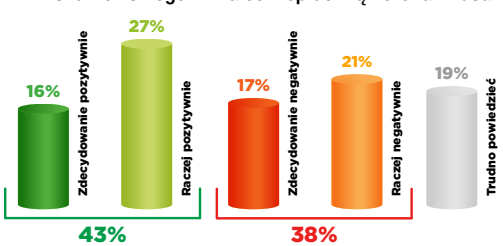
Na którą z poniższych osób oddałaby Pani/oddałby Pan głos w drugiej turze wyborów prezydenckich?



Kto według Pani/Pana wygra wybory prezydenckie w Polsce?
(osoby deklarujące chęć głosowania w wyborach)



Jak ocenia Pani/Pan działania ministra zdrowia Łukasza Szumowskiego w walce z epidemią koronawirusa?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1056.

Zakres czasowy badania 22–25 maja 2020 r.

Reklama | 41/0520/F

eprasa.pl 0a823495aa



Rosyjskie gry bojenne

Polska w niebezpieczeństwie

Przedstawiamy plany ataku Rosji na Polskę i państwa bałtyckie. Powstały na podstwie analizy ćwiczeń rosyjskiej armii, wypowiedzi tamtejszych polityków i wojskowych oraz strategicznych dokumentów, do których dotarli amerykańscy eksperci. Mamy do czynienia ze scenariuszem, który rosyjska armia mogłaby zrealizować w ciągu kilkunastu dni, zanim NATO będzie zdolne do zdecydowanej odpowiedzi



MAREK BUDZISZ

W trakcie ubiegłotygodniowego panelu, który został przeprowadzony przez waszyngtoński think tank Central European Policy Analysis, gen. Ben Hodges, jeszcze kilka lat temu dowodzący wojskami NATO w Europie, powiedział, że jego zdaniem bardzo prawdopodobnym scenariuszem jest wybuch wojny Stanów Zjednoczonych z Chinami w perspektywie najbliższego dziesięciolecia. Nie miał na myśli wojny handlowej ani rozgrywającej się w cyberprzestrzeni, ani pojedynków słownych toczonych na konferencjach prasowych przez dyplomatów obydwu krajów, ale jak najbardziej realną, w żargonie wojskowych określanych mianem kinetycznej, wojnę, którą znamy z filmów lub telewizyjnych informacji, choć te ostatnie mogą być mylące, bo skala konfliktu będzie nieprzewidywalna.

Jeśli ten scenariusz jest realny, a nawet tylko prawdopodobny, to warto powtórzyć za amerykańskimi strategami często przez nich formułowane pytanie: czy zaangażowanie sił wojskowych Stanów Zjednoczonych w Azji Południowo-Wschodniej nie otworzy innym wrogom Zachodu „okienka możliwości" i nie sprowokuje ich do agresji, zarówno politycznej, jak i być może militarnej? Po to by wymusić na osłabionym geopolitycznym rywalu ustępstwa.

Gdybyśmy się mieli odwoływać do dokumentów strategicznych naszego największego sojusznika, takich jak przyjęta przez administrację Donalda Trumpa na początku 2018 r. nowa redakcja Narodowej Strategii Obrony, to jasno z niej wynika, że głównym rywalem Stanów Zjednoczonych jest dzisiaj tandem Chiny–Rosja. I to z agresją ze Wschodu możemy mieć do czynienia w razie konfliktu chińsko-amerykańskiego.

Amerykańscy analitycy dopuszczają też odwrotny rozwój wydarzeń, czyli najpierw wojna z Rosją, a potem z Chinami, po tym jak Pekin uzna, że pierwsze starcie otwiera mu możliwość rozegrania sytuacji na własnych warunkach.

Państwa nie mogą liczyć, że „jakoś to będzie" i że wojskowi „jak zwykle przesadzają". Muszą przygotowywać się na najgorszy z możliwych scenariuszy. W polskim przypadku sprowadza się on do tego, że w perspektywie kilku lat możemy się znaleźć na froncie wojny z Federacją Rosyjską.

CZY TO SIĘ MOŻE ZDARZYĆ?

Pokazujemy fragmenty prezentacji ekspertów z New Generation Warfare (NEW), którzy od lat specjalizują się w planowaniu strategicznym, grach wojennych i analizie sytuacji na potrzeby amerykańskich i sojuszniczych

eprasa.pl 0a823495aa



sił zbrojnych. Ta akurat pochodzi z materiału przygotowanego dla Szwedzkiej Akademii Obrony, ale podobne narady, ćwiczenia i szkolenia były przeprowadzane przez specjalistów z NEW z siłami zbrojnymi państw bałtyckich, europejskiego dowództwa NATO, z polskimi i szwedzkimi specjalistami wojskowymi.

Ludzie, którzy zajmują się przygotowywaniem scenariuszy przyszłych wojen i szkoleniem elit politycznych i wojskowych państw NATO, zanim stworzyli prywatną firmę – bo w takiej formule działa NEW – przez lata zajmowali się podobnymi sprawami w Pentagonie. Kim są? To choćby Charles Long, który zjeździł całą wschodnią Ukrainę, obserwował linię frontu, rozmawiał z dowódcami i żołnierzami armii ukraińskiej, po czym uczestniczył w przygotowaniu liczącego ponad 10 tys. stron raportu na ten temat. Greg Melcher, który wcześniej przez 27 lat był zastępcą szefa Komitetu Planowania i najwyższym cywilnym przedstawicielem w strukturach planowania strategicznego amerykańskiej Marynarki Wojennej, czy Philip Petersen, który przez kilkanaście lat był jednym z głównych analityków Agencji Wywiadu Wojskowego, a potem pracował w biurze Sekretarza Obrony, od lat zajmują się analizą przyszłego teatru wojny z Rosją. Obserwują działania Moskwy, analizują przeprowadzane przez jej siły zbrojne ćwiczenia, wypowiedzi polityków i wojskowych, dokumenty strategiczne – zarówno jawne, jak i te mniej dostępne opinii publicznej. Wielokrotnie byli w Polsce, gdzie analizowali możliwości komunikacji, ukształtowanie terenu, przebieg rzek i ewentualne przeprawy. Podobne prace w ostatnich latach prowadzone były w państwach bałtyckich, bo Amerykanie, którzy nigdy nie byli wojskowo na wschodzie Europy, musieli i chcieli poznać przyszły teatr wojny, na którym, być może przyjdzie im działać.

Mamy zatem do czynienia z dokumentem strategicznym, będącym efektem wieloletniej pracy, zdobywania informacji i analizowania sytuacji. Materiał, który prezentujemy, nie jest zresztą jedynym mówiącym o wojnie z Rosją o państwa bałtyckie, jakie w ostatnich miesiącach opublikowały amerykańskie ośrodki analityczne. The Jamestown Foundation, instytucja założona za czasów Reagana przez oficerów amerykańskich służb wywiadowczych, czy zespół kierowany przez gen. Hodgesa, działający w ramach fundacji Central European Policy Analysis, opublikowali wiele opracowań traktujących o tym samym, czyli możliwym przebiegu wojny z Rosją. Możemy mówić o pewnej sumie amerykańskiej wiedzy strategicznej, której zasadnicze konkluzje podzielane są zresztą przez wojskowych specjalistów państw NATO, w tym z Polski, bo ich przedstawiciele uczestniczyli w przygotowywaniu tych dokumentów.

SŁABE PUNKTY

Jakie są wnioski, które można wyciągnąć, analizując dostępne materiały, w tym prezentację przygotowaną przez specjalistów z New Generation Warfare?

Po pierwsze, nie ma mowy o żadnej wschodniej flance NATO. Jeśli wybuchnie konflikt, to mogą w nim uczestniczyć również państwa niebędące członkami paktu, takie jak Szwecja czy Finlandia, ale również kluczową rolę może w nim odegrać Ukraina. A zatem od postawy Sztokholmu, który kontroluje strategicznie ważną dla żeglugi na Bałtyku wyspę Gotlandia, czy Finlandii, mogącej zamknąć wyjście z Zatoki Fińskiej, zależeć będzie zapewne przyszły los wojny o państwa bałtyckie. Podobną rolę odegrać może Ukraina, przy granicy z którą stacjonuje silna rosyjska 20 Armia, a od jej działań zależeć może postępowanie głównej rosyjskiej siły uderzeniowej, czyli pancernej pięści sił zbrojnych Federacji Rosyjskiej, jaką jest Pierwsza Gwardyjska Armia Pancerna (PGAP). O zdecydowanie ofensywnym charakterze tej formacji świadczy, zdaniem specjalistów, jej kształt, przede wszystkim posiadanie 550–800 czołgów, stale zresztą wymienianych i modernizowanych, oraz 550 wozów bojowych piechoty.

Analiza scenariuszy ostatnich wielkich rosyjskich ćwiczeń wojskowych, w tym Zapad 2017, skłania amerykańskich strategów do formułowania tezy,

Ciąg dalszy na str. 28

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 0a823495aa

CZY TAK BĘDZIE WYGLĄDAŁA ROSYJSKA

BAŁTYCKA KAMPANIA

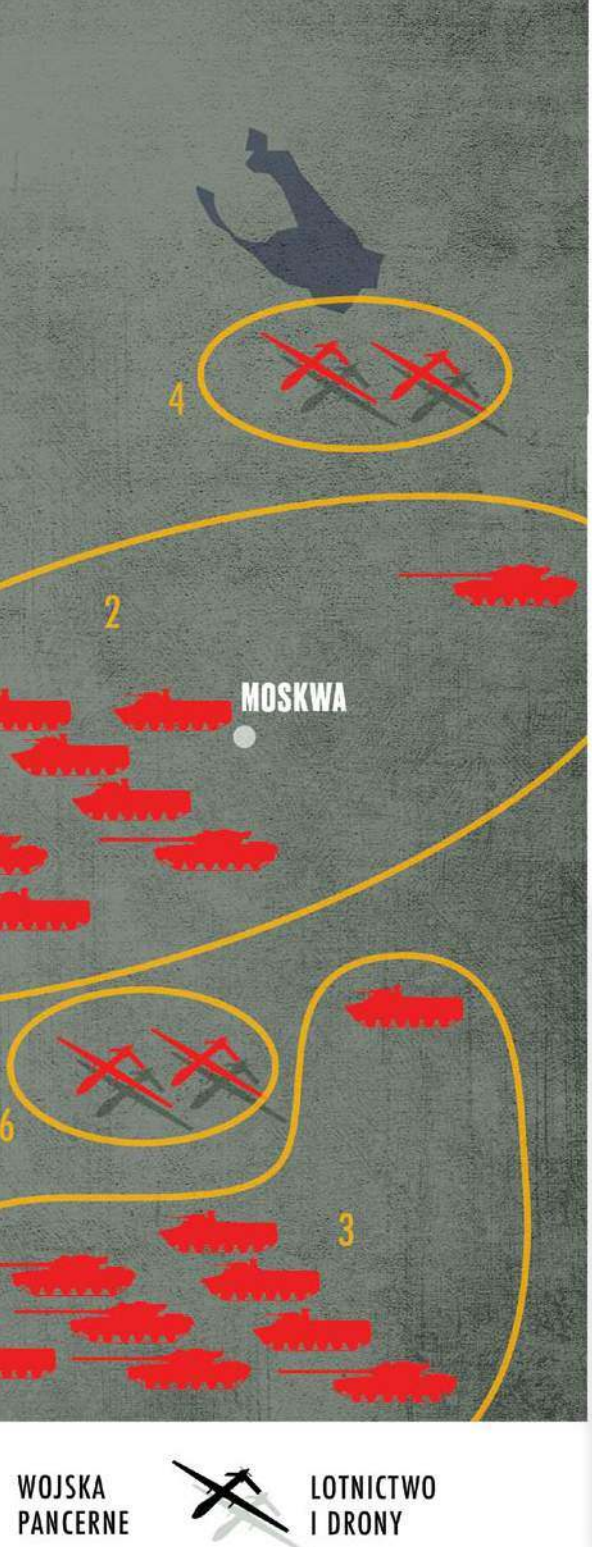


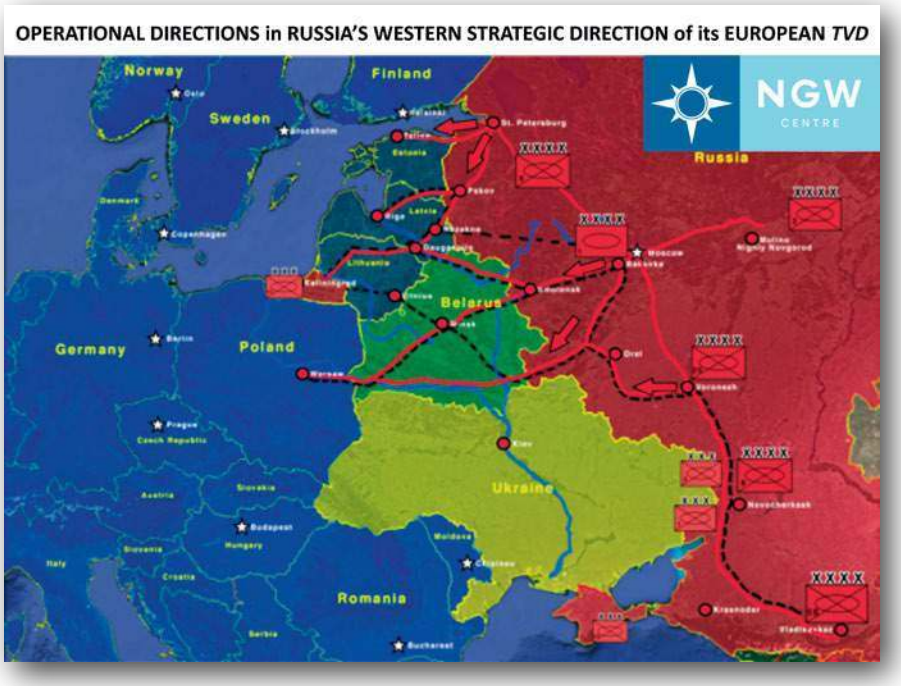
Zdecydowaliśmy się uprościć oryginalną mapę z prezentacji sporządzonej przez amerykańskich strategów z New Generation Warfare, która jest rezultatem przeprowadzonych przez nich analiz, zarówno wielkich ćwiczeń rosyjskich Zapad, jak i ukształtowania terenu, połączeń komunikacyjnych i miejsc dyslokacji rosyjskich sił zbrojnych.

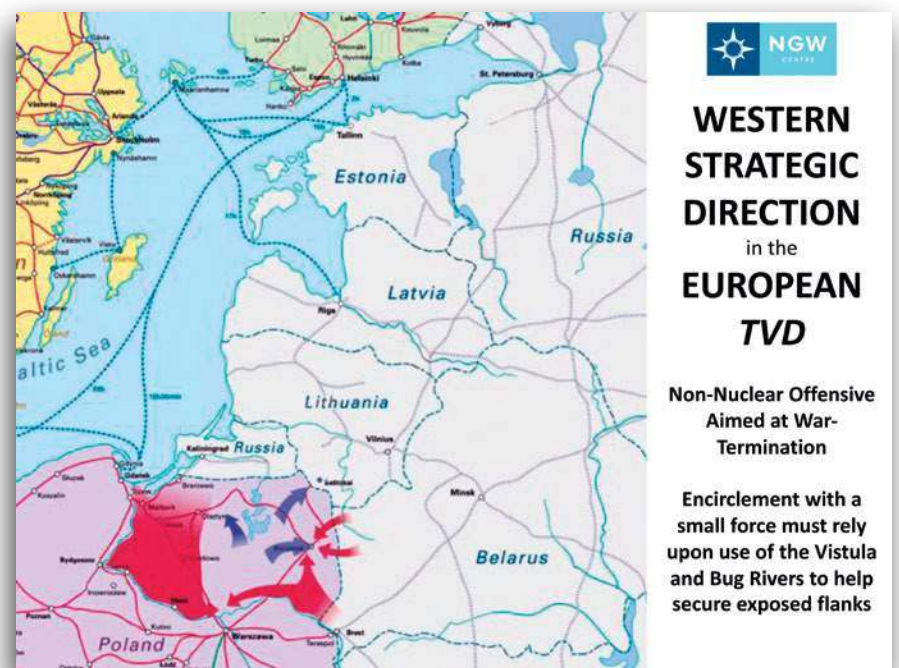
Poszczególne formacje oznaczyliśmy cyframi:

1. 6 Armia, ze sztabem w St. Petersburgu. Podstawą operacyjną może być rejon St. Petersburga i Pskowa. Przewidywany i szkolony kierunek uderzenia – Tallin.
2. Pierwsza Gwardyjska Armia Pancerna. Pancerna pięść rosyjskiej armii. Może, w zależności od rodzaju konfliktu, operować częścią sił na kierunku bałtyckim (na Rygę i przecięcie linii komunikacji Kowno–Ryga–Tallin), polskim (z podstawy operacyjnej na Biało-

eprasa.pl 0a823495aa







rusi). Kierunek uderzenia na Brześć pozwala przemieścić dziennie do sześciu bojowych grup brygadowych, na Wilno jest znacznie bardziej ograniczony (jedna grupa dziennie).

3. 20 Armia, której głównym celem operacyjnym jest kierunek ukraiński, ale dla części jej pododdziałów także kierunek białoruski. Od postawy Ukrainy zależeć może jej wykorzystanie w wojnie o Państwa Bałtyckie.
4. 98 Samodzielna Brygada Rozpoznawcza, która ma operować na korzyść dowództwa Pierwszej Gwardyjskiej Armii Pancernej.

Dodatkowo na mapie zaznaczone są miejsca dyslokacji podstawowych jednostek wojsk powietrznodesantowych.

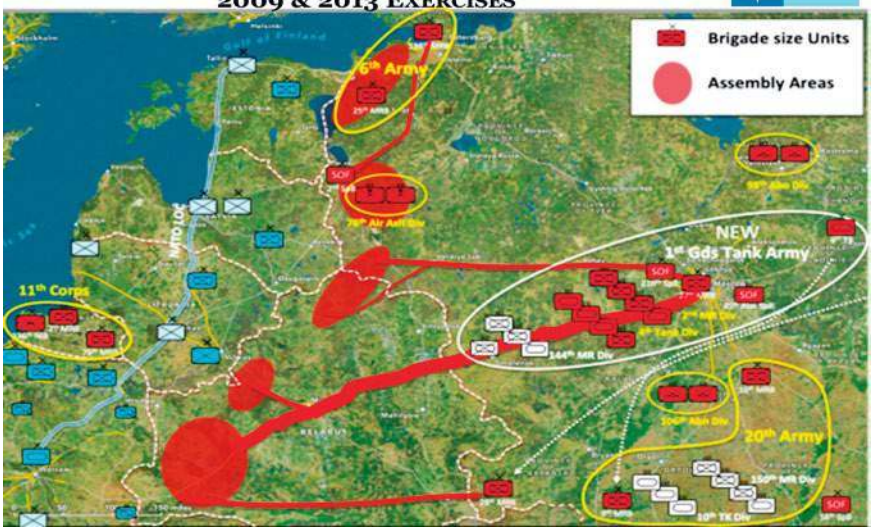
5. 76 Gwardyjska Dywizja Desantowo-Szturmowa (Psków).
6. 106 Gwardyjska Dywizja Powietrznodesantowa (Tuła).

Jednostki rozlokowane w obwodzie kaliningradzkim oznaczone są cyfrą.

7. 11 Korpus Armijny (Gusiewo) wchodzący w skład Floty Bałtyckiej.

eprasa.pl 0a823495aa

LIKELY DEPLOYMENT BASED ON *ZAPAD* 1999, 2009 & 2013 EXERCISES



że głównym zadaniem PGAP w razie konfliktu będzie szybkie przemieszczanie się na Zachód, a nie atakowanie państw bałtyckich. Z politycznego punktu widzenia oznacza to, że polski plan obrony nie może się ograniczać wyłącznie do związków w obrębie NATO, musi być szerszy i obejmować państwa pozostające poza sojuszem.

Po drugie, słabym ogniwem w łańcuchu państw bałtyckich jest Łotwa. Prawdopodobne uderzenie wyjdzie z obszaru nadgranicznego z prowincją Łatgalia i prowadzone będzie przez rosyjską 76 Gwardyjską Dywizję Desantowo-Szturmową oraz jednostki Pierwszej Gwardyjskiej Armii Pancernej. Stacjonująca w okolicach Petersburga 6 Armia uderzy najprawdopodobniej na Tallin.

Amerykańscy stratedzy są zdania, że tempo rosyjskiego natarcia może być tak duże (szybkie przemieszczanie się oddziałów pancernych było w ostatnich latach wielokrotnie ćwiczone przez Rosjan), że w czasie od 24 do, optymistycznie rzecz biorąc, 72 godzin rosyjskie zagony pancerne znajdą się na przedmieściach zarówno Rygi, jak i Tallina. Warto na to zwrócić uwagę, bo w łotewskim Adaži na przedmieściach Rygi znajdują się polscy żołnierze. Są tam też wojskowi ze Słowacji, Albanii, Czech, Włoch i wielu innych państw NATO, ale nie ma – o czym warto wiedzieć – Amerykanów. Strategiczne dokumenty Pentagonu wskazują, że to może być jeden z główny celów ewentualnego rosyjskiego natarcia. Dlaczego zatem Amerykanów nie ma na Łotwie? Podobnie zresztą jak nie ma sił naszego największego sojusznika ani w Estonii, ani na Litwie. Kto zatem będzie bronił państw bałtyckich?

I to jest trzecia kwestia wymagająca rozstrzygnięcia, bo w zgodnej opinii amerykańskich strategów nie mogą one obronić się same w razie rosyjskiej agresji. Dziś trzy państwa bałtyckie razem wzięte mają pod bronią 22 tys. ludzi, co nawet jak na liczącą 6 mln osób populację jest stanowczo zbyt mało. Dla porównania, w czasie wojny zimowej 1939 r. mająca podobną liczbę ludności Finlandia była w stanie zmobilizować 300 tys. ludzi. Aby obecnie poważnie myśleć o obronie własnej niepodległości, Bałtowie muszą podwoić liczebność swych sił zbrojnych. Ale nawet jeśli uznamy, że jest to realny scenariusz, to i tak w związku z brakiem ciężkiego uzbrojenia i lotnictwa nie wygrają tej bitwy sami.

W opublikowanym jesienią ub.r. raporcie The Jamestown Foundation, którego autorem jest prof. Richard D. Hooker jr, amerykański strateg w stopniu pułkownika, dziś m.in. wykładowca w NATO War College, zawarta jest teza, że obrona Bałtów to zadanie Polski i Stanów Zjednoczonych. Ładnie to wygląda na papierze, tylko że wojsk amerykańskich nie ma w tym regionie, a jeśli są, to w niewielkiej liczbie. Tylko nasza armia z konieczną pomocą Stanów Zjednoczonych może zablokować i zniwelować przytłaczającą dziś przewagę sił lądowych, którą dysponują Rosjanie na tzw. kierunku bałtyckim. Siły innych, teoretycznie lepiej przygotowanych państw Sojuszu, jeśli w ogóle podejmą decyzję o wzięciu udziału w konflikcie, mogą zmobilizować się, zdaniem Hookera, najwcześniej 30 dni po rozpoczęciu wojny, ale bardziej prawdopodobne, że zajmie im to nawet trzy miesiące.

A realnie wyglądałoby to tak. Rosjanie zaatakowali, ich zagony pancerne zbliżają się do Tallina i Rygi. Polskie dowództwo i władze państwa bombardowane są telefonami z Adaži, jak mają zachować się nasze oddziały: walczymy, rozpoczynając wojnę z Rosją, czy się wycofujemy? A pamiętajmy, że nie ma jeszcze decyzji o uruchomieniu art. 5 i Waszyngton nie podjął decyzji o pełnoskalowej wojnie.

I tu pojawia się czwarta, fundamentalna z naszego punktu widzenia kwestia. Stratedzy z NEW uważają, po przeanalizowaniu scenariuszy ostatnich rosyjskich ćwiczeń i zdolności przemieszczania się sił zbrojnych Federacji Rosyjskiej, że kluczowy może być w takiej sytuacji kierunek natarcia sił rosyjskich przez Białoruś. Dziennie nad Bug, w okolice Brześcia, Rosjanie są w stanie przerzucić sześć grup brygadowych, podczas gdy w stronę państw bałtyckich tylko jedną. Ze strategicznego punktu widzenia, jeśli wejdziemy do wojny z Federacją Rosyjską, możemy mieć do czynienia z koncentrycznym uderzeniem sił Pierwszej Gwardyjskiej Armii Pancernej na południe od Białegostoku i oddziałów Floty Bałtyckiej z kierunku Kaliningradu, wykorzystujących autostradę A1 i drogę S7 w stronę Warszawy. Rosjanie mogą wykonać ten, tradycyjny zresztą manewr po to, aby ich siły spotkały się w okolicach Modlina i stamtąd, ostrzeliwując Warszawę, dążyć do wymuszenia ustępstw lub kapitulacji. Mamy do czynienie ze scenariuszem realizowanym w czasie kilkunastu dni, zanim jeszcze NATO będzie zdolne podejmować decyzje.

Zwróćmy uwagę, jakie jest nasze położenie. Polskie siły zbrojne bronią Przesmyku Suwalskiego, a nie ma nas na możliwym kierunku natarcia z okolic Brześcia. Nie możemy mieć pewności, że w ostatecznym rachunku amerykańskiej jednostki z okolic Orzysza wejdą do wojny. Waszyngton nie podjął decyzji, mimo że eksperci z NEW proponowali tego rodzaju posunięcie, o przemieszczeniu swych oddziałów pancernych na wschód od Wisły.

Jedna z map, którą reprodukujemy, mówi wprost o „nienuklearnej ofensywie celem wcześniejszego zakończenia wojny", bo to jest wielce prawdopodobna strategia Rosji. Jakie mamy gwarancje, że ten scenariusz nie stanie się rzeczywistością?

eprasa.pl 0a823495aa

5G, czyli nie ma innej drogi



Pojawienie się w Polsce koronawirusa, a w konsekwencji zamknięcie szkół, części firm, a tam, gdzie to możliwe, przejście na pracę zdalną, spowodowało prawdziwą cyfrową rewolucję w Polsce, a jednocześnie jest największym w historii testem infrastruktury telekomunikacyjnej

Choć można powiedzieć, że operatorzy ten test przechodzą dobrze, to zapoczątkowana już rewolucja gwałtownie zwiększa potrzeby klientów indywidualnych i biznesowych w zakresie zapotrzebowania i modelu wykorzystania usług telekomunikacyjnych i teleinformatycznych. Permanentna praca czy nauka zdalna powodują, że rola i oczekiwania wobec operatorów gwałtownie rosną. To dobry moment, żeby zastanowić się, jaką rolę w tej nowej sytuacji mogą odegrać technologie, w tym przede wszystkim 5G i edge computing oraz niezbędne do rozwoju tych technologii częstotliwości.

Obecna sytuacja pokazuje, że choć sieci są gotowe na zwiększone obciążenia, to nie bez konsekwencji dla uzyskiwanych przez klientów prędkości przesyłania danych. Dalszy rozwój cyfrowych usług nie jest możliwy bez rozbudowy sieci telekomunikacyjnych, a to będzie możliwe tylko dzięki pozyskaniu przez operatorów dodatkowych pasm częstotliwości, które zapewnią odpowiednie pojemności w sieci na kolejne urządzenia, ale również pozwolą utrzymać wysoką jakość usług internetu mobilnego pomimo gwałtownego wzrostu zapotrzebowania na te usługi. Obecna sytuacja bardziej niż cokolwiek innego pokazuje, jak istotna jest dystrybucja pasma z zakresu 3,4-3,8 GHz dla rozwoju gospodarki, rozrywki, kultury szkolnictwa czy służby zdrowia.

Operatorzy działający w Polsce nie zamierzają czekać z uruchomieniem sieci 5G aż do czasu zakończenia aukcji i rozdysponowania nowych częstotliwości. Większość z nich już ogłosiła, że planuje uruchomienie technologii 5G na częstotliwościach, które już posiada. T-Mobile potwierdził największą w Polsce infrastrukturę 5G na częstotliwościach 2,1 GHz zbudowaną w Warszawie i obejmującą 800 stacji bazowych. Jednocześnie T-Mobile zapowiedział, że liczba stacji wzrośnie w pierwszej połowie 2020 r. do 1,6 tys. stacji w pięciu miastach Polski.

Przygotowanie sieci do uruchomienia technologii 5G oznacza modernizację infrastruktury radiowej operatora w taki sposób, by móc zaoferować klientom najwyższą jakość świadczonych usług i najwyższe prędkości przesyłania danych również na już używanych technologiach, w szczególności LTE. Należy pamiętać, że 5G na dotychczasowych częstotliwościach (tzw. 5G midband) nie jest substytutem, ale uzupełnieniem 5G na nowych częstotliwościach. Prawdziwych przewag technologicznych, w tym wyższych prędkości przesyłania danych, klienci doświadczą dopiero dzięki częstotliwościom, które będą rozdysponowane w aukcji.

Transfer musi być najwyższej jakości. Dystrybucja nowych częstotliwości jest kluczem do rozwoju zdalnych form nauczania – szczególnie w obszarach nisko zurbanizowanych, ale i coraz bardziej wymagającego w zakresie transmisji danych biznesu. Obecna sytuacja z pewnością wpłynie na rozwój pracy zdalnej. Coraz częściej pracę zdalną będą wykonywać osoby, które na co dzień potrzebują dużych mocy obliczeniowych i przesyłają ogromne ilości danych. Dla tych osób połączenie usług chmurowych, przeniesienie części mocy obliczeniowej do sieci i korzystanie z szybkich łączy radiowych 5G będzie naturalną koleją rzeczy. Ale to nie wszystko. Technologia 5G będzie stanowić siłę napędową do tworzenia nowych przedsiębiorstw, nowych miejsc pracy i gałęzi gospodarki, będących siłą napędową całej gospodarki. Sieć 5G zapewni bezpieczne i stabilne połączenia dla służby zdrowia oraz możliwość korzystania z tysięcy sensorów monitorujących zdrowie i proces leczenia pacjentów.

A co jeśli nie 5G? Wtedy, w dłuższym okresie musimy się liczyć ze spowolnieniem prędkości transmisji danych co może wpłynąć na jakość niektórych usług. Dla nowoczesnej gospodarki oznaczałoby to powolne wymieranie i utratę konkurencyjności.

Fot. Shutterstock

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 27/0520/F

eprasa.pl 0a823495aa



Co łączy rzekome zagrożenie płynące z sieci 5G, doniesienia o amerykańskich żołnierzach przywożących do Polski COVID-19 i zeszłoroczne alarmy bombowe w szkołach? Interes Moskwy

Fot. M. Czutko

Wojna trwa

O rosyjskiej cyberagresji i o tym, jak każdy z nas może z nią walczyć, ze Stanisławem Żarynem, dyrektorem Departamentu Bezpieczeństwa Narodowego w KPRM, rozmawiają Marek Pyza i Marcin Wikło

Przyjadą do nas czołgami czy znajdziemy ich w komputerze?

Stanisław Żaryn: W naszym komputerze i smartfonie są od dawna. Robią swoje. A naszym zadaniem – jako służb – jest identyfikacja ich działań. To, co robią teraz, to sianie chaosu w opinii publicznej, aby zdestabilizować państwo polskie. Wszystko po to, by zatrzymywać procesy i decyzje wynikające z naszej racji stanu, które dla Rosjan są niebezpieczne.

Czyli wojna trwa?

Wojna informacyjna, wojna podprogowa na pewno. Choć warto doprecyzować, że z reguły wojna kojarzy nam się z fizyczną agresją, kompletnie zmieniającą rzeczywistość dookoła nas, czymś niepojętym, czego za wszelką cenę chcemy uniknąć. Dla Rosjan zaś wojna informacyjna czy tzw. wojna hybrydowa to typowa działalność państwowa, czasem nawet element poczynań dyplomatycznych. Oni nie muszą przestawiać żadnego guzika na tryb „W". Dla nich nie ma znaczenia, czy jest wojna, czy pokój, mogą i tak prowadzić swoje agresywne działania w różnych obszarach. To zresztą wynika z ich oficjalnej doktryny wojennej.

Rozumiemy, że chodzi o pewną różnicę cywilizacyjną, która oddziela świat zachodnich demokracji od Rosji.

Władze na Kremlu bazują na tym, że nie ponoszą w Rosji żadnych konsekwencji swoich działań. Nie muszą się z tego tłumaczyć przed własnymi obywatelami. My na Zachodzie nie używamy ani nie możemy użyć tej samej broni – np. gry politycznej opartej na kłamstwie, bo nie może być przyzwolenia na kłamstwo w życiu państwa. Rząd, który by się tego podjął, po zdemaskowaniu takiej gry pozorów natychmiast by upadł. Rosyjskie władze nie mają ograniczeń ani moralnych, ani politycznych. I skrzętnie z tego korzystają.

W ubiegłym tygodniu zostały zaatakowane polskie portale informacyjne. Podmieniono w nich część treści albo dodano zupełnie fikcyjne artykuły atakujące lub ośmieszające obecność wojsk amerykańskich w Polsce. Jak się robi takie rzeczy?

eprasa.pl 0a823495aa

W skrócie – ktoś wynalazł luki w zabezpieczeniu tych stron i, „kradnąc" uprawnienia, dostał się do panelu do dodawania i moderowania treści. W artykule wykasował starą, prawidłową treść, a w to miejsce pojawiła się nowa.

To słabość systemu czy ludzi? Ktoś się po prostu nie wylogował albo zgubił login?

Takie ataki przeprowadzają osoby, które dobrze diagnozują słabości w zabezpieczeniach. Ostatnie działania nie dotknęły tych stron po raz pierwszy. Problem dotyczy m.in. witryny epoznan.pl, znów coś działo się na stronie gminy Orzysz czy serwisu Olsztyn24.com. Hakerzy mają także na liście skalpów Radio Szczecin, TV Republikę czy niezalezna.pl.

A jak się robi cyberpropagandę wojskową?

Niedawno na jednej z anglojęzycznych stron pojawił się wywiad, który rzekomo miała przeprowadzić jedna ze znanych polskich dziennikarek z amerykańskim generałem. Taka rozmowa nigdy się nie odbyła. Ale czytelnikom w imieniu ważnego sojusznika Polski zaserwowano przekaz, że nasze wojsko do niczego się nie nadaje, a Litwa, Łotwa i Estonia to kraje już w zupełnej zapaści, z którymi nie należy współpracować, bo nie wywiązują się z żadnych zobowiązań. Z daleka czuć, że to ordynarny fake.

Jest pewność, że to Rosjanie?

W takich działaniach raczej nikogo za rękę się nie łapie, bo autorzy są profesjonalistami i niełatwo ich zidentyfikować. Trudno więc mówić o dowodach, ale możemy powiedzieć, że znakomicie wpisuje się to w taktykę działań rosyjskich. Co więcej, ten sposób działania w szczególnym natężeniu obserwujemy od momentu rozmieszczenia wojsk amerykańskich w Polsce. Przypomnijmy, że do ataku hakerskiego doszło w ubiegłym roku, gdy rozpoczynały się międzynarodowe ćwiczenia „Anakonda". Mieszkańcy okolicznych gmin mogli przeczytać informację, że „armia amerykańska będzie ich siłą wysiedlać, bo musi zapewnić mieszkania dla żołnierzy".

To grubymi nićmi szyte. Jaki jest cel takich operacji i czy przynoszą one jakiś skutek?

Po pierwsze, manifestują, że można zainfekować naszą przestrzeń publiczną. Po drugie, powodują pewien chaos informacyjny, bo przecież cywile nie mają pewności, czy ten amerykański generał kiedyś czegoś takiego o Polsce nie powiedział. Po trzecie, stałym celem jest destabilizacja relacji polsko-amerykańskich. Autorom tych ataków zależy na tym, byśmy obdarzali się mniejszą ufnością niż teraz. A po czwarte, to jest obliczone na radykalizację postaw pewnych środowisk. Zawsze potem obserwujemy wysyp komentarzy o „okupacyjnej armii amerykańskiej", o tym, że to „w zasadzie to samo co Sowieci po 1945 r.", podnoszone są hasła w stylu: „W Polsce tylko wojska polskie".

Ktoś wierzy w takie fake newsy?

Zawsze znajdzie się jakaś naprawdę skrajna grupa, która podejmie tę narrację. A i w tzw. centrum polityki słychać, że obecność wojsk USA w Polsce to prowokowanie Rosji, która na pewno za chwilę nas najedzie. Straszenie Amerykanami w takim kontekście to stała gra rosyjskiej propagandy. Każde, nawet najdrobniejsze, zdarzenie z udziałem żołnierzy US Army jest nagłaśniane ponad miarę, by wytworzyć wrażenie, że oni w Polsce zajmują się głównie wszczynaniem bójek i powodowaniem wypadków samochodowych.

Wojska USA mamy w Polsce od 2017 r. Czy to znaczy, że wcześniej takich ataków nie było czy po prostu dotyczyły czegoś innego?

Tego typu działalność nie została wymyślona ostatnio. Pierwszy raz takie nasilenie odnotowaliśmy w trakcie aneksji Krymu i polskiego zaangażowania na rzecz Ukrainy. Potem w czasie szczytu NATO w Warszawie, na którym zapadła decyzja o przesunięciu wojsk sojuszniczych na wschodnią flankę Sojuszu, czyli naszą wschodnią granicę. To zresztą ciekawe, że bliskość Rosji i nasze wieloletnie nierówne relacje sprawiają, że oni traktują nas ciągle trochę osobno, a tylko trochę jako część Paktu Północnoatlantyckiego. Wciąż zresztą walczą, by kraje wschodniej flanki nie miały takiego samego poziomu bezpieczeństwa co inne kraje paktu.

Czy czas epidemii jest jakoś szczególnie wykorzystywany przez Rosję do cyberataków w Polsce?

Teraz niewątpliwie ataki są mocniejsze, ale chwilami bardziej rozproszone. Z jednej strony mamy kolejną odsłonę dyskredytacji Stanów Zjednoczonych, propaganda jest skupiona na tym, by podkreślać, że to jest siedlisko koronawirusa i każdy żołnierz stamtąd zapewne rozsiewa zarazę u nas. Zaobserwowaliśmy taką aktywność przy okazji startujących ćwiczeń „Defender", masa tego typu informacji pojawiła się w czasie, gdy żołnierze do nas płynęli i lecieli. Później manipulowano danymi, wykorzystując pojedyncze przypadki zakażeń do potęgowania skali zagrożenia. To też klasyka rosyjskiej manipulacji – opierając się na faktycznych wydarzeniach, buduje się piramidalne kłamstwa.

Ale przecież nie wszystkie rosyjskie dezinformacje dotyczą USA. W ostatnich tygodniach sporą popularność zdobywały teorie spiskowe – od rzekomej radiacji po pożarze lasu w Czarnobylu, przez te o sieci 5G, po fake newsy dotyczące pandemii. To wszystko też robota Kremla?

Powiedziałbym tak: w rozprzestrzenianie teorii spiskowych na temat 5G czy szczepionek włączają się również te podmioty, które w ostatnich latach są mocno zaangażowane w promowanie rosyjskich tez propagandowych. Mówię np. o różnych kanałach na YouTube, których jednostkowe produkcje potrafią osiągać nawet 100 tys. wyświetleń. Pamiętajmy też, że Rosjanie nie wszystko inspirują, ale też chętnie się podczepiają pod działania, które mogą się okazać dla nich korzystne. Tak mogło być z ostatnią sprawą Czarnobyla. Podobnie kilka tygodni temu z rzekomym listem ministra obrony narodowej wycofującym się z podwyżek dla żołnierzy. Służba Kontrwywiadu Wojskowego zidentyfikowała autora i okazało się, że chodziło

eprasa.pl 0a823495aa

raczej o głupi żart, w założeniu na dużo mniejszą skalę. Ten człowiek poniesie konsekwencje. Ale propaganda rosyjska też z tego skorzystała.

Nie jest dziwne, że po każdym takim przypadku natychmiast zapala się lampka – czerwona jak gwiazdy na murach Kremla. Nawet przyjęta niedawno Strategia Bezpieczeństwa Narodowego w wielu punktach wskazuje jako największe niebezpieczeństwo dla Polski właśnie Rosję.

Działania dezinformacyjne, o których rozmawiamy, musimy widzieć w szerszej perspektywie polityki rosyjskiej wobec Zachodu. Jeżeli połączymy różne elementy – działania propagandowe, nieustanne testowanie NATO poprzez np. naruszanie naszej przestrzeni powietrznej, a także ofensywną rosyjską politykę militarną – to musimy dojść do wniosku, że Rosja jest dla nas największym zagrożeniem.

Nie działa jednak tylko na polu propagandowym, ale w bardzo konkretnych dziedzinach, strategicznych z punktu widzenia Moskwy, jak energetyka.

To jeden z obszarów jej stałego zainteresowania. I ataków – od dezinformacji po próby nakłaniania decydentów do porzucenia amerykańskiego gazu. W ostatnim czasie rosyjska propaganda lubi powtarzać, że Polska rzekomo popiera Nord Stream 2, ale nie chcemy się do tego przyznać z przyczyn politycznych, bo jesteśmy pachołkiem amerykańskim.

Co jeszcze w Polsce szczególnie uwiera państwo Putina, a przejawia się w cyberatakach?

Wszystko, co jest związane z polskim bezpieczeństwem. Mam na myśli konkretne działania infrastrukturalne, jak przekop Mierzei Wiślanej, ale też projekty polityczne – np. obecność wojsk sojuszniczych na wschodniej flance NATO czy Baltic Pipe. Rosjanie zrobią naprawdę wiele, by spróbować zatrzymać takie inicjatywy.

Jakie więc powinno być nasze ABC zachowania w sieci z punktu widzenia bezpieczeństwa państwa?

Nie powielać treści, które wydają nam się podejrzane, i weryfikować źródła oraz tezy, na które się natykamy. Czasem zapominamy, że im bardziej sensacyjnie coś brzmi, tym ostrożniej powinniśmy do tego podchodzić. Nie promujmy niczego tylko dlatego, że udostępnia to nasz znajomy, nie zakładajmy z góry, że to prawda. I rzecz wcale nie taka oczywista – apeluję, by nie podawać „dla żartu" fake'ów, o których wiemy, że są kłamstwami. To coraz częstsze zjawisko, a przynoszące mnóstwo szkód. Od każdego z nas zależy, czy wroga nam gra dezinformacyjna będzie skuteczna.

> Dla Rosjan wojna informacyjna czy tzw. wojna hybrydowa to typowa działalność państwowa, czasem nawet element poczynań dyplomatycznych. Oni nie muszą przestawiać żadnego guzika na tryb „W"

Jak dużymi siłami do działań w internecie dysponuje Moskwa?

Z jednej strony prowadzi swoje działania przez kanały oficjalne – grube miliony euro są przeznaczane na działania Sputnika, Russia Today czy całą sieć portali założonych tylko po to, by sprzyjać rosyjskiej propagandzie. Istnieją też sieci „fabryk" produkujących wpisy w mediach społecznościowych, na forach dyskusyjnych.

Stoją za tym automaty?

Nie tylko. Wyłapujące działania kontrujące boty są coraz skuteczniejsze, więc Rosjanie muszą coraz mocniej działać „ręcznie". Ale korzystają też z ludzi, którzy sami z jakichś powodów chcą promować rosyjski punkt widzenia.

Wielu takich znajdują w Polsce?

Niestety tak. Dość prężnie działają np. grupy na Facebooku spajające społeczności prorosyjskie. Odbiorców treści przez nie produkowanych liczymy w setkach tysięcy. Widać więc, że nawet wyeliminowanie wszystkich tradycyjnych mediów prorosyjskich nie spowoduje, że nagle ta dezinformacja przestanie być rozsiewana.

Czy kilkaset alarmów bombowych w polskich szkołach w zeszłym roku było jakąś formą rosyjskiej operacji mającej na celu wywołanie chaosu w Polsce?

Analiza tego zdarzenia wskazuje, że mogło tak być. Wpisywałoby się to w rosyjskie działania mające na celu destabilizowanie państwa polskiego albo przynajmniej testowanie naszych procedur bezpieczeństwa.

To mogła być próba przed czymś większym?

Czasami destabilizacja jest celem samym w sobie. Powoduje, że siły państwowe są skupione na jednym obszarze, a wróg „tylko" sprawdza, jak sobie z tym radzimy. Jednocześnie może to być osłona innych działań. Identyfikowanie celów takich operacji jest szalenie trudne. Często udaje się to zrobić po wielu miesiącach, a nawet latach.

Trwa kampania wyborcza. Niektórzy kandydaci otwarcie nawołują: nie przekopujmy Mierzei Wiślanej, nie budujmy CPK, nie kupujmy F-35. Jak odczytywać takie postulaty w kontekście interesów Rosji?

Od osób bardzo wpływowych – począwszy od celebrytów, poprzez polityków, a skończywszy na kandydatach na najważniejsze urzędy w Polsce – powinniśmy oczekiwać odpowiedzialności za słowo, a także dobrego zrozumienia polskich interesów i niewpisywania się w tezy propagandy Federacji Rosyjskiej, która jest nam wroga.

eprasa.pl 0a823495aa

Obecny włodarz Warszawy z Platformy Obywatelskiej jako prezydent Polski stałby się syndykiem masy upadłościowej po państwie, które w dotychczasowej formie przestałoby istnieć



STANISŁAW JANECKI

Wejście do gry Rafała Trzaskowskiego zmieniło układ sił w wyborach prezydenckich, wpłynęło na szanse kandydatów oraz możliwości przepływu elektoratów, ale też odmieniło relacje między liderami opozycji w tym wyścigu. Nieważny stał się pakt o nieagresji między kandydatami opozycji, mimo pokojowych deklaracji samego kandydata Koalicji Obywatelskiej. Dlaczego? Bo wprowadza on bardzo silną polaryzację, nie odnosi się do innych kandydatów, tylko do urzędującego prezydenta, spychając pozostałych do roli tła zasadniczego konfliktu między Polską PiS a Polską KO (PO).

Sposób na Trzaskowskiego

W drugiej turze (gdyby obecny prezydent Warszawy do niej przeszedł) odrodziłby się konflikt targający Polską od 2005 r., co oznacza duży elektorat negatywny wobec kandydata III RP, jakim jest Trzaskowski. Tylko antagonizując kampanię, polaryzując ją i starając się marginalizować konkurentów, Trzaskowski może zyskiwać poparcie, a właściwie odebrać to, co Małgorzata Kidawa-Błońska straciła głównie na rzecz Szymona Hołowni i Władysława Kosiniaka-Kamysza. Może też wpłynąć na tych wyborców, którzy zrezygnowali z pójścia na wybory.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 0a823495aa

Trzaskowski aktywizuje też najbardziej agresywnych przeciwników PiS, co spowodowało czasowe zachwianie notowań Andrzeja Dudy, silny konkurent działa bowiem na tych, którzy wcześniej nie mieli takiego wyboru. Ale jednocześnie Rafał Trzaskowski uruchamia negatywny elektorat wobec PO, z powodu wszystkich wcześniejszych grzechów i obciążeń tej partii, które nie były kojarzone z Małgorzatą Kidawą-Błońską. To, co prezydent Warszawy zdyskontuje ewentualnie w pierwszej turze, w drugiej może być jego największym obciążeniem. A to oznacza, że istnieje sposób na Trzaskowskiego, a nawet wiele sposobów.

REWOLUCJONISTA RESTAURACJI

Startując w wyborach na prezydenta Warszawy jesienią 2018 r., Rafał Trzaskowski nie musiał nikogo udawać, w przeciwieństwie do tego, co robi jako (wciąż nieformalny) kandydat na prezydenta Polski. W Warszawie działa bowiem mit „lepszego", na tyle silny, że pozwala zyskiwać większość w wyborach samorządowych. Mit lepszego pochodzenia, wykształcenia, ustosunkowania, zakolegowania, obycia. Lepszych szans, lepszej kariery. Lepszego wszystkiego. Tylko w Warszawie nie ryzykuje się wyśmiania, gdy się mówi: „Gdziekolwiek się znajdę, tam będę dobry". Tak Rafał Trzaskowski mówił w 2009 r., po wygranych wyborach do europarlamentu.

W stolicy można się z powodzeniem odwoływać do ambicji sporej części mieszkańców (z dużym udziałem tzw. słoików) chcących się znaleźć wśród tych inteligentniejszych, lepiej wykształconych, kulturowo bogatszych, mających lepsze pochodzenie, predestynowanych do bycia elitą. Takim wyborcom nie przeszkadza poczucie wyższości, syndrom prymusa, egoizm czy narcyzm. Ale kiedy to samo Rafał Trzaskowski demonstruje, jeżdżąc po Polsce (formalnie nie jako kandydat na prezydenta RP, lecz przewodniczący rady Unii Metropolii Polskich), jest to przyjmowane jako przejaw pychy, buty, zadufania i narcyzmu. Tym bardziej że w wypowiedziach Trzaskowskiego coraz częściej pojawia się agresja: straszenie rozliczeniami, likwidowanie wszystkiego, co mu się źle kojarzy (np. TVP), cofanie zmian (np. w sądownictwie, prokuraturze, własności skarbu państwa, przekopu Mierzei Wiślanej), grożenie różnym grupom społecznym (np. urzędnikom). To przeciwnicy Trzaskowskiego łatwo mogą wykorzystać przeciwko niemu jako temu, który zapowiada stan permanentnej rewolucji, chaosu, zamieszania, niepewności i braku spokoju oraz stabilności. Oczywiście wszystko po to, aby potem przywrócić spokój i stabilność, ale tak się tłumaczą wszyscy rewolucjoniści. A takie rzeczy najbardziej wyborców niepokoją, bo oznaczają nieprzewidywalność.

Rafał Trzaskowski w drugiej turze (jeżeli do niej przejdzie) zaktywizuje zapewne wyborców niechętnych lewicowej rewolucji obyczajowej i moralnej, którą uosabia znacznie bardziej niż Robert Biedroń ze względu na to, co robił w Warszawie

Zapowiedzi wywracania wszystkiego są przyjmowane nie tylko jako rewolucja, lecz i restauracja starego porządku, gdy tylko rewolucjoniści dokonają czystek i zemsty. A stary porządek oznacza wstrzymanie ogromnych transferów społecznych i powrót do polityki swego rodzaju darwinizmu społecznego, do czego większość Polaków nigdy nie chciałaby wracać. Rafał Trzaskowski jako pomazaniec, wybraniec i przedstawiciel elit III RP jest kojarzony z darwinizmem społecznym, z brakiem empatii i solidarności. To zapewne tłumaczy jego obojętność na apele drobnych stołecznych przedsiębiorców, by tak jak w innych miastach zawiesić pobieranie czynszów w lokalach należących do miasta.

Politolog Michał Kuź mówi w kontekście darwinizmu społecznego o „klasowej pogardzie". Typowej dla metropolii i wiążącej się z „rosnącą polityczną brutalnością". To uchodzi w Warszawie, ale nie w Polsce. Dlatego Trzaskowski zaczął mówić o „nowej solidarności", ale w jego ustach brzmi to tak, jakby poganiacz niewolników z nahajką deklarował, że teraz będzie tylko prosił o pracę na plantacji i w „zwierzętach" dostrzeże współobywateli.

Tym bardziej że prawdziwymi współobywatelami, a nawet nadobywatelami są dla Rafała Trzaskowskiego środowiska LGBT, którym trzeba nieba przychylić z powodu rzekomych prześladowań, jakie spotykają ich od dekad. I żeby ich nadal nie spotykały, trzeba dokonać wielkiej przebudowy społeczeństwa, poddać je reedukacji i inżynierii społecznej. I jedyne, co w miarę mu wychodzi w Warszawie, to działania w tych sferach, dla przeciętnych obywateli niemające żadnego praktycznego znaczenia. Nie jest jego zadaniem sprawiedliwa redystrybucja bogactwa narodowego ani równość wszystkich wobec prawa, co jest celem rządów Zjednoczonej Prawicy, lecz wynagrodzenie, a wręcz uprzywilejowanie środowisk LGBT za ich domniemane cierpienia. W ten sposób te środowiska stają się głównym podmiotem polityki, a nie mieszkańcy, społeczeństwo, a tym bardziej ofiary zinstytucjonalizowanego (przez lata rządów liberałów) darwinizmu społecznego. Rafał Trzaskowski w drugiej turze (jeżeli do niej przejdzie) zaktywizuje zapewne wyborców niechętnych lewicowej rewolucji obyczajowej i moralnej, którą uosabia znacznie bardziej niż Robert Biedroń ze względu na to, co robił w Warszawie oraz na swoje zasoby i grupy wsparcia.

DIABELSKA ALTERNATYWA

Jako prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski zaangażował się w projekt swego rodzaju landyzacji Polski i funkcjonowania największych aglomeracji jako „wolnych miast". A to

eprasa.pl 0a823495aa

oznacza brak odpowiedzialności centrum za sprawy Polaków poza nim. Niech sami sobie radzą. Gdy mówi takie rzeczy prezydent jednego miasta (nawet stolicy), nie jest to jeszcze groźne, gdyby tego samego chciał prezydent RP (popierany przez takich prezydentów miast jak Aleksandra Dulkiewicz, Jacek Jaśkowiak, Jacek Sutryk, Hanna Zdanowska czy Rafał Bruski), byłoby to wielkie zagrożenie dla spójności państwa, dla jego niepodległości oraz suwerenności. A gdy nałożyć to na aprobowanie postępującej federalizacji Unii Europejskiej i osłabiania państw narodowych, rysuje się perspektywa Polski jako peryferyjnej europejskiej prowincji i Polaków jako jednej z europejskich grup etnicznych, a nie narodu. Gdy się mówi i realizuje coś lokalnie, tych niebezpieczeństw nie widać, ale gdy się prowadzi ogólnopolską kampanię prezydencką, widać to już bardzo wyraźnie. I taka jest alternatywa związana z Rafałem Trzaskowskim – niepewność, czym ma być Polska. A w zasadzie pewność, że ma być inna, czyli rozpuszczona w Unii Europejskiej i wyprana z czynnika narodowego. I z pamięcią historyczną po reedukacji. Taką, jak w liście, który Rafał Trzaskowski jako prezydent Warszawy napisał w 75. rocznicę wybuchu powstania warszawskiego: „Powstańcy walczyli z nazizmem – ideologią, która zrodziła się z nienawiści wobec innych nacji i ras. Naziści i faszyści wykluczali odmienne poglądy, bo sami sobie chcieli przyznać prawo do decydowania, kto ma prawo żyć – i jak ma żyć. Dziś nienawiść znów podnosi głowę". „Naziści" i „nienawiść", czyli klasyka współczesnego języka postępowej lewicy. Nie liberałów, ale lewicy właśnie, na co jeszcze mocniej wskazuje inny fragment listu: „Nie pozwolę na to, by na ulicach Warszawy znów pojawiły się symbole odwołujące się do wykluczającego nacjonalizmu czy wprost do faszyzmu".

Z pozycji prezydenta Polski to, co zapowiadał w 2019 r. Rafał Trzaskowski, idealnie wpisywałoby się w walkę z polskim nacjonalizmem, antysemityzmem, ksenofobią i rasizmem, co jest przedmiotem nieustannych krucjat (krajowych i zagranicznych), mimo że w Polsce nie ma takiego zagrożenia. A to oznaczałoby powrót pedagogiki wstydu, kajania się za niepopełnione grzechy, a zapewne także uznanie roli jeśli nie współsprawców Holokaustu, to przynajmniej współwinnych. A wtedy otworzyłaby się szeroka brama do uznania roszczeń wymienionych w amerykańskim JUST Act (ustawie 447) oraz Deklaracji terezinskiej. I oczywiście taki prezydent jak Rafał Trzaskowski uznałby za niedopuszczalne domaganie się jakichkolwiek reparacji od Niemiec.

Byłoby to połączenie najgorszych elementów prezydentury Lecha Wałęsy, Aleksandra Kwaśniewskiego i Bronisława Komorowskiego. Rafał Trzaskowski to jest taka właśnie alternatywa, i to nawet niebezpieczniejsza, bo mająca mocniejsze przełożenie na Europę. Nieprzypadkowo Trzaskowski się chełpił swoim wkładem w oskarżycielskie dokumenty wymierzone w Polskę, a powstające w różnych europejskich instytucjach. Nieprzypadkowo się chwalił, że prowadził rozmowy, żeby Polskę surowo karać finansowo i zamrażać środki dla naszego kraju, a odmrażać je wtedy, gdy będą już rządzić właściwi ludzie, czyli PO i on sam, np. w roli prezydenta RP. A to, z drugiej strony, oznacza absolutną miękkość wobec instytucji UE i przywódców najsilniejszych jej państw (albo na takich się kreujących, jak Holandia), kompletną podległość i niesamodzielność, jeszcze większą niż za rządów Donalda Tuska. Do tego dochodziłoby rozluźnienie strategicznych i wyjątkowych więzów ze Stanami Zjednoczonymi, czyli w praktyce pozbycie się jedynego realnego gwaranta bezpieczeństwa, suwerenności i niepodległości Polski. Zaiste diabelska to alternatywa.

REZERWAT POLSKA

Rafał Trzaskowski ma kompetencje na „korpoludka" wysokiego szczebla, ale nie na przywódcę państwa. Ma wszystko to, czym „korpoludki" tego szczebla się szczycą. Uczył się w warszawskim liceum im. Mikołaja Reja, gdzie był przewodniczącym samorządu uczniowskiego. W tym czasie przez kilka miesięcy przebywał w Australii, gdzie chodził do liceum. Gdy miał 17 lat, w warszawskiej kawiarni Niespodzianka pomagał ówczesnej opozycji jako tłumacz z angielskiego (także jako kolporter). Podczas tej pracy poznał Amerykanów, którzy zaprosili go do USA, załatwili stypendium i naukę w dobrym liceum. Po powrocie do kraju zaczął studiować anglistykę na UW, a potem jeszcze stosunki międzynarodowe. Był stypendystą Oksfordu (jak sam przyznał – za pieniądze George'a Sorosa) oraz Instytutu Unii Europejskiej w Paryżu, skończył Kolegium Europejskie w Natolinie (gdzie słuchał m.in. wykładów prof. Bronisława Geremka (po francusku), a potem się doktoryzował. Niejako przy okazji nauczył się angielskiego, francuskiego, hiszpańskiego, rosyjskiego i trochę portugalskiego. Spełnia zatem wszelkie kryteria dobrze ułożonego i równie dobrze prowadzonego dziecka z dobrego domu, którego rodzice zadbali o to, by miał dobry start, a potem dobrą pozycję w korporacji. Chcąc zapewne uniknąć męczącego wyścigu szczurów, wybrał politykę. Ale to zupełnie inna dziedzina niż korporacja, dlatego tak słabo radzi sobie z zarządzaniem Warszawą. Społeczeństwo to nie zestaw „korpoludków", państwo to nie korporacja, a polityka to nie darwinizm społeczny (ukrywany pod wymuszonymi koncepcjami „nowej solidarności"). To wszystko daje całą gamę sposobów na Trzaskowskiego.

Być może najważniejsza jest „krzywda" wyrządzana innym opozycyjnym kandydatom. Przywrócona przez niego polaryzacja i siłą rzeczy walka między opozycyjnymi kandydatami uruchamia wszystkie niechęci między ich elektoratami, co bardzo ogranicza szanse przekazania Trzaskowskiemu głosów Hołowni (tu akurat w mniejszym stopniu), Kosiniaka-Kamysza, Biedronia czy Bosaka. Wzmocni się on w pierwszej turze, ale osłabi w ewentualnej drugiej. Wtedy, w bezpośrednim pojedynku, będzie można bowiem pokazać wszystkie jego słabości. A są one znacznie większą przeszkodą do objęcia najważniejszego urzędu w państwie niż w przypadku Władysława Kosiniaka-Kamysza czy Szymona Hołowni (ci mają inne).

Nie oszukujmy się. Ktoś taki jak Trzaskowski byłby bowiem syndykiem masy upadłościowej po państwie, które w dotychczasowej formie przestałoby istnieć, a znalazłoby się na najlepszej drodze do stania się europejską prowincją, którą chwali się tak, jak chwali się rezerwat czy skansen.

eprasa.pl 0a823495aa



Fot. Andrzej Wiktor

Kampanię czeka reset

Poparcie dla prezydenta Andrzeja Dudy jest na podobnym poziomie jak w lutym, kiedy temat koronawirusa zdominował świat i de facto przerwał kampanię prezydencką w Polsce. Dzisiaj większość mediów i komentatorów daje się nabrać na sondażowe manipulacje i tworzy niekorzystną dla prezydenta narrację. O rzekomym 20-procentowym spadku poparcia

Michał Karnowski rozmawia z Marcinem Mastalerkiem, współautorem kampanii Andrzeja Dudy z roku 2015, specjalistą w dziedzinie marketingu politycznego

Czy prawdziwe jest założenie, powielane w wielu wypowiedziach, że im dalej jesteśmy od majowego terminu wyborów, im bardziej rozpoznajemy konsekwencje gospodarcze i społeczne epidemii, tym bardziej maleją wyborcze szanse prezydenta Andrzeja Dudy, a rosną kandydatów opozycji?

Marcin Mastalerek: Nie wiem, skąd się biorą te opinie, nie mają one uzasadnienia w faktach ani w tym, co wiemy o polskiej polityce. Przypominam, że Prawo i Sprawiedliwość straciło władzę – w roku 2007, kiedy sytuacja gospodarcza była doskonała, po stworzeniu 1,2 mln miejsc pracy, bardzo wysokim wzroście gospodarczym, obniżeniu podatków i poczuciu Polaków, że żyje się lepiej.

Wniosek?

Że wynik wyborów nie zależy wprost od sytuacji gospodarczej. Można nawet powiedzieć, że jeśli w kraju żyje się dobrze, łatwiej skierować uwagę Polaków na inne tematy, które budzą społeczne emocje. Nie wystarczy dobrze rządzić. Trzeba jeszcze umieć skutecznie obronić swoje sukcesy.

Czyli założenie, iż ewentualny kryzys wywołany epidemią równa się z utratą władzy przez PiS i porażką prezydenta, nie jest prawdziwe?

Postawiłbym tezę odwrotną: kryzys, a nawet tylko zagrożenie kryzysem, nie spowoduje, że Polacy mocniej zaufają formacjom, które wprost zapowiadają likwidację albo ograniczenie programów społecznych, rodzinnych, wydłużenie wieku emerytalnego czy ograniczenie inwestycji publicznych.

Rafał Trzaskowski właśnie ogłosił, że w związku z kryzysem trzeba zaprzestać budowy Centralnego Portu Komunikacyjnego.

W kryzysie to państwo ma środki i możliwości, żeby pobudzać gospodarkę za pomocą inwestycji publicznych. Tak dzieje się na całym świecie. Byłoby zaskakujące, gdyby Polska miała postępować dokładnie odwrotnie. Tym bardziej że w ostatnich latach rząd udowodnił swoją skuteczność na tym polu.

Jest jednak prawdą, że jak żyje się gorzej, to pojawia się rozgoryczenie, złość, chęć ukarania winnego. Najlepsze

eprasa.pl 0a823495aa

nawet rządy padają często w czasie takich zawieruch, bez własnej winy.

Często ich winą jest to, że tej złości, tych emocji nie dostrzegły. Nie wyjaśniły obywatelom, co się dzieje, jakie działania podjęły. A partie polityczne stojące za tymi rządami nie pokazały różnicy między własnym programem a ofertą konkurencji. Kampania wyborcza temu właśnie służy, to doskonała okazja, by swoje argumenty wydobyć. A obóz władzy ma dziś wszystkie karty w ręku, by wyjść z takiego starcia zwycięsko. Tym bardziej że główny rywal – Platforma Obywatelska – ma za sobą wcześniejsze osiem lat sprawowania władzy, a obecnie rządzi np. w dużych miastach. Jest więc o co się spierać, pokazywać wyraźne różnice. Opozycja zresztą to doskonale wie – dlatego dążyła i dąży do maksymalnego opóźnienia wyborów, licząc, że im później będzie głosowanie, tym gorzej dla prezydenta Andrzeja Dudy. To wcale nie jest takie oczywiste. Wszystko zależy od tego, czy obóz wspierający prezydenta będzie umiał skutecznie pokazać swoje atuty i różnicę, jaka ich dzieli od konkurencji.

Ostatnie kilkanaście dni przyniosło zmiany w sondażach. Wraz ze wzrostem deklarowanej frekwencji spada poparcie dla Andrzeja Dudy. Coś się zmienia w nastrojach społecznych? I kolejny wątek: czy kampania prezydenta Dudy, która przyniosła szczyt poparcia w początkach maja, nie znalazła się wskutek przesunięcia terminu wyborów w tarapatach?

Pierwszy raz w historii naszej polityki mamy do czynienia z takimi wydarzeniami jak pandemia wirusa, która na kilka tygodni zatrzymała cały kraj. Nie ma więc z czym tego porównać, to sytuacja nowa, inna, trzeba wiele spraw na nowo określić. Dotyczy to kampanii prezydenta, ale i innych kandydatów. Jeśli chodzi o sondaże, to mam tu do powiedzenia tylko jedno: Prawo i Sprawiedliwość straciło szansę, która była w roku 2015, by powiedzieć stop manipulacjom, które się za ich pomocą odbywają. I dziś płaci za to cenę, gdy rywale wykorzystują sondaże do swojej gry politycznej.

W jakim sensie straciło szansę?

Sondaże w 2015 r. tak się skompromitowały, że można było narzucić standardy ich przeprowadzania albo przynajmniej odrzucić polityczne rozgrywanie za ich pomocą. To by uniemożliwiło tak łatwe pompowanie jednych polityków, fałszywe dołowanie innych. Trzeba było jasno powiedzieć: nie komentujemy tych sondaży, naszym sondażem są rozmowy z Polakami i wyniki wyborów. Nie zrobiono tego – odwrotnie, zaczęto się nawet tymi sondażami w pewnym momencie narkotyzować, o czym powiedziałem wtedy w dość głośnym wywiadzie. Dziś pozostaje powiedzieć jedno: wrażenie, o którym pan powiedział, jest efektem takiej manipulacji sondażami.

> Klęska kampanii Kidawy-Błońskiej nie była wynikiem działań samej kandydatki, ale tego, co mówili i robili liderzy jej formacji. Działali histerycznie, zakiwali się, nie zdali egzaminu z uprawiania polityki w czasie kryzysu

Na czym ta manipulacja polega?

Poparcie dla prezydenta jest na podobnym poziomie jak w lutym, kiedy temat koronawirusa zdominował świat i de facto przerwał kampanię prezydencką w Polsce. To, co się działo później, było sytuacją zupełnie nadzwyczajną – główna kandydatka opozycji raz bojkotowała wybory, raz nie. Wyborcy opozycji podobnie. Dzisiaj sytuacja jest już zupełnie inna. Wyborcy opozycji są ponownie zmobilizowani – na 100 proc. pójdą na wybory. Dlatego porównywanie obecnych sondaży z tymi z kwietnia czy maja nie ma żadnego sensu. I ludzie, którzy to robią, doskonale o tym wiedzą. Jednak większość mediów i komentatorów daje się na to nabrać i tworzy niekorzystną dla prezydenta narrację. O rzekomym 20-procentowym spadku poparcia.

Jest jednak faktem, że w okresie epidemii były sondaże dające prezydentowi Dudzie łatwe zwycięstwo w pierwszej turze. To zniknęło.

Tamte sondaże w ogóle nie powinny być publikowane. Ludzie nie wiedzieli, czy wybory się odbędą. Nie wiedzieli, czy odważą się zagłosować. Nie wiedzieli, kto startuje, a kto nie. Bali się w ogóle wychodzić na ulicę. A jeżeli już zostały publikowane, to chociaż powstrzymajmy się od porównywania tamtych wyników z obecnymi. To jest szczyt manipulacji, na takie rzeczy trzeba szybko odpowiadać – tłumaczyć, pokazywać kontekst.

To z czym te obecne należy porównywać?

Z tymi sprzed epidemii. Wtedy zobaczymy prawdziwy obraz: stabilną, mocną pozycję Andrzeja Dudy. Ten obraz jest za pomocą tych dziwnych sondaży zafałszowywany. A przecież pozycja prezydenta to jest jedyna rzecz, która się w tej kampanii nie zmienia. Cała reszta ulega nieustannym zmianom. Był moment, kiedy próbowano narzucić tezę o niemal już pewnej „prezydent Kidawie". Już prawie wygrywała, niemal rządziła. Potem pojawił się zielony prezydent „tygrys" Kosiniak-Kamysz. Też miał swój moment w sondażach, też podobno „na pewno" wygrywał. Następnie na topie był kandydat obywatelski – płaczący nad konstytucją. To Szymon Hołownia miał być tym, którego Andrzej Duda ma się bać. Obecnie mamy etap „prezydenta Trzaskowskiego".

Na tle pogubionej Kidawy-Błońskiej kandydujący teraz Trzaskowski to dla wyborców PO jakiś przypływ energii. Przywrócił im pewność siebie.

Zgoda, to dynamiczny polityk, prezydent stolicy, kandydat wciąż potężnej partii z ogromnym zapleczem. Nic dziwnego, że mógł liczyć na miesiąc miodowy w kampanii. Ale już widać, że był to miesiąc krótki, po dziesięciu dniach zaczęły się w tej kampanii poważne problemy. Zawsze trzeba pamiętać,

eprasa.pl 0a823495aa

że kampania wyborcza to długi proces. Nie można reagować nerwowo na takie wejścia kolejnych kandydatów, nie można dopuścić do rozchwiania własnego zaplecza. Trzeba po prostu konsekwentnie robić swoje.

Ciekawe, bo tak właśnie postępuje prezydent, niektórzy nawet mówią, że działa za spokojnie. Robi swoje, znowu spotyka się z Polakami bezpośrednio, tam gdzie to możliwe, kupuje truskawki, jest w terenie. Czy to znaczy, że prezydent słucha rad Marcina Mastalerka?

Od prowadzenia kampanii jest sztab, partia i całe zaplecze. Ja dzisiaj jestem poza polityką, spełniam się, działając w sporcie i biznesie. Ale poglądów ani przyjaciół nie zmieniłem. Zdarza się, że rozmawiam z panem prezydentem np. o sporcie, którego Andrzej Duda jest również fanem i zejdziemy na tematy polityczne, zwrócę na coś uwagę.

To teraz zapytam o to, jak może wyglądać kampanijne starcie z Rafałem Trzaskowskim. Zadziwia mnie, jak klasyczny dla polskiej polityki ostatniej dekady będzie to spór. Polski solidarnej z turboliberalną, powszechnej z warszawskocentryczną, tej bardziej z TVN z tą bardziej z TVP, tej spod sztandaru LGBT i tej nietęskniącej za taką reedukacją. To dobrze czy źle?

To bardzo dobrze! Nie tylko dla kampanii Andrzeja Dudy, lecz przede wszystkim dla jasności wyboru, przed jakim staną Polacy. Każdy inne ustawienie osi tej kampanii byłoby fałszem. Nie ma np. dzisiaj wielkiego, realnego sporu między Zjednoczoną Prawicą a PSL czy ruchami obywatelskimi. Podobnie nieprawdziwe byłoby takie ustawienie kampanii, w której ktoś prezentuje się jako osoba spoza polityki, będąca głosem buntu zwykłych obywateli przeciwko całej klasie politycznej. To byłoby nieprawdziwe, ale mogłoby być atrakcyjne dla niektórych wyborców. W rzeczywistości mamy od wielu lat do czynienia z realnym sporem między PO i PiS.

Ten kandydat, który próbował pokazywać się jako kandydat „zbuntowanych obywateli", to Szymon Hołownia?

Najmocniej próbował wejść w taką rolę w kampanii. Ścieżki miał już zresztą wytyczone – podobnie przecież rozgrywano operację „Palikot". On też miał być spoza polityki,



Fot. Andrzej Wiktor

> Trzaskowski to dynamiczny polityk. Nic dziwnego, że mógł liczyć na miesiąc miodowy w kampanii. Ale już widać, że był to miesiąc krótki, po dziesięciu dniach zaczęły się w tej kampanii poważne problemy

reprezentować przedsiębiorców, też miał być wyrazem buntu obywateli, w rzeczywistości pracując na rzecz koalicji PO i PSL. I zagospodarował dużą część ludzi, którzy głosowali na niego, choć nie podzielali wcale jego bardzo liberalnych poglądów. To nie był jedyny taki przykład. Proszę zobaczyć, co w 2019 r. stało się z głosami prawicowymi i głosami antysystemowymi ruchu Kukiz'15. Poprzez koalicję wyborczą z PSL część z tych często młodych bardzo ideowo nastawionych ludzi wybrała do Sejmu kandydatów najbardziej systemowej partii, jaką są ludowcy. Głosowali na Kukiza, ale dzięki temu do parlamentu dostało się tylko więcej polityków PSL. Zdawałem sobie sprawę z tego zjawiska i kiedy mój były dyrektor biura, a wówczas parlamentarzysta Łukasz Rzepecki dostał propozycję pierwszego miejsca na liście PSL – w okręgu, z którego ludowcy ostatecznie zdobyli mandat – odradziłem mu start. Powiedziałem mu: „Na końcu przyczynisz się do powstania koalicji PO-PSL--Lewica". Cieszę się, że Łukasz nie wystartował. Mandat posła nie jest najważniejszy.

W kandydaturze Kidawy-Błońskiej też był taki pomysł – na rewolucję kobiet, na kontrę „zgody" wobec klasy politycznej. Dlaczego to się nie udało?

Sama Platforma do tego doprowadziła. Klęska jej kampanii nie była wynikiem działań samej kandydatki, ale tego, co mówili i robili liderzy jej formacji, tego, co jej podpowiadał sztab. To ci ludzie, każąc jej zmieniać zdanie w sprawie tego, czy startuje, czy się wycofuje, doprowadzili ją do takiego upadku politycznego. Działali histerycznie, reagowali emocjonalnie, zakiwali się, nie zdali egzaminu z uprawiania polityki w czasie kryzysu. Nikt już nie pamięta, ale na początku kampanii Kidawa-Błońska miała blisko 30 proc. poparcia. Zmarnowali to. Na końcu wygrała zimna kalkulacja ratowania samej PO. Stąd kandydat, którego głównym zadaniem jest uratowanie partii przez pokonanie innych kandydatów opozycji.

Wszedł na to pole bardzo mocno.

Mówiłem już, że to polityk dynamiczny, który ma silne zaplecze. Bez wątpienia przebijał się w pierwszych dniach ze swoimi komunikatami. Polacy, a zwłaszcza wyborcy Platformy, dostrzegli, że jest w wyścigu. I to już jest pewien sukces. Ale nie przesądzałbym, że sposób, w jaki to zrobił,

eprasa.pl 0a823495aa

będzie sukcesem w kontekście całej kampanii. Czy słowa kandydata dobrze odczytują emocje społeczne, czy się z nimi zderzają? Czy przekaz: „Idę na wojnę z rządem, nic mi nie pasuje, a tak w ogóle to mi pieniędzy nie dajecie", jest tym, czego w najbliższym czasie oczekują Polacy?

Tak. Nie mam pieniędzy – mówił prezydent najbogatszego miasta w Polsce.

To wszystko przebijało się bardzo mocno. Spodoba się wyborcom PO. Ale gdzieś na końcu tej kampanii pojawi się pytanie, czy Polacy chcą w tym trudnym czasie, który nadchodzi, totalnej wojny prezydenta z większością parlamentarną, z rządem. Czy wybierają współpracę prezydenta z rządem, która daje szansę na pokonanie skutków kryzysu. Zatem to przebicie się może mieć skutki odwrotne do zamierzonych.

Sztabowcy PO próbują narzucić przekaz, że Andrzej Duda przegra jak Bronisław Komorowski – z niedocenianym kontrkandydatem. Mają rację?

Podobieństwo jest jedno: Andrzej Duda jest urzędującym prezydentem tak jak Bronisław Komorowski pięć lat temu. I na tym one się kończą. Andrzej Duda nie ma w sobie nic z Bronisława Komorowskiego – nie zamyka się w pałacu, jest z ludźmi, nie obraża się na krytykę, podejmuje z każdym rozmowę. Ciężko pracuje w kampanii. Podobnie Rafał Trzaskowski nie ma w sobie nic z Andrzeja Dudy, który był wówczas powiewem świeżości w polskiej polityce. A dzisiaj, po pięciu latach, może mówić o realizacji wielu obietnic wyborczych. Na polu wewnętrznym, ale i zagranicznym. Trzaskowski jest za to politykiem, który sam ma już spory bagaż doświadczeń, w tym spraw, które stosunkowo łatwo będzie zaatakować w kampanii.

Kidawa-Błońska miała większe szanse niż Trzaskowski na wygraną w wyborach?

Kidawa-Błońska była do zaakceptowania zarówno przez wyborców Lewicy, jak i PSL. Mniej mobilizowałaby też wyborców Konfederacji do pójścia w drugiej turze i zagłosowania na prezydenta Dudę. Ta jej pewna nijakość działałaby na jej korzyść, zwłaszcza w ewentualnej dogrywce wyborczej. Trzaskowski to polityk, który nawet w PO jest na skrajnym, lewicowym skrzydle. To łatwe do wykorzystania przez sztabowców Andrzeja Dudy przed ewentualną drugą turą z Rafałem Trzaskowskim. Polacy nie lubią skrajności. Prezydent nie powinien być skrajny.

Politycy Konfederacji mogą poprzeć Trzaskowskiego, ostatnio kilka razy zagrali wspólnie z PO?

Nie wiem, co zrobią politycy Konfederacji, ale nie wyobrażam sobie, by wyborcy tej formacji poparli kandydata tak skrajnie lewicowo-liberalnego.

Na końcu tej kampanii pojawi się pytanie, czy Polacy chcą w tym trudnym czasie, który nadchodzi, totalnej wojny prezydenta z większością parlamentarną, z rządem

A co poszło nie tak w kampanii kandydatów mniejszych formacji – Władysława Kosiniaka-Kamysza, Roberta Biedronia? W tym ostatnim przypadku niektórzy mówią o dramacie.

Taka jest cecha kampanii, zwłaszcza prezydenckiej – ostro weryfikuje kandydatów. To jest wyścig na długim dystansie, który pokazuje, kto ma prawdziwą moc, kto ma coś naprawdę do powiedzenia i w jaki sposób to robi. Wielu nie daje rady, po drodze odpada. I bardzo dobrze, że tak się dzieje. Żeby objąć najważniejszy urząd w państwie, zostać prezydentem, trzeba najpierw umieć się bić w kampanii. Jak ktoś nie umie tego robić na tym etapie, to jak później ma się skutecznie bić o polskie sprawy na arenie międzynarodowej? Warto w tym kontekście przypomnieć kampanię Andrzeja Dudy z 2015 r., kiedy to on był w roli kandydata skazywanego na porażkę. Ale wytrwał, wytrzymał ignorowanie, wyśmiewanie. Nie oglądał się na sondaże, nie dawał sobie odebrać przekonania, że ma coś ważnego Polakom do zaoferowania. Dziś widzimy, że to nie takie łatwe, że nie każdy to wytrzymuje. Prezydent Duda wytrzymał wtedy, wierzę, że wygra i teraz.

REKLAMA



43/0520/F

eprasa.pl 0a823495aa



Nie trzeba wcale złodziei na stanowiskach rządowych, aby w warunkach ostrej konkurencji politycznej wywołać destrukcyjną dla kraju wielką aferę

Wina i niewinność Szumowskich





JAN ROKITA

Twarda deklaracja premiera Morawieckiego, że minister zdrowia ma zarówno jego zdecydowane poparcie, jak i „poparcie Polaków", jest z pewnością aktem lojalności wobec Łukasza Szumowskiego, na którego barkach spoczywa ciężar walki z zarazą. Ma też zapewne funkcję politycznego remedium wobec agresywnej fali opozycyjnej propagandy, starającej się zdezawuować najpopularniejszego dziś w Polsce polityka. Tym bardziej że z podobnym aktem lojalności wobec Szumowskiego wystąpił także sam przywódca obozu władzy Jarosław Kaczyński.

REGUŁA „MURU CHIŃSKIEGO"

Całkiem możliwe, że tego rodzaju reakcja na kampanię przeciw Szumowskiemu była w aktualnych warunkach polityczną koniecznością, jeśli społeczne zaufanie do rządowej strategii walki z zarazą nie ma ulec kompletnej atrofii. To wszystko prawda. Tylko w żadnym razie nie należy się łudzić, że te wszystkie „lojalki" ludzi ze szczytu władzy wobec Szumowskiego rozwiązują rzeczywisty problem, jaki powstał w resorcie zdrowia. A ten problem to po prostu ewidentny brak respektu dla wysokich standardów i lekceważenie tego, co w świecie nazywa się „dobrymi praktykami".

Nie od dziś wiadomo, że w polskiej administracji lekceważy się kwestię wprowadzania owych dobrych praktyk. I nie jest to bynajmniej specyfika rządów PiS, gdyż owo poniechanie datuje się od czasu, gdy po paru latach usiłowań władza centralna w Polsce w gruncie rzeczy machnęła ręką na metodyczne reformowanie administracji. A to ostatecznie nastąpiło mniej więcej na początku obecnego wieku, po upadku AWS i rządu Jerzego Buzka.

Jakie standardy i dobre praktyki zostały zlekceważone w resorcie zdrowia? Rzecz tkwi w regułach, jakie powinny być przestrzegane, gdy idzie o konflikt interesów. Jeśli minister ma brata, który od dawna i na dużą skalę otrzymuje dotacje publiczne na „poszukiwanie, rozwój i komercjalizację" nowych leków (a tak właśnie swoją misję ujmuje sama firma OAT, której prezesem jest Marcin Szumowski) – to o możliwości ewentualnego konfliktu interesów opinia publiczna powinna się dowiedzieć nie po czterech latach urzędowania ministra, w efekcie afery rozpętanej przez opozycyjną gazetę, lecz z jasnej deklaracji samego ministra, złożonej publicznie w chwili obejmowania urzędu. Ani rząd, ani Łukasz Szumowski nie mieliby obecnych kłopotów, gdyby to on sam cztery lata temu, a nie „Wyborcza" dzisiaj, podał otwarcie do publicznej wiadomości, iż bliski członek jego rodziny jest profesorem, ekspertem i przedsiębiorcą działającym na rynku leków z finansowym wsparciem państwa, a także zadeklarował, że jako członek rządu będzie respektować regułę tzw. muru chińskiego oddzielającego jego osobiste kompetencje od procedur przyznawania dotacji dla biznesu. Jawność jest prawie uniwersalnym lekarstwem na chorobę konfliktu interesów. Rzeczą najgorszą jest bowiem to, jeśli takie rodzinne powiązanie interesu publicznego i prywatnego wychodzi na światło dzienne nie w wyniku stosowania dobrych praktyk przez administrację, lecz na skutek medialnej afery. Wtedy mleko jest już rozlane. A rzecz cała dzieje się w atmosferze politycznej walki, gazetowej przesady i niebotycznej demagogii. Tak właśnie jak obecnie w przypadku braci Szumowskich.

Co ciekawe, ani Łukasz Szumowski, ani Marcin Szumowski zdają się dotąd nie do końca rozumieć istotę sprawy. Minister zarzeka się publicznie, że ani nie protegował firmy brata w procedurach dotacyjnych ani tym bardziej nie czerpał korzyści finansowych z delikatnej protekcji brata dla jakiegoś tam znajomego biznesmena sprzedającego rządowi sporą partię masek na początku zarazy. Z kolei prezes Szumowski narzeka publicznie, że za rządów Platformy jego firma była obficiej dotowana przez państwo niż obecnie, a w latach 2017–2019 jej cztery wnioski o dotacje rządowe zostały w ogóle odrzucone. „Taki to interes jest zostać bratem ministra" – użala się szef firmy OAT.

Nawet gdyby uznać za prawdziwe i w pełni precyzyjne wszystkie ustalenia dziennikarzy śledczych „Wyborczej", to i tak nie ma powodu, by wątpić w prawdziwość tego, co mówią obecnie bracia Szumowscy. Zdaje się jednak, że obaj oni nie rozumieją prostej rzeczy – nikt nie oskarża ich przecież o praktyki korupcyjne. Gdyby było inaczej, to dyskutowalibyśmy dziś nie o poziomie standardów w resorcie zdrowia, lecz o perspektywie aresztowań i procesu karnego. Jeśli Łukasz Szumowski dostawałby łapówki za pomoc dla brata bądź jego znajomych biznesmenów, byłby przestępcą. Podobnie jak prezes OAT, gdyby skłonił brata ministra, by ten załatwiał mu poza procedurami rządowe

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 0a823495aa

dotacje. Powiedzmy raz jeszcze, bo to rzecz zapewne w całej aferze moralnie i legalnie zasadnicza: nie ma żadnych poszlak, iż których z braci tak postępował. Zaprzeczają oni więc temu, o co ich się w ogóle nie podejrzewa.

„POSTRZEGANY KONFLIKT INTERESÓW"

Konflikt interesów jest często wiązany z kwestią korupcji, ale od takiego konfliktu do realnej korupcji jest jeszcze daleka droga. Gdyby minister Szumowski (rzecz jasna przed wybuchem zarazy, teraz nie miałby to czasu) rzucił okiem choćby na antykorupcyjny „Poradnik dla pracowników administracji rządowej", opublikowany na oficjalnych stronach internetowych polskiego rządu, dowiedziałby się, iż sytuacją naganną jest nie tylko „rzeczywiste" wejście w sytuację kolizji pomiędzy interesem prywatnym i publicznym, lecz także znalezienie się w sytuacji „potencjalnego" zagrożenia taką kolizją. Czyli z perspektywy „dobrych praktyk" administracji – złem oczywistym jest nie tylko załatwianie dotacji rządowych dla rodziny, lecz także sama sytuacja możliwości takiego załatwiania. Także wtedy gdy owa możliwość nigdy naprawdę się nie zrealizowała.

Jednak to wszystko jeszcze mało. Standardy, które polski rząd w owym poradniku nakłada na samego siebie, są wyższe. Złem bowiem jest również to, gdy ani rzeczywiście żadnych dotacji nie załatwiono, ani nawet urzędnik (w tym wypadku chodzi o ministra) nie miał możliwości takiego załatwienia; jednak powstała sytuacja, w której mógł on być postrzegany w opinii publicznej jako ten, który na rządowej posadzie załatwia rodzinne czy koleżeńskie interesy. Chodzi o tzw. postrzegany konflikt interesów, który od wielu lat we wszystkich europejskich kodeksach dobrych praktyk jest uznawany za tak samo naganny jak konflikt rzeczywisty bądź potencjalny. Rada Europy np. uznaje za niedopuszczalny taki stan rzeczy, w którym „interes prywatny wpływa, albo może się wydawać, że wpływa na bezstronność i obiektywizm urzędnika". Jedna z agencji państwa brytyjskiego (Homes England) w ogóle definiuje konflikt interesów, jako „każdą relację prywatną, która mogłaby się komuś wydawać niekorzystna dla interesu publicznego". Owszem, to są standardy wygórowane. Ale państwa zachodnie, w tym także Polska, uznają je dzisiaj za obowiązujące.

Nietrudno zgadnąć, dlaczego skonstruowano takie standardy. Afera braci Szumowskich może być szkolnym kazusem uzasadniającym sens obrony państwa przed tzw. postrzeganym konfliktem interesów. Nie trzeba wcale złodziei na stanowiskach rządowych, aby w warunkach ostrej konkurencji politycznej wywołać destrukcyjną dla kraju wielką aferę. Obywatele są dziś (nie bez racji) nieufni wobec intencji dygnitarzy i dość łatwo podejrzewają, iż na stanowiskach publicznych działają oni dla korzyści własnej, rodzinnej albo na rzecz kolegów i znajomych. Jeśli się okazuje, że minister ma brata, który dostaje dziesiątki milionów złotych dzięki decyzjom wydawanym przez podwładnych ministra, to jest jasne, że to postrzegane jest przez miliony obywateli jako przejaw korupcji. A jeśli jeszcze ów brat proteguje znajomych biznesmenów, którzy potem na domiar złego okazują się nieuczciwi, narażając państwo na szkody i procesy, no to już w ogóle sytuacja postrzegana jest niemal oczywista. I nie pomogą tu niestety żadne, najprawdziwsze tłumaczenia ani akty lojalności i poparcia za strony zwierzchników rządowych i partyjnych. Ba, te akty poparcia dla co niektórych będą tylko dowodem na to, że „Oni tam wszyscy, panie, to jedna wielka sitwa". A taka percepcja polityki jest tym, co najmocniej podważa instytucje demokratyczne.

> Nawet gdyby uznać za prawdziwe i w pełni precyzyjne wszystkie ustalenia dziennikarzy „Wyborczej", to i tak nie ma powodu, by wątpić w prawdziwość tego, co mówią obecnie bracia Szumowscy

STANDARDÓW BRAK

Czy bracia Szumowscy są winni? Tak, są. Ale nie tego, że coś ukradli albo załatwili sobie na lewo. Przynajmniej dotąd niczego takiego im nie można zarzucić. Ani nawet nie tego, by byli w jakikolwiek sposób osobiście nieprzyzwoitymi ludźmi. Przeciwnie, wszystko to, co wiemy o Łukaszu Szumowskim, o jego pracy dla św. Matki Teresy, o jego karierze lekarskiej i w końcu o jego postawie jako „frontowego dowódcy" w czasie zarazy – świadczy o tym polityku jak najlepiej. Polska w jakiś sposób to wyczuła, nagradzając Szumowskiego zwycięstwami w rankingach społecznej popularności. Minister jest jednak winien tego, że w swoim resorcie zlekceważył wysokie standardy dotyczące konfliktu interesów, zapewne nie mając wyobraźni, jakie skutki będzie to mieć dla niego samego, dla rządu Morawieckiego, w końcu dla państwa. Z kolei prezes OAT nie wykazał się wymaganą w jego sytuacji wrażliwością, aby nie narażać swojego brata i jego urzędu na dodatkowe ryzyko wybuchu medialnej afery i złej, quasi-korupcyjnej społecznej percepcji. Gdyby Polska była Wielką Brytanią, to problem by pewnie nie powstał. Bo Łukasz Szumowski w chwili objęcia rządowej posady musiałby jasno zadeklarować, jakie ma „finansowe i niefinansowe rodzinne związki z osobami, które działają na polu jego resortu". Niestety w Polsce formalnego wymogu jawności takich związków nie ma. A konstytucja kwietniowa z 1997 r. przemilcza w ogóle kwestie standardów wymaganych od rządzących, w tym także konfliktu interesów. Powtarzane przez lata sugestie i propozycje wprowadzenia do niej kilku prostych norm określających standardy, jakie winny obowiązywać rządzących, nie od dziś wyglądają jak rzucanie grochem o ścianę.

Reklama | 50/0520/F

eprasa.pl 0a823495aa

HUAWEI

Najlepsze **aplikacje** pobieraj ze **sklepu HUAWEI**



ODKRYWAJ W
AppGallery

eprasa.pl 0a823495aa





Gra ekologów wokół przekopu mierzei

Działalność wielu organizacji ekologicznych na terenie naszego kraju zaczyna przypominać mi piątą kolumnę gospodarczą, której celem jest sparaliżowanie wszystkiego, co mogłoby zwiększyć konkurencyjność polskiej gospodarki

Z dr. Grzegorzem Chocianem,
prezesem Fundacji Konstruktywnej Ekologii Ecoprobono,
rozmawia Aleksandra Jakubowska

Czy Komisja Europejska wstrzyma przekop Mierzei Wiślanej? Stowarzyszenie ekologiczne Eko-Unia we współpracy z Greenpeace Polska wysłało do Brukseli skargę w tej sprawie. Będzie tak jak z wycinką Puszczy Białowieskiej?

Dr. Grzegorz Chocian: Wprawdzie autorzy skargi porównują oba te wydarzenia, pisząc, że jest to „podobna sytuacja", ale jedyne podobieństwo polega na tym, że tak jak w przypadku Puszczy Białowieskiej obie te organizacje po prostu donoszą na Polskę. W przypadku puszczy chodziło o kwestię strategicznej oceny oddziaływania na środowisko i prognozy do tej oceny. Zarzucano brak zadośćuczynienia tej procedurze przy podejmowaniu decyzji o zwiększeniu poziomu wycinki lasu. Pomimo tych zarzutów Polsce nie udowodniono żadnej szkody, dlatego nie było kar. W przypadku przekopu mierzei chodzi o przedsięwzięcie, które zgodnie z prawem przeszło ocenę oddziaływania na środowisko z udziałem społeczeństwa. To nie są takie same sprawy.

Zarzuca się w tej skardze, że KE nie wydała swojej opinii na temat inwestycji, a prace się rozpoczęły.

A to należałoby złożyć skargę, że KE przez parę lat zaniechała działań i nie wydała opinii. Głos KE jest ważny dla uzyskiwania zgody na zniszczenie gatunku lub siedliska Natura 2000 i akceptacji projektu kompensacji przyrodniczych, ale też nie zawsze.

Fot. archiwum prywatne Grzegorz Chocian

eprasa.pl 0a823495aa

W przypadku mierzei mamy inną sytuację. KE nie wypowiadała się, nie wyrażała żadnej opinii, czekała na to, aż Polska dostarczy wszelkie dokumenty i Polska dostarczała kolejne dokumenty. Po 2014 r., po aneksji Krymu, Polska uznała, że może dodatkowo skorzystać z prawa do zasłonięcia się nadrzędnym interesem publicznym.

I co to nam dało?

Kiedy jest zastosowany tryb nadrzędnego interesu publicznego, wtedy KE wyraża wyłącznie opinię, która nie jest wiążąca dla kraju członkowskiego. W decyzji środowiskowej dotyczącej tego projektu został zawarty rygor natychmiastowej wykonalności, który upoważnia wykonawcę do rozpoczęcia prac. Dlatego te skargi są zupełnie pozbawione sensu, bo organizacje ekologiczne musiałyby udowodnić, że Polska nie realizuje nadrzędnego interesu publicznego. Czyli organizacje najpierw musiałyby udowodnić, że np. przy przekopie mierzei interes Rosji jest ważniejszy niż interes Polski i NATO. A to oznacza, że organizacje musiałyby jawnie stanąć przeciwko interesowi Polski i Paktowi Północnoatlantyckiemu, żeby ten rygor natychmiastowej wykonalności uchylić.

Jedna z ekologicznych grup protestujących przeciwko tej inwestycji twierdzi, że publiczne środki są marnowane na „utopijny cel żeglugi towarowej między Bałtykiem a Elblągiem". Popatrzmy na przekop Mierzei Wiślanej z dwóch punktów widzenia: gospodarczego i strategicznego. Czy port elbląski i kanał będą miały jakiś większy wpływ na rozwój gospodarki, czy ta inwestycja kiedyś się zwróci?

Przekop Mierzei i pogłębienie toru wodnego do portu w Elblągu sprawi, że będą mogły wpływać tam jednostki o większym zanurzeniu, a więc będzie można przewieźć trzy- lub czterokrotnie więcej ładunku niż dotychczas. Wtedy ten port natychmiast ożywa. Czy odczuje to cała gospodarka Polski? Elbląg i region na pewno. Jest jeszcze jedna ważna rzecz – turystyka. Teraz widzimy, kiedy przez kilka miesięcy turystyki nie ma, ile tracimy. Jak promować turystykę morską i region Zalewu Wiślanego, jeśli przez Cieśninę Pilawską mogły przepływać tylko jednostki polskie i rosyjskie, ale już każda bandera zagraniczna wymagała rosyjskiego zezwolenia? Jeżeli chcemy rozwijać turystykę morską na zalewie i całe jej zaplecze, to musimy mieć pewność, że jachty i mniejsze statki turystyczne zawsze mogą z Bałtyku do nas wpłynąć.

Czy budowa kanału przez Mierzeję Wiślaną to odebranie Rosji części kontroli nad Bałtykiem?

Amerykański gen. Ben Hodges mówi, że albo oddamy Rosji inicjatywę na Morzu Czarnym i Bałtyku, albo sami będziemy gospodarzami na tych akwenach. Proste skojarzenie – jeśli mam w domu garaż, to chciałbym mieć swoją bramę, żeby wyjechać na zewnątrz, a nie za każdym razem pytać sąsiada, czy mi tę bramę otworzy. I tak powinno być w przypadku jednostek marynarki wojennej – powinny wypływać wtedy, kiedy jest taka potrzeba, a nie kiedy sąsiad im pozwoli.

Ta skarga skierowana do KE to taki szablon, który może być wykorzystywany w przypadku każdej inwestycji, jaką chce się rozpocząć w Polsce.

Organizacje protestujące mają pewną sztancę, według której piszą te skargi. Np. w sprawie mierzei prosi się o interwencję w sprawie wstrzymania, cytuję „bezprawnych działań inwestycyjnych na obszarach Natura 2000". Ich zdaniem ów rzekomo bezprawny charakter polega na tym, że kilka godzin po wydaniu decyzji na mierzei rozpoczęto wycinkę lasu pod budowę przekopu. No bo tak działa rygor natychmiastowej wykonalności. Inwestor może tak działać i to jest absolutnie zgodne z prawem. Ten zarzut postawiono tylko po to, by wznowić konflikt społeczny.

Z jednej strony ekolodzy postulują, by „marnotrawione pieniądze" przeznaczyć na walkę z suszą, z drugiej mamy przykład inwestycji w Siarzewie. Budowa stopnia wodnego, którego lokalizację zatwierdzono w 2012 r., jest blokowana przez ekologów i dopiero w 2017 r. przyjęto, że bezpieczeństwo powodziowe jest ważniejsze od ochrony przyrody i stanowi „nadrzędny interes społeczny". Ma on nie tylko wspomagać tamę we Włocławku, ale także niwelować brak wody na Kujawach. Walczymy z suszą, blokując takie inwestycje?

To jest kolejna sytuacja, w której mamy rygor natychmiastowej wykonalności. Stopień wodny w Siarzewie popiera miejscowa ludność, w decyzji środowiskowej nakazano kompensacje przyrodnicze. Na stronie internetowej Państwowego Gospodarstwa Wodnego Wody Polskie są szczegółowe informacje na ten temat.

Wielu działaczy ekologicznych jest przekonanych, że czegokolwiek człowiek dotknie, to zniszczy.

Tymczasem Kanał Augustowski, którego budowa ruszyła w 1824 r., jest w tej chwili obszarem, na którym jest bardzo wiele cennych gatunków przyrody. Inny przykład to Stawy Milickie na Dolnym Śląsku, założone przez cystersów w XIII w. – 7 tys. ha, ponad 800 lat tradycji. To jedne z najcenniejszych stawów w Europie. Jest tam rezerwat ornitologiczny, park krajobrazowy, są jedynym obiektem z Polski, który został wpisany na światową listę Living Place (żyjące miejsca) obok takich obiektów jak jeziora: Bajkał, Titicaca, Balaton czy jezioro Wiktorii. Zatem czy to, co człowiek robi, musi być zawsze złe? Nie! Takie obiekty wkomponowują się w przyrodę i natura bardzo chętnie z nich korzysta.

Z jednej strony wydaje się, że organizacje ekologiczne są po to, żeby czuwać, aby granica pokojowej koegzystencji z naturą nie została przez człowieka przekroczona, lecz z drugiej mamy zbyt wiele przykładów na to, że działają z zupełnie innych pobudek.

Zrównoważony rozwój powinien tę granicę wyznaczać. Nie brakuje nam zasobów i mamy z czego nadal się rozwijać. I tak powinny działać organizacje ekologiczne, żeby ten rozwój był podtrzymywany, bo to jest

eprasa.pl 0a823495aa

niezbędne do istnienia ludzkości. Natomiast działalność wielu organizacji na terenie Polski zaczyna przypominać mi po prostu, przepraszam, piątą kolumnę gospodarczą, której celem jest sparaliżowanie wszystkiego, co mogłoby zwiększyć konkurencyjność polskiej gospodarki. I to mi się bardzo nie podoba.

I głównym narzędziem w tym działaniu jest blokowanie nowych inwestycji?

Tak, a także blokowanie nowych rozwiązań technologicznych. Jednak największe zagrożenie widzę w zarządzaniu przestrzenią – pewne drogi mogą powstawać tylko tam, gdzie organizacje zadecydują, pewne przemysły mogą powstać tylko tam, gdzie organizacje się zgodzą, pewne źródła energii mogą być tylko takie, jakie organizacje akceptują. To są takie decyzje, które determinują, co nam wolno, a czego nie i niekoniecznie ma to związek wyłącznie z ochroną przyrody i lepszą jakością życia człowieka.

Jeżeli pan wysnuwa taką tezę, że są organizacje pseudoekologiczne, których głównym celem nie jest ochrona środowiska, a wtrącanie się w polski rozwój, polską gospodarkę, to nasuwa się tu natychmiast pytanie, jaki mają w tym interes?

Nie zauważamy bardzo inteligentnej gry. Organizacja nawet nie musi być finansowana wprost przez partnera zagranicznego. Na terenie Polski, jak zauważyłem, robi się to trochę inaczej. Najpierw uczestniczy się w tworzeniu przepisów prawa i lobbuje za pewnymi rozwiązaniami, ochronę pewnych gatunków „zaszywa" się w prawie, a następnie eskaluje się konflikt z wykorzystaniem tego, co się wcześniej wylobbowało, a potem, żeby rozwiązać ten konflikt, wnioskuje się o dofinansowanie, nawet ze środków państwowych, na zbadanie tego konfliktu. W efekcie nie ma źródła finansowania z zagranicy, nie ma zarzutu, że ktoś z zagranicy zlecił blokowanie rozwoju w Polsce. Zgodnie z procedurą eskaluje się koszty zabezpieczeń środowiska, a potem jest lament, dlaczego w Polsce jest tak duży koszt budowy autostrad. W skrajnym przypadku przedkłada się tego typu projekt do sfinansowania z pieniędzy zewnętrznych, np. jakiegoś banku europejskiego, a ten bank mówi: „No dajcie spokój, inwestycja jest nieopłacalna, nie róbcie hydroenergetyki, nie budujcie międzynarodowych dróg wodnych. My wam sfinansujemy niemieckie wiatraki, a towary pojadą pociągami do niemieckich portów".

> Drogi mogą powstawać tylko tam, gdzie organizacje ekologiczne zadecydują. Źródła energii mogą być tylko takie, jakie te organizacje akceptują. To są takie decyzje, które determinują, co nam wolno, a czego nie

Czy chce pan powiedzieć, że państwo, a dokładniej mówiąc rząd, opłaca organizacje, które blokują jego inwestycje i rozwój gospodarki?

Znam przynajmniej kilka przypadków, gdzie projekty były finansowane z pieniędzy publicznych i służyły zablokowaniu strategicznych inwestycji w Polsce oraz finansowały donoszenie na Polskę do KE. A czy państwo to samo robiło, czy ktoś rękami jakichś tam urzędników decydował o przyznaniu takiego dofinansowania, tego nie wiem. Ale to jest pytanie, na które odpowiedź powinny znaleźć odpowiednie służby.

Z tego, co pan mówi, wynika, że ta inicjatywa, która się zrodziła w Ministerstwie Środowiska, żeby wprowadzić przepisy wymagające od działających w kraju organizacji pozarządowych ujawniania otrzymywanych z zagranicy funduszy, zresztą nie tylko organizacji ekologicznych, jak to początkowo miało być, wiele nie odkryje i wiedzy użytecznej nam nie przyniesie.

Nie wykluczam potrzeby zrobienia tego ruchu, aby znać strumienie finansowe i kierunki przepływów. Miejmy tylko należytą ostrożność, by z tytułu samego źródła finansów nie stawiać pochopnych oskarżeń. Bo sam mechanizm sprawdzający nie musi być skuteczny wobec inteligentnych, koronkowo przygotowanych działań, które kiedyś w jednej z publikacji nazwałem „matrioszką". Gdzieś głęboko ukryty jest właściwy zleceniodawca, który absolutnie nie uczestniczy w bezpośrednim zleceniu ani tym bardziej w bezpośrednim finansowaniu. Jest tylko cel. Celem np. jest zablokowanie przekopu Mierzei Wiślanej. Ale jak to zostanie zrobione, czy przez skargi o nieprzestrzeganie wymogów Natury 2000, czy przez dowodzenie nieopłacalności inwestycji, czy przez twierdzenie, że jest „kuriozalna", czy przez oskarżenia o naruszenie praworządności, alarm o spowodowanie zagrożenia dla mieszkańców, to już jest tzw. gra na wielu fortepianach. Natomiast jeśli takie NGO są bardzo sprytne, to jeszcze przygotują projekty, które zostaną sfinansowane z publicznych pieniędzy w Polsce.

Kiedyś na promocji jednej z książek Wiktora Suworowa zadałem mu pytanie w świetle kamer. „Gdyby pan był nadal aktywnym funkcjonariuszem GRU, jak by pan wykorzystał zielone organizacje działające w Polsce do swoich celów?". To pytanie wywołało spore zamieszanie i przerwę. Suworow poprosił mnie na stronę, a wszystkim obiecał kontynuację odpowiedzi. To było kilka niezmiernie cennych minut. Po przerwie powiedział zebranym i dziennikarzom m.in.: „Kiedyś narażaliśmy się na dekonspirację, werbując osoby i je finansując. Dzisiaj, w czasie projektów dotacyjnych, wystarczy je ukierunkować...". Dlatego należy wykonać kwerendę zdarzeń. Intencje NGO wobec Polski najlepiej poznać po dotychczasowych owocach ich działań. Przygotowałem taki projekt. Został odrzucony z dofinansowania z pieniędzy publicznych.

eprasa.pl 0a823495aa



Czy to już koniec pandemii?

Ludzie przyzwyczaili się do zagrożenia i doszli do wniosku, że nie jest ono zbyt wielkie. Te nastroje są coraz silniejsze, tym bardziej że zrobiło się ciepło, zbliżają się wakacje. Jednak koronawirus nie zniknął i – zdaniem wielu naukowców – jesienią powróci z nową siłą. Dlatego pomimo obniżenia alertu nie można go całkiem odwołać



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Ten tydzień jest inny od poprzedniego. Nie musimy już zakładać maseczek w otwartej przestrzeni, zlikwidowano też limity osób w sklepach, kościołach, na poczcie oraz w kawiarniach i restauracjach (w tych dwóch ostatnich miejscach to formalność, trudno bowiem jeść obiad czy pić kawę w maseczce). Jak zapowiada rząd, od kolejnego tygodnia ruszą również kina, teatry, a także baseny, kluby fitness i siłownie, choć na razie będą one działać w tzw. reżimie sanitarnym – w przypadku kin i teatrów oznacza to m.in. obowiązek noszenia maseczek na widowni oraz możliwość wypełnienia tylko 50 proc. miejsc.

Minister zdrowia Łukasz Szumowski przekonuje, że nie ma powodów do nadmiernych obaw, bo większość Polski ma tendencję spadkową w przebiegu epidemii. „Mamy ogniska w kopalniach czy fabryce, ale są to ogniska zamknięte. Transmisji poziomej jest już niewiele. Dzięki temu możemy zaproponować kolejne poluzowanie obostrzeń. Pozwala na to również przygotowanie naszych szpitali. Mamy ponad 80 proc. wolnych łóżek i 90 proc. wolnych respiratorów czekających na pacjentów z COVID-19. Jestem przekonany, że na koniec przyszłego tygodnia wszystkie województwa będą odnotowywały tendencję spadkową w epidemii" – powiedział minister podczas konferencji w poprzednią środę.

Wydaje się więc, że wreszcie – u progu wakacji i zaledwie po trzech miesiącach od wykrycia w Polsce pierwszego przypadku zarażenia koronawirusem – wracamy do normalności. Czy rzeczywiście tak jest?

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 0a823495aa

STATYSTYKI KOMPLIKUJĄ SPRAWĘ

Premier Morawiecki uważa, że zdołaliśmy zapanować nad koronawirusem w dużo bardziej sprawny sposób, niż zrobiły to znacznie bogatsze od nas państwa Europy Zachodniej. Z pewnością ogromną zasługą rządu była zapobiegliwość i przytomna reakcja na pierwsze zakażenia. Szybkie wprowadzenie ograniczeń uratowało nas zapewne od katastrofy w ochronie zdrowia, która dotknęła Włochy, Francję i Hiszpanię. Udało się też uniknąć wysokiej śmiertelności, w Polsce wynosi ona 27 osób na milion mieszkańców, podczas gdy np. w Belgii jest to 808 osób, w Wielkiej Brytanii, która długo zwlekała z obostrzeniami – 552 osoby, a w Szwecji, która w ogóle nie wprowadziła lockdownu – 418 osób (dla porównania we Włoszech, gdzie wybuchło wyjątkowo silne ognisko pandemii, śmiertelność sięgnęła 547 osób na milion). Polska może więc mówić o realnym sukcesie w tym wymiarze.

Jednak z drugiej strony najnowsze dane dotyczące liczby zachorowań na koronawirusa w Polsce nie są wcale tak jednoznacznie dobre. Choroba ciągle trwa i w przeciwieństwie do wielu państw Europy nie znika. Sięgnijmy do liczb. W ostatnią środę w Polsce mieliśmy 11 115 chorych i 10 330 osób wyleczonych (co wraz z ponad tysiącem zgonów dawało łączną liczbę 22 473 przypadków). Zatem chorych było nadal więcej niż wyleczonych, choć – na szczęście – ta różnica nie jest wielka. Nie spada też znacząco liczba nowych przypadków, które utrzymywały się na stałym poziomie ok. 400 osób dziennie. Można więc mówić, tak jak powiedział premier, o zapanowaniu nad wirusem, ale z pewnością nie da się z tych danych wyciągnąć wniosku, że wychodzimy z pandemii, czego – rzecz jasna – premier nie powiedział, ale w co zdaje się wierzyć coraz więcej osób w Polsce.

O wychodzeniu z pandemii mogą mówić państwa, które notują proporcjonalnie mniej nowych zachorowań dziennie i mają mniej aktywnych przypadków niż Polska. Przykładem mogą być – jeśli wierzyć oficjalnym danym – Niemcy, gdzie na łączną liczbę blisko 200 tys. zakażeń pozostało do dziś zaledwie 10,5 tys. chorych. Innym, bliższym nam pod względem liczby zachorowań krajem są Czechy, gdzie w połowie ub. tygodnia było już tylko 2,4 tys. niewyleczonych przypadków koronawirusa. W Czechach po krótkim okresie wzrostu dziennych zachorowań na przełomie marca i kwietnia sytuacja zaczęła się szybko stabilizować. Od końca kwietnia nie notowano już tam więcej niż 100 nowych przypadków dziennie, a pod koniec maja ta liczba spadła poniżej 50. Warto przy okazji zwrócić uwagę, że Czechy były jednym z pierwszych państw w Europie, które wprowadziły obowiązek noszenia maseczek, został on zniesiony dopiero niedawno.

> Epidemiolodzy boją się nadchodzących wakacji. Zwiększona mobilność to jednocześnie znacznie wyższe ryzyko zakażeń i rozprzestrzenienia choroby

100 TYS. CHORYCH?

Najlepszym sposobem sprawdzenia realnej skali zachorowań są testy, choć – jak zauważa wielu ekspertów – nie jest to metoda doskonała ani w pełni wiarygodna. Na razie lepszej jednak nie mamy. Oczywiście cieszy informacja, że ciągle rośnie liczba laboratoriów wykonujących testy. Jak przypomniał minister zdrowia Łukasz Szumowski, na początku marca próbki były wysyłane do Niemiec, a dziś działa już w Polsce 120 laboratoriów. Jednak liczba testów, mimo ogromnych postępów zrobionych w ostatnich tygodniach, nadal odstaje od wielu państw europejskich. Do 27 maja wykonano – według dostępnych danych – niemal 825 tys. testów. To bardzo dużo, ale w przeliczeniu na liczbę mieszkańców, daje nam to niecałych 22 tys. testów na milion. Dla porównania państwa europejskie o dużej łącznej liczbie przypadków, takie jak Wielka Brytania, Włochy, Niemcy czy Hiszpania, wykonały ponad dwu- (Niemcy), a nawet czterokrotnie (Hiszpania) więcej testów na milion mieszkańców. Spośród większych państw europejskich podobne wskaźniki do nas ma jedynie Francja. Mniejsze kraje zwykle wypadają lepiej, ale porównywanie z nimi Polski nie jest miarodajne, bo przy mniejszej liczbie ludności łatwiej przebadać większą liczbę osób.

Z powodu mniejszej liczby testów trudno nam precyzyjnie oszacować, w której fazie pandemii znajdujemy się w tej chwili. Daje to pożywkę dla różnych spekulacji. Poseł Porozumienia i dawny szef NFZ Andrzej Sośnierz zaatakował niedawno rząd na antenie Radia Tok FM, twierdząc, że Polska ma najgorszy przebieg epidemii w Europie. „Gorzej od nas wygląda tylko Rosja, Białoruś i Ukraina, może jeszcze Bułgaria. Mówię to z pełną odpowiedzialnością: nie mamy się czym chwalić" – podkreślał Sośnierz. Jego zdaniem łączna liczba przypadków koronawirusa w Polsce przekroczyła 100 tys. osób, z czego część wyzdrowiała, nie zdając sobie nawet sprawy z przebycia choroby. Sośnierz uważa też, że na razie nie widać końca epidemii i nadal będą wybuchać kolejne ogniska, takie jak ostatnio na Śląsku.

BEZOBJAWOWY ŚLĄSK

Przypadek śląskich kopalń jest zresztą ciekawy, bo dzięki przerzuceniu większości dostępnych sił laboratoryjnych na Śląsk i skrupulatnemu przetestowaniu zagrożonych górników udało się sprawdzić, jak rozwija się zakażenie w relatywnie niewielkim skupisku osób. Okazało się, że zachorowalność wśród górników sięgnęła ok. 17 proc., z tego prawie 97 proc. przechodzi chorobę bezobjawowo. To mogłoby potwierdzać hipotezy, że rzeczywista liczba chorych może być w Polsce znacznie wyższa, niż się uważa. Oczywiście pod warunkiem, że przypadek śląski jest reprezentatywny dla reszty kraju. Jeśli tak, to niewykluczone, że każdy z nas może być bezobjawowym nosicielem albo w każdej chwili może się z takim nosicielem zetknąć, o ile już do tego nie doszło.

eprasa.pl 0a823495aa

To wiadomość dobra i zła zarazem. Dobra, bo skoro tyle osób nie ma objawów, to koronawirus jest być może mniej groźny, niż się wydawało. I zła, bo jesteśmy bardziej narażeni na zachorowanie, co w przypadku osób w podeszłym wieku lub chorych może być śmiertelnie niebezpieczne.

Zdejmowanie maseczek w tej sytuacji może nie być najlepszym rozwiązaniem. Oczywiście nikt nikomu nie zabrania ich nosić i oficjalnie nadal należy je zakładać w przypadku dystansu mniejszego niż 2 m, ale sądząc po nonszalanckim stosunku wielu Polaków do tego obowiązku i noszenia maseczek na brodzie, mało kto będzie się tym przejmował.

Trudno też nie dostrzec innego ryzyka. O ile bowiem zdjęcie maseczki w otwartej przestrzeni nie wydaje się szczególnie niebezpieczne, o tyle zakładanie jej po każdym wejściu do sklepu czy autobusu, a potem zdejmowanie brudnymi rękami (bo nie mam wątpliwości, że w większości przypadków tak to będzie wyglądać) może przynieść więcej szkody niż pożytku.

Minister Szumowski uspokaja wprawdzie, wskazując na dane Ministerstwa Zdrowia, że współczynnik R spadł już w Polsce poniżej 1. Oznacza to, że jeden zarażony przekazuje koronawirusa mniej niż jednej osobie. Jednak wspomniany już Andrzej Sośnierz zwraca uwagę, że skoro nie wiemy, ilu jest zakażonych, to nie możemy ustalić precyzyjnie wskaźnika R. „Fałszywe dane dzielimy przez fałszywe dane" – twierdzi. A jeśli tak, to decyzję o zdjęciu kolejnych ograniczeń podejmujemy na podstawie mocno niepełnych informacji.

Trzeba jednak zauważyć, że ważnym powodem luzowania kolejnych obostrzeń jest obawa o stan gospodarki, która nie wytrzyma długiego lockdownu. Swoje robi również psychologia. Ludzie przyzwyczaili się do zagrożenia i doszli do wniosku, że nie jest ono zbyt wielkie. Te nastroje są coraz silniejsze, tym bardziej że zrobiło się ciepło, zbliżają się wakacje. Jednak koronawirus nie zniknął i – zdaniem wielu naukowców – jesienią powróci z nową siłą.

DRUGA FALA

Jeszcze dwa miesiące temu można było się łudzić, że koronawirus sam zniknie, podobnie jak to było w przypadku jego starszego kuzyna SARS. Liczono na to, że jego rozwój zależny jest od określonych warunków klimatycznych, a wzrost temperatury oraz zmiana wilgotności powietrza, które nastąpią latem, w sposób naturalny wyhamują rozwój zachorowań. Spowolnienie pandemii w Europie pozornie wydaje się potwierdzać ten scenariusz, ale jednocześnie obserwujemy gwałtowny wzrost zakażeń w Ameryce Południowej, gdzie wysokie temperatury miały rzekomo blokować koronawirusa. Brazylia jest dziś największym ogniskiem zachorowań na świecie, z liczbą nowych przypadków przewyższającą 20 tys. osób dziennie, a zatem większą niż w Stanach Zjednoczonych. Inne ogniska rozwijają się w Meksyku, Peru i Chile. Łącznie – jak podaje Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) – w Ameryce Łacińskiej dziennie wykrywa się więcej nowych zakażeń niż w Europie czy USA. Nie do końca jasna jest również sytuacja w Afryce, gdzie brakuje infrastruktury i testów. Wkrótce może się okazać, że i tam wybuchną duże ogniska choroby.

> 97 proc. zakażonych górników przechodzi chorobę bezobjawowo. To mogłoby potwierdzać hipotezy, że rzeczywista liczba chorych może być w Polsce znacznie wyższa, niż się uważa

Z punktu widzenia Polski szczególnie groźnie wygląda sytuacja za naszą wschodnią granicą. Ukraina zmaga się z kryzysem gospodarczym, który bardzo utrudnia jej walkę z koronawirusem, a na Białorusi i w Rosji zaniżane są – zdaniem większości mediów – oficjalne statystyki zakażeń, które mogą iść w setki tysięcy.

Być może każdy region czeka potężna fala zachorowań, po której – tak jak w Europie, Ameryce Północnej czy Azji Wschodniej – nastąpi chwilowe uspokojenie i uodpornienie części populacji. Ale są to jedynie domysły. Niezaprzeczalne jest jedynie to, że koronawirus nie znika i – jak sądzą niektórzy naukowcy – pozostanie już z nami na długo lub na zawsze.

Mało kto wątpi również w drugą falę pandemii, która może nadejść jesienią. Jeśli do niej dojdzie, będzie zapewne groźniejsza od obecnej przede wszystkim z tego powodu, że nałoży się na sezonową epidemię grypy. Możliwe są również mutacje koronawirusa, które mogą sprawić, że nowa fala wywoła więcej zachorowań, podobnie jak to było w przypadku drugiego ataku grypy hiszpanki po I wojnie światowej.

Epidemiolodzy boją się również wakacji. Poluzowanie obostrzeń i słoneczna pogoda doprowadzą bowiem do zwiększenia ruchu turystycznego, już dziś otwierają się przecież plaże i hotele nad Morzem Śródziemnym. Tymczasem zwiększona mobilność to jednocześnie znacznie wyższe ryzyko zakażeń i rozprzestrzenienia choroby.

Zagrożeń – jak widać – nie brakuje. Pandemia wcale się nie skończyła i do pełnej normalności wciąż nam jeszcze daleko. Dlatego warto przygotować się na kolejne uderzenie, zwłaszcza w ochronie zdrowia i gospodarce. Przemyśleć dokładnie, czy wszędzie możliwy jest powrót do poprzedniego trybu funkcjonowania. Jak się bowiem okazuje, przynajmniej część rzeczy można bez żadnych strat robić zdalnie.

„Drugiego lockdownu już nie da się zrobić" – ostrzega minister Szumowski. „Poza tym mam nadzieję, że nawet jeśli będzie drugie uderzenie epidemii, to jednak nie będzie dramatycznie. Udało się bowiem wprowadzić sieć szpitali jednoimiennych, mamy infrastrukturę, ponad 120 laboratoriów wykonuje testy. To są narzędzia do kontroli tego potwora, jakim jest epidemia" – powiedział w rozmowie z naszym tygodnikiem. Oby miał rację.

eprasa.pl 0a823495aa

Egzaminy będą bezpieczne

Szkoły od kilku tygodni są puste, same mury nie zarażają! Jeśli ktoś czuje się zagrożony, niech nie zdejmuje maseczki podczas egzaminu, używa rękawiczek jednorazowych itd. I bezwzględnie trzymajmy się zasady, że na egzamin przychodzą tylko osoby zdrowe

*Z **Dariuszem Piontkowskim**, ministrem edukacji narodowej, rozmawia Dorota Łosiewicz*

Jakie wyciąga pan wnioski ze zdalnej edukacji?

Dariusz Piontkowski: Okazało się, że współczesna technologia umożliwia inną formę kształcenia niż tylko stacjonarne zajęcia, co jeszcze kilkanaście lat temu mogło się wydawać fantazją. Jestem też bardzo wdzięczny nauczycielom, którzy stanęli na wysokości zadania, w bardzo szybkim tempie przyswoili nowe metody nauczania i nowe metody komunikacji. Z sygnałów, które dostaje MEN, przytłaczająca większość nauczycieli bardzo dobrze wypełnia swoje obowiązki. Nie mam wątpliwości, że w wielu wypadkach przygotowanie się do zdalnej lekcji wymaga więcej pracy i kreatywności niż w przypadku standardowych metod nauczania. Na pewno część tych umiejętności, które nieco pod przymusem zdobyli nauczyciele, dzieci, a także rodzice, będzie przydatna w przyszłości. Plusem zdalnej edukacji jest też zmiana nastawienia niektórych uczniów do szkoły. Coraz częściej słyszę, że uczniowie deklarują tęsknotę za tradycyjną szkołą, choć jeszcze kilka miesięcy temu pewnie by się o tak pozytywne emocje względem szkoły nie podejrzewali.

Brzmi to wszystko pięknie, ale warto pamiętać, że wciąż nie wszyscy Polacy mają dostęp do internetu.

To ciągnie za sobą ryzyko wykluczenia sporych grup uczniów, w tym także maturzystów czy ósmoklasistów przygotowujących się do egzaminu.

Proszę pamiętać, że w związku z epidemią musieliśmy spróbować poradzić sobie z tą sytuacją. Mogliśmy uznać, że nic się nie da zrobić, i zostawić dzieci samym sobie, lub spróbować jakoś zapanować nad tą sytuacją. Mam świadomość trudności oraz tego, że każde wyjście awaryjne pociąga z sobą ryzyko i mankamenty. Tak jest także z kształceniem na odległość. Ale nikt nic mądrzejszego w czasach pandemii nie wymyślił. To jak z demokracją i słynnym powiedzeniem Winstona Churchilla. Oczywiście, że są problemy, oczywiście, że wysłanie wydrukowanego pakietu jest mniej efektywne niż kontakt z nauczycielem, oczywiście, że są problemy z dostępem do internetu i do sprzętu. Podjęliśmy jednak wiele działań, by te problemy były jak najmniejsze. Uruchomiliśmy bardzo duże środki na zakup sprzętu, choć jest to zadanie własne samorządów. W ostatnich tygodniach przekazaliśmy łącznie prawie 370 mln zł samorządom, które się zgłosiły o dofinansowanie. Ponadto Ministerstwo Cyfryzacji przekazało szkołom kilkanaście tysięcy laptopów. Do tego warto dodać środki, które wcześniej MEN przeznaczyło na program Aktywna Tablica (ponad 160 mln zł). Od 2015 r. realizujemy także program Ogólnopolskiej Sieci Edukacyjnej, czyli podłączania szkół do szerokopasmowego internetu. Gdy przejęliśmy władzę, niespełna 10 proc. szkół miało dostęp do szybkiego internetu, teraz ponad 50 proc. szkół ma podłączenie do OSE, a część korzysta z własnych łączy. Do końca 2020 r. wszystkie chętne szkoły powinny mieć takie łącze.

Obserwując zdalną edukację swoich dzieci, dochodzę do wniosku, że znów się okazało, że niewiele zależy od systemu, a wszystko od człowieka, od nauczyciela. Obserwowałam bardzo kreatywne podejście do zdalnej edukacji, z nagrywaniem własnych prezentacji łącznie, po polecenie: przeczytajcie rozdział x ze strony y i zróbcie ćwiczenia 3, 4, 5.

Zgadzam się z panią. Nie metoda decyduje o powodzeniu w nauczaniu, tylko osobowość nauczyciela, jego umiejętności oraz to, czy przykłada się do pracy. Poza tym w nauczaniu na odległość bardzo ważna jest także osobowość ucznia, samodyscyplina, motywacja. W szkole nauczyciel ma narzędzia, by zachęcić tych bardziej opornych do nauki. W przypadku zdalnej edukacji te możliwości są bardzo ograniczone. Dlatego osobo-

eprasa.pl 0a823495aa



wość nauczyciela i atrakcyjność zaproponowanych zajęć mają duży wpływ na to, czy nauczanie zakończy się sukcesem. Nie można także zapomnieć o zaangażowaniu rodziców. Bez nich, zwłaszcza w przypadku młodszych dzieci, to wszystko nie powiodłoby się. Dużo było do tej pory narzekania na polską szkołę, że jest skostniała, tradycyjna, nie potrafi uczyć. Dziś zaczynamy na nią patrzyć nieco inaczej. Okazuje się, że pewien konserwatyzm szkoły i tradycyjna forma nauczania mogą być zaletą w tym szybko zmieniającym się świecie.

Jak lepiej premiować tych nauczycieli, którym się po prostu chce?

Zanim wybuchła pandemia, chcieliśmy całościowo rozmawiać o zmianach w systemie edukacji. Służyły temu spotkania zespołu trójstronnego, w którego skład wchodzą przedstawiciele samorządów i związków zawodowych oraz ministerstwa. Elementem tych rozmów miały być także zmiany w systemie wynagradzania.

> Niektóre samorządy zaczynają szukać oszczędności w oświacie i starają się zabrać część pieniędzy należnych nauczycielom. Słyszę o takich pomysłach, aby nie wypłacać wynagrodzenia za godziny ponadwymiarowe w przypadku pracy zdalnej

To jednak zmiany bardzo szerokie, a epidemia zawiesiła funkcjonowanie tego zespołu. Nie da się tych zmian przeprowadzić bez szerokich konsultacji. Dziś każdy dyrektor ma możliwość dodatkowego wynagradzania nauczycieli. Są dodatki motywacyjne, nagrody dyrektora, kuratora i ministra. Jeśli ktoś szczególnie się zaangażował w kształcenie na odległość, to powinien być specjalnie nagrodzony. Także rodzice mogą sygnalizować dyrekcji swoje zadowolenie z czyichś osiągnięć. Jeśli chodzi o dodatek motywacyjny, to o jego wysokości decydują samorządy. Niestety, dziś niektóre samorządy zaczynają szukać oszczędności w oświacie i starają się zabrać część pieniędzy należnych nauczycielom. Słyszę o takich pomysłach, aby nie wypłacać wynagrodzenia za godziny ponadwymiarowe w przypadku pracy zdalnej. Te samorządy, które podczas

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 0a823495aa

strajku chciały wypłacać pieniądze za nic, dziś próbują je nauczycielom odbierać.

Nie ma pan takiego odczucia, że dla wielu uczniów będzie to rok zmarnowany?

Epidemia zaczęła się w marcu. Kształcenie na odległość trwa nieco ponad dwa miesiące i na pewno jest to zysk w stosunku do sytuacji, gdybyśmy nie podjęli żadnych działań. Trudno mi sobie wyobrazić lepszą decyzję. Większość państw europejskich postąpiła podobnie jak Polska. Także wprowadziła nauczanie na odległość. Tylko nieliczne państwa, głównie skandynawskie, zdecydowały się, aby uczniowie chodzili do szkół. Myślę, że w Polsce byłby bardzo duży opór, gdyby rząd podjął taką decyzję.

Faktycznie wygląda na to, że rodzice wciąż boją się wirusa. Choć mają możliwość (chyba że samorządy zdecydowały inaczej) wysłać dzieci z klas I–III do szkół na zajęcia opiekuńcze z elementami dydaktycznymi, to pierwszego dnia przyszło ich raptem 13,95 proc. Przedszkola i żłobki też nie są oblegane. Może na cztery tygodnie przed końcem roku takie ryzyko nie miało sensu?

Niska frekwencja (od kilku do kilkunastu procent w poszczególnych województwach) była częściowo wynikiem niechęci samorządów do otwierania tych placówek. Rozumiem też lęk części rodziców związany z epidemią oraz zauważam, że skoro rodzice mogą skorzystać z zasiłku, to wolą zostać z dzieckiem w domu. Okazało się, że większość rodziców nie musi pilnie wracać do pracy. Być może dlatego, że część pracuje zdalnie. Podkreślaliśmy od początku, że nie chodzi nam w tej chwili o pełny powrót do zajęć dydaktycznych, ale o zapewnienie opieki dzieciom w sytuacji, gdy rodzice bezwzględnie muszą do pracy wrócić. Liczba dzieci w przedszkolach wyraźnie rośnie i sądzę, że podobnie będzie w szkołach.

Lęk rodziców chyba jest dość racjonalny. Gdy zamykano szkoły w Polsce, było kilka przypadków koronawirusa, a gdy są otwierane, jest ich ponad 20 tys. Ryzyko zakażenia jest po prostu większe.

Słuchamy rekomendacji ministra zdrowia, który zapewnia, że sytuacja jest pod kontrolą. Warto zauważyć, że w różnych województwach liczba otwartych placówek jest różna. W Lubuskiem ponad 60 proc. szkół jest otwarte, a na Śląsku – około 1,5 proc. z powodu liczby zakażeń w tym regionie.

> Jeśli ktoś ma ochotę w czasie wakacji popracować na wsi, to ma do tego prawo, ale nikt nie będzie zmuszał nauczycieli do pracy podczas urlopu, na który zasłużyli

Przed nami matury i egzaminy ósmoklasisty. Czy jest możliwe, żeby w niektórych miejscach, tam gdzie są ogniska SARS-CoV-2, one się nie odbyły? Minister zdrowia może zarekomendować wybory korespondencyjne w przypadku ogniska wirusa, a co z egzaminami?

Jeśli chodzi o Śląsk – ognisko powinno niebawem wygasnąć i nie będzie się to województwo różniło niczym od reszty. Jeśli chodzi o egzaminy, to przygotowaliśmy z GIS i Ministerstwem Zdrowia szczegółowe wytyczne, wynikające z zagrożenia epidemicznego. Musi być dezynfekcja rąk, zachowane odległości między ławkami itd. Same egzaminy nie powinny więc spowodować wzrostu zachorowalności. Jednak gdyby coś się działo, to przecież każdy egzamin, poza terminem głównym, ma także termin dodatkowy. Właśnie na wypadek nieprzewidzianych zdarzeń.

Jednak minister zdrowia nie wycofał się ze swojego przekonania, że wybory korespondencyjne są bezpieczniejsze niż tradycyjne. Tak więc egzaminy są obciążone ryzykiem. Może lepiej byłoby i dzieci, i nauczycieli poddać przed egzaminem testom?

Obecnie nie ma możliwości przeprowadzenia egzaminów na masową skalę w sposób zdalny. Nie ma wątpliwości, że ani do szkoły, ani do przedszkola, ani na egzamin nie powinno iść chore dziecko. W okresie epidemii zawsze może się pojawić możliwość zachorowania, a testy przed tym nie ochronią. Jednak kiedy testy miałyby się odbyć? Na tydzień przed egzaminami? A potem co? Zalecić wszystkim bezwzględną izolację, żeby się nie zarazili? A może na trzy dni przed egzaminem? Ale to wciąż są trzy dni, kiedy może dojść do kontaktu z osobą zarażoną i osoba, która miała ujemny wynik testu, może się okazać chora. A może należałoby testować wszystkich uczniów i nauczycieli przez dwa tygodnie codziennie? To przecież absurd. Pamiętajmy, że szkoły od kilku tygodni są puste, same mury nie zarażają! Jeśli ktoś czuje się zagrożony, niech nie zdejmuje maseczki podczas egzaminu, używa rękawiczek jednorazowych itd. I bezwzględnie trzymajmy się zasady, że na egzamin czy do pracy przychodzą tylko osoby zdrowe, bez gorączki i innych objawów. Musimy być wszyscy za siebie odpowiedzialni. Szkoła, egzaminy, są elementem życia społecznego, skoro inne elementy wracają do nowej normalności, to musimy to robić także w szkołach. Egzamin jest ważnym elementem podsumowującym kilka lat pracy uczniów i nauczycieli. Nie chciałbym, żeby któryś z uczniów czuł się pokrzywdzony brakiem możliwości wykazania się wiedzą i umiejętnościami. Kształcenie na odległość trwa raptem dwa miesiące, a w przypadku maturzystów to okres około miesiąca.

Ale skoro sytuacja jest wyjątkowa, to może bezpieczniej byłoby w przypadku ósmoklasistów zorganizować konkurs świadectw? Ryzyko zakażenie w grupie ponad 300 tys. uczniów znacząco by spadło.

eprasa.pl 0a823495aa

Ale to byłoby bardzo krzywdzące rozwiązanie. Egzamin jest najbardziej obiektywną formą porównania wiedzy i umiejętności uczniów. Szóstka szóstce nierówna. Nauczyciele mają różne wymagania. Świadectwo oczywiście się liczy, przecież jest elementem składowym punktacji, podobnie jak w poprzednich latach. Poza tym okres największego zagrożenia, jak się wydaje, już minął. Większość Polaków spokojnie robi zakupy, chodzi do galerii handlowych czy dużych sklepów spożywczych. Na egzaminie spotka się mniej ludzi niż w sklepie. Pójście na egzamin jest bardziej bezpieczne niż wyjście do galerii handlowej.

Przyzna pan jednak, że rekrutacja do liceów będzie szalona, czas na formalności bardzo się skrócił, a dzieciom nie zostaje dużo czasu na odpoczynek.

Najpierw przypomnijmy terminy rekrutacji, bo te uległy zmianie ze względu na zmianę terminu egzaminu. Okres od 15 czerwca do 10 lipca to czas na złożenie wniosku do szkoły średniej i uzupełnienie go o świadectwo ukończenia szkoły. Od 31 lipca do 4 sierpnia jest czas na uzupełnienie wniosku o zaświadczenie o wyniku egzaminu ósmoklasisty oraz na ewentualną zmianę przez kandydatów wniosków o przyjęcie, w tym zamianę szkół, do których aplikują. Listy kandydatów zakwalifikowanych i niezakwalifikowanych ogłoszone zostaną 12 sierpnia 2020 r. Od 13 do 18 sierpnia br. w szkole, do której uczeń został zakwalifikowany, należy potwierdzić wolę przyjęcia w postaci przedłożenia oryginału świadectwa ukończenia szkoły i oryginału zaświadczenia o wynikach egzaminu zewnętrznego. Pamiętajmy, że w okresie czasowego ograniczenia funkcjonowania jednostek systemu oświaty wniosek o przyjęcie do szkoły, w tym wymagane załączniki, mogą być przesyłane za pomocą środków komunikacji elektronicznej. Nie jest to więc jakieś szczególnie obciążające dla uczniów. Mogą wysłać dokumenty, nie ruszając się z domu. Dopiero w połowie sierpnia, gdy już będą znane wyniki rekrutacji, uczeń lub jego opiekunowie, mają przynieść oryginały dokumentów do wybranych szkół. Będzie na pewno stres, ale on zawsze towarzyszy rekrutacji. Być może dlatego, że ambicje rodziców bywają większe niż uczniów i często to rodzice wprowadzają nerwową atmosferę.

Ruszyły właśnie możliwości konsultacji maturzystów z nauczycielami. Jednak w jakim trybie mają się one odbywać, skoro maturzyści ukończyli już szkołę?

W takim samym jak w ubiegłych latach. Rok i dwa lata temu maturzyści też byli absolwentami. 20 lat uczyłem w liceum i pamiętam, że nauczyciele znajdowali czas dla swoich absolwentów, by spotkać się z nimi pomiędzy zakończeniem roku a egzaminem z danego przedmiotu. W tym roku można to zrobić na tych samych zasadach.

> W różnych województwach liczba otwartych placówek oświatowych jest różna. W Lubuskiem ponad 60 proc. szkół jest otwarte, a na Śląsku – około 1,5 proc. z powodu liczby zakażeń w tym regionie

Ale w poprzednich latach nauczyciele pracowali z uczniami do zakończenia roku, więc takie konsultacje były mniej potrzebne.

Maturzyści musieli sobie radzić ze zdalną edukacją przez prawie miesiąc. Nie jest tak, że byli pozbawieni opieki pedagogów przez dłuższy czas. Poza tym maturzyści także wcześniej mogli korzystać z konsultacji drogą elektroniczną.

Chodzi mi raczej o to, czy jest pomysł, żeby nauczycielom za takie dodatkowe konsultacje z absolwentami zapłacić?

Na takie wynagrodzenie środki musiałby znaleźć organ prowadzący, a dyrektor może motywować, np. wysokością dodatku.

W niektórych szkołach nauczyciele szykują się na zdalny wrzesień. Słusznie?

Wszystko zależy od sytuacji epidemicznej i rekomendacji ministra zdrowia. Dziś nie wiemy, co będzie się działo we wrześniu. Po dwóch miesiącach od wybuchu epidemii można powiedzieć, że działania rządu pozwoliły ograniczyć epidemię w Polsce, zwłaszcza w porównaniu z resztą Europy. Miejmy nadzieję, że we wrześniu wrócimy do tradycyjnego nauczania.

Jan Krzysztof Ardanowski, minister rolnictwa, zaproponował, by nauczyciele popracowali u rolników. „Wystąpiłem również z apelem do Polaków, którzy pozostają bez pracy, nie mają prawa do zasiłku, czy też młodzież lub nauczycieli, którzy nie będą pracowali, żeby przez te kilka–kilkanaście dni popracowali u rolników" – powiedział minister. Jak się panu podoba ten pomysł?

Muszę podkreślić, że nauczyciel pracujący zdalnie to wciąż nauczyciel, i to pracujący ciężko. Wiem, jak duży wysiłek nauczyciele wkładają w tę pracę. A jeśli ktoś ma ochotę w czasie wakacji popracować na wsi, to ma do tego prawo, ale nikt nie będzie zmuszał nauczycieli do pracy podczas urlopu, na który zasłużyli. Pamiętajmy, że zdalna edukacja dla wielu nauczycieli wiązała się z bardzo dużym stresem i koniecznością opanowania nowych narzędzi oraz dodatkowym czasem, który poświęcają, aby dobrze przygotować zajęcia.

eprasa.pl 0a823495aa



Król wnuczków z krótką wizytą w areszcie

Po raz kolejny za Arkadiuszem Ł., ps. Hoss, zamknęły się drzwi aresztu śledczego. Sąd apelacyjny oddalił umorzenie jego sprawy przez sąd niższej instancji. Ale to tylko kolejny zwrot akcji w ciągnącym się od lat sądowym serialu o szefie tzw. mafii wnuczków

eprasa.pl 0a823495aa



Fot. East News/PAWEŁ JASKÓŁKA/SUPER EXPRESS



MAJA NARBUTT

Kiedy w blasku fleszy i przy włączonych kamerach telewizyjnych Arkadiusz Ł. pojawił się w ub. tygodniu przy bramie poznańskiego aresztu przy ul. Młyńskiej, czekała go niespodzianka. Areszt go nie przyjął. Nie dotarła tam bowiem oficjalna decyzja sądu.

– Pokazywałem naczelnikowi aresztu papiery, ale upierał się, że przeszkadzamy i tarasujemy wyjście dla pracowników. W końcu zjawiła się policja, która na monitoringu zobaczyła tłum ludzi – opowiada mi rozbawiony mec. Paweł Sołtysiak, obrońca Hossa.

Nie kryje, że to on zawiadomił media – jego oczywistą intencją było zademonstrowanie, jak Arkadiusz Ł., przyzwoity obywatel, podporządkowuje się decyzji sądu.

W końcu Arkadiusz Ł. trafił do aresztu. Jednak, jak uważa jego adwokat, nie na długo.

– Wyciągnąłem klienta z aresztu dwa razy, wyciągnę i trzeci. A teraz prawdziwa petarda: wystarczy, że sędzia, która umorzyła sprawę, dopisze parę akapitów i znów ją będzie można umorzyć. Przecież sąd apelacyjny, uchylając jej postanowienie o umorzeniu postępowania, uznał, że jest za krótkie. Uważam więc, że już na pierwszej rozprawie sędzia znów umorzy sprawę. Nie ma innego wyjścia. Nie powie przecież, że przemyślała sprawę i doszła do zupełnie innych wniosków – mówi mi mec. Paweł Sołtysiak.

Z punktu widzenia obrony sprawa wygląda dość prosto: to tylko kolejne zawirowanie, „sądowy cyrk". Zainteresowanie mediów ekscytujących się, że kilka dni wcześniej po raz kolejny wypuszczono za kaucją szefa gangu okradającego seniorów z Europy Zachodniej, sprawiło, że sąd apelacyjny postanowił go znów aresztować na trzy miesiące oraz umył ręce i zepchnął odpowiedzialność na sąd niższej instancji.

Finał sprawy i tak wydaje się oczywisty. Po prostu rozegra się później, gdy emocje opadną. W końcu wszyscy trochę zobojętnieją i przyzwyczają się do myśli, że Hoss wychodzi na wolność.

TRIUMF NIESPRAWIEDLIWOŚCI

– Historia Arkadiusza Ł. nie ma nic wspólnego z triumfem sprawiedliwości. Sprawiedliwość, także w tym potocznym sensie, wymaga, żeby przestępca został odpowiednio ukarany, pokrzywdzeni uzyskali zadośćuczynienie, a wszyscy inni dostali jasny przekaz: przestępstwo nie popłaca – uważa prok. Mirosława Chyr, rzecznik Prokuratury Okręgowej w Warszawie.

Ostrożnie waży słowa. Jednak osoby, które obserwują dochodzenie od początku, są mniej ostrożne: słyszę nawet, że prokuratura może mówić o szczęściu, że sprawa Arkadiusza Ł. w ogóle weszła na wokandę. Bo wcale nie wydawało się to oczywiste, a akt oskarżenia był przez sąd wielokrotnie zwracany.

Sprawa Arkadiusza Ł. jest skomplikowana. To zdanie słyszę wielokrotnie, zbierając materiały do tekstu. I wypada się z tym zgodzić. Jej skomplikowany charakter nie wynika ze sposobu, w jaki Arkadiusz Ł. dokonywał swych przestępstw, ale z wyjątkowego galimatiasu sądowego. Ściśle rzecz biorąc, są dwie sprawy, w których jest oskarżony. W jednej został we wrześniu ub.r. skazany na siedem lat więzienia, nieprawomocnym jeszcze wyrokiem sądu. Drugą ten sam sąd umorzył, a sąd apelacyjny teraz to umorzenie uchylił.

Warto zauważyć, że sąd nie mógł się też zdecydować, czy Arkadiusz Ł. powinien przebywać w areszcie, czy jednak nie.

Kiedy pytam rzeczniczkę sądu, dlaczego w ogóle sąd wypuścił Arkadiusza Ł. za kaucją, skoro w przeszłości już się zdarzało, że wpłacał pieniądze, a później się ukrywał, słyszę, że zadaję ostre i niewłaściwe pytania.

A potem dostaję długie pisemne wyjaśnienia. Sędzia Elżbieta Fijałkowska wyjaśnia, że sąd „badał postępowanie oskarżonego w toku jednego postępowania", nie łączył jej ze sprawą wcześniejszą. Nic nie wskazywało – dowodzi sędzia – że w sprawie zakończonej wyrokiem oskarżony mógł w jakikolwiek sposób się ukrywać.

Trudno się nie pogubić. Kiedy w 2017 r. specjalna grupa pościgowa policji, tzw. łowcy głów z wielkopolskiego Zespołu Poszukiwań Celowych, dopadła Hossa w wynajmowanym mieszkaniu w Warszawie, uznano to – słusznie – za sukces.

Wszystkie media relacjonowały, że znaleziono poszukiwanego przestępcę, który w końcu stanie przez obliczem sprawiedliwości. Teraz się okazuje, że sąd uważa, iż Arkadiusz Ł. się nie ukrywał ani nie utrudniał.

A poza tym najwyraźniej, zdaniem sądu, Arkadiusz Ł. z jednego postępowania nie ma nic wspólnego z tym Arkadiuszem Ł. z drugiego. Po prostu doktor

eprasa.pl 0a823495aa

Jekyll i pan Hyde – jeden co prawda miał skłonność do mataczenia i nie stawiał się na dozór policji, ale już drugi był w tej kwestii poza wszelkim podejrzeniem.

ROZRZUTNI MILIONERZY

– Co możemy zrobić, jeśli okazuje się, że lamborghini zarejestrowane jest na obywatela Kanady, podobnie ferrari? Przestępcy nie są głupkami, mają wszystko nieźle przemyślane, ma też kto im doradzić. Nie muszą już zakopywać złota w ogródku, mogą zainwestować w portfel bitcoinów, dostępny na znane tylko im hasło – mówi mi inspektor Andrzej Borowiak, rzecznik wielkopolskiej policji.

Policjanci czasem „sprzątają po sądach", czyli odnajdują przestępcę, który się ukrywa, bo sąd optymistycznie uznał, że aby go zdyscyplinować, wystarczy zasądzić kaucję. I tak właśnie było trzy lata temu w wypadku Hossa.

Nie mogą jednak sprawdzić jego faktycznego stanu majątkowego, a w przypadku spraw związanych z oszustwami finansowymi ma to zasadnicze znaczenie.

– Tylko prawdziwe uderzenie po kieszeni zaboli każdego przestępcę, więzienie często traktują dość obojętnie – uważa inspektor Borowiak.

Od byłego rzecznika policji Mariusza Sokołowskiego usłyszałam kiedyś, że każdy policjant zajmujący się przestępstwami metodą „na wnuczka" ma żal do instytucji skarbowych, że nie interesują się przepływami finansowymi osób w te przestępstwa uwikłanych. – To tak, jakby uznano, że należy patrzeć na to przez palce czy nawet w ogóle się tym nie interesować, inaczej niż w wypadku wszystkich obywateli RP – mówił.

Jak to możliwe, że 50-letni Arkadiusz Ł., ps. Hoss, bezrobotny absolwent dwóch klas podstawówki, mógł przez lata prowadzić ekstrawagancko rozrzutny tryb życia? Podobnie zresztą jak inni członkowie jego rozgałęzionej rodziny, hołdujący swemu upodobaniu do sportowych samochodów, grający o wielkie sumy w kasynach i wydający huczne przyjęcia.

Nie tylko się z tym nie kryli, ale wszystko robili z dużą ostentacją. Mieszkania urządzali w pełnej przepychu estetyce kiczu, tylko rzeczy najdroższe były dla nich wystarczająco dobre. Kiedy policjanci zatrzymali ukrywającego się Hossa, zdziwił ich nie tylko skrzący się od złota i kryształów wystrój mieszkania, ale także bardzo nietypowy element – rozłożone wszędzie grube pliki banknotów jako podręczna rezerwa gotówki.

Lolli, syn Hossa, wrzucił kiedyś do internetu rachunek za przyjęcie na sumę przewyższającą oszczędności życia przeciętnego niemieckiego czy austriackiego emeryta, czyli typowej ofiary gangu Arkadiusza Ł. Przeciętnie udawało im się wyłudzić ok. 40 tys. euro, tak przynajmniej twierdzą niemieccy policjanci, a były też sumy wielokrotnie wyższe.

> Kiedy pytam rzeczniczkę sądu, dlaczego w ogóle sąd wypuścił Arkadiusza Ł. za kaucją, skoro w przeszłości już się zdarzało, że wpłacał pieniądze, a później się ukrywał, słyszę, że zadaję ostre i niewłaściwe pytania

Lolli Ł., zanim trafił do niemieckiego więzienia z wyrokiem 12,5 roku, bo za granicą traktuje się tego przestępstwa surowiej niż w polskich sądach, lubił się chwalić stylem życia w mediach społecznościowych.

– Nie chodzi tylko o to, by mieć pieniądze, ale by wręcz je trwonić. Wśród Romów milionerem nazywa się kogoś, kto wydaje wielkie pieniądze. To buduje jego pozycję w społeczności, budzi szacunek – tłumaczył mi, zastrzegając anonimowość, zajmujący się kulturą romską cyganolog.

W społeczności tej nikt też nie myśli źle o kimś, kto żyje z przestępstw – cygański niepisany kodeks, zawierający prawa zwyczajowe, czyli Romanipen, w ogóle nie zajmuje się stosunkiem Romów do tzw. gadziów, czyli obcych. Przestępstwo nie jest niczym złym, o ile oczywiście nie dotyczy członków własnej wspólnoty.

Kiedy rozmawiam z obrońcą Arkadiusza Ł., odnoszę wrażenie, że nie jest zachwycony ostentacyjnie luksusowym stylem życia klienta. Na pewno utrudnia mu to przedstawienie go jako spokojnego i praworządnego, właściwie niewinnie pomówionego przez prokuraturę obywatela, którego jedynym błędem było to, że kiedyś, podczas przesłuchania przyznał się do przestępstwa, z czego się później zresztą wycofał.

Kiedy aresztowano Arkadiusza Ł., pierwszy raz w 2014 r., szybko udało mu się zorganizować pieniądze na kaucję w wysokości pół miliona. Przyniesiono je w reklamówce, tłumacząc, że pochodzą ze spadku po bogatym krewnym z zagranicy. Teraz też kaucja wynosiła pół miliona, ale dostarczono ją już w sposób bardziej cywilizowany, czyli przelewem.

– Jeśli nie sprawdza się dokładnie źródła pieniędzy, to w sprawach przestępczości zorganizowanej, oszustw, handlu narkotykami, wpłata wielkich nieudokumentowanych kwot jako kaucji może być wręcz sposobem ich legalizacji, tzw. przeprania. A poza tym warto się zainteresować, kto wpłaca kaucję. Świadczyć to może o specyficznych powiązaniach, czasem związkach przestępczych, a czasem „przysługach" w stylu pokazanym w filmie „Ojciec Chrzestny" – tłumaczy mi jeden ze śledczych.

Pytanie o to, czy sprawdzono pochodzenie pieniędzy na najnowszą kaucję dla Arkadiusza Ł. zadałam rzeczniczce sądu apelacyjnego, sędzi Elżbiecie Fijałkowskiej. Dowiedziałam się, że zostały wpłacone przez osobę z dalszej rodziny, a obrońca przedstawił dokumenty notarialne poświadczające, że pieniądze pochodzą ze spadku.

Z moich informacji wynika, że pieniądze wpłaciła córka tzw. cygańskiego króla Piki Łakatosza. – Żył osiemdziesiąt kilka lat, nic dziwnego, że zdążył się dorobić – twierdzi mec. Paweł Sołtysiak, nie precyzując jednak, na czym polegała lukratywna działalność Piki Łakatosza.

Bez wątpienia miał on jednak więcej szczęścia, a końcówka jego życia była znacznie lepsza niż w wypadku 80-latków, którzy padali ofiarą gangu działającego metodą „na wnuczka".

Reklama | 61/0420/F

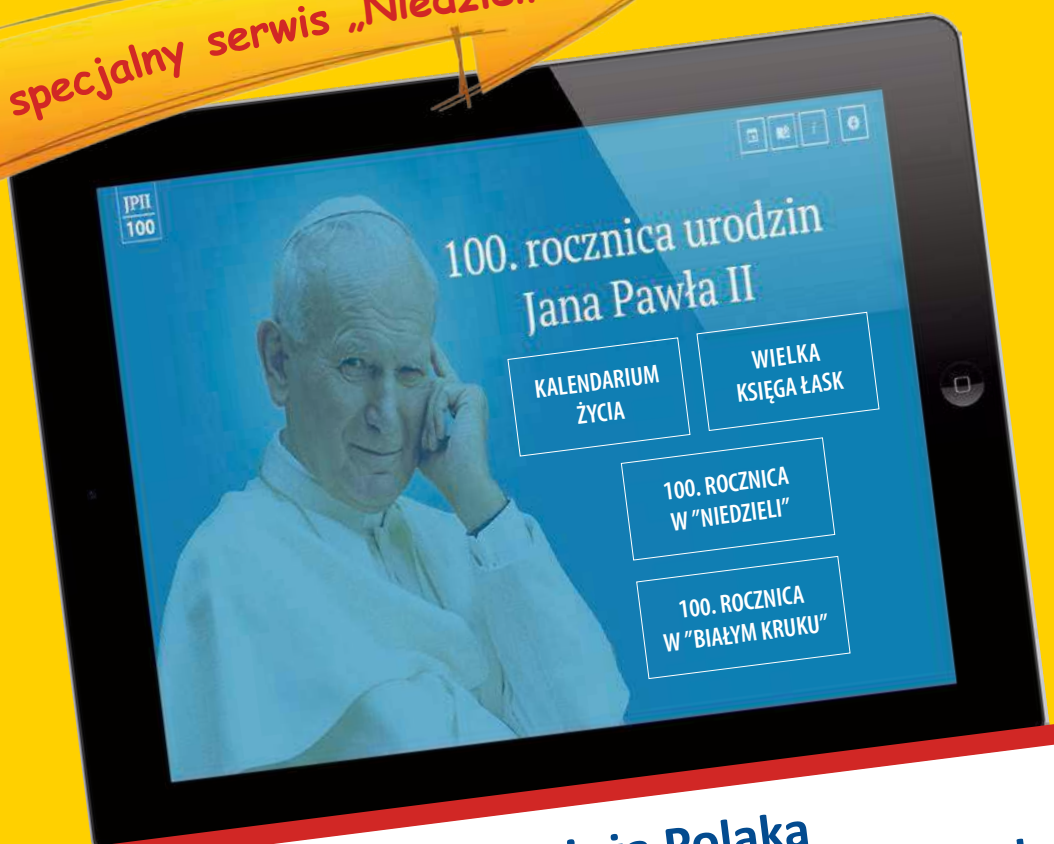
eprasa.pl 0a823495aa

niedziela
TYGODNIK KATOLICKI OD 1926

www.100jp2.niedziela.pl

specjalny serwis „Niedzieli"

Podziękuj Bogu albo poproś Go o łaskę za wstawiennictwem św. Jana Pawła II.



· 100 wydarzeń z życia papieża Polaka
· Wielka Księga Łask za przyczyną św. Jana Pawła II

ZŁÓŻ SWÓJ WPIS W WIELKIEJ KSIĘDZE ŁASK

Księgę tę złożymy podczas uroczystej Mszy św. na Jasnej Górze 3 października 2020 r. w Kaplicy Cudownego Obrazu, na kilka dni przed 42. rocznicą wyboru papieża Polaka na Stolicę Piotrową. Pozostanie ona w sanktuarium jako wotum Polaków.

eprasa.pl 0a823495aa

WSTYD OSZUKANYCH

Stary człowiek, który traci oszczędności przeznaczone na to, by końcówkę życia spędzić spokojnie, ma głęboką traumę. Niektórzy wstydzą się tak bardzo, że nawet nie chcą się przyznać do straty przed najbliższą rodziną. Ich świat runął – zostali bezpowrotnie ograbieni nie tylko z pieniędzy, ale i z poczucia bezpieczeństwa.

Smutną prawidłowością jest to, że starsi ludzie tracą coraz większe sumy. Najpierw przestępcy podszywali się pod członków rodziny: wnuków, siostrzeńców, więc seniorzy przekazywali pieniądze, które miały być pożyczką na ich pilne potrzeby. Kiedy przestępcy zaczęli się podszywać pod policjantów przeprowadzających operacje specjalne, starzy ludzie zaczęli im oddawać wszystkie swoje oszczędności, wierząc, że tylko tak mogą uchronić je przed kradzieżą,

Podobno Arkadiusz Ł. wymyślił swoją metodę przypadkiem. Zadzwonił do kogoś, kogo chciał oszukać. Ofiara nieoczekiwanie ułatwiła mu zadanie, uznając, że rozmawia ze swoim krewnym.

To było dwie dekady temu, tak zaczęła swą działalność „mafia wnuczków". Najpierw Arkadiusz Ł. działał na terenie Polski, potem – korzystając z doskonałej znajomości języka niemieckiego, przerzucił się na bogatszych od Polaków seniorów z Niemiec, Austrii i Szwajcarii.

Organizacja stała się rozbudowaną, międzynarodową i hierachiczną strukturą. Na jej czele stał Arkadiusz Ł. ze swoją rodziną, niżej zaufane osoby, także Romowie, tzw. telefoniści, którzy dzwonili do starszych ludzi. Byli też kurierzy przewożący pieniądze.

Wreszcie na samym dole gangu znajdowali się ludzie odbierający pieniądze od ofiar, tzw. odbieraki. Oni zarabiali najmniej i ryzykowali najwięcej – rekrutowano ich nie tylko spośród Romów.

Kiedy niemiecka policja zaczęła deptać Arkadiuszowi Ł. po piętach, wrócił do Polski. Nie było przeszkód, by „telefoniści" dzwonili za granicę z naszego kraju. Jak opowiadają policjanci, każdy z nich wykonywał nawet kilkadziesiąt telefonów dziennie. Czasami się udawało, czasami nie.

– Rozmowa była jak zarzucanie wędki. Zwykle zaczynało się to tak: „Zgadnij, kto dzwoni". Albo: „Babciu, to ja". Jeśli rozmówca upierał się, że nie zna tego, kto dzwoni i to na pewno pomyłka, połączenie zostawało przerwane. Tak samo jak wtedy, gdy starszy człowiek mówił, że nie ma pieniędzy – relacjonował mi policjant z pionu kryminalnego.

Często jednak starsi ludzie wpadają w pułapkę. W sumie to proste – siedzą samotnie w domu, dokucza im samotność. Nieoczekiwanie ktoś chce z nimi rozmawiać, pyta, co u nich słychać, jak się czują.

Wszystko jest przemyślane w najdrobniejszych szczegółach – jeśli starszy człowiek dziwi się, że głos krewnego brzmi obco, słyszy od rozmówcy, że to dlatego, że jest zaziębiony.

„Telefoniści" dzwonią na telefon stacjonarny zazwyczaj w godzinach przedpołudniowych. To zwiększa szanse, że innych domowników nie będzie w domu. Proszą o dyskrecję – nie chcą, by reszta rodziny dowiedziała się o ich kłopotach. Bo właśnie mają kłopoty.

Nieoczekiwanie zabrakło im pieniędzy – nie mogą więc sfinalizować wyjątkowo korzystnego zakupu mieszkania albo też inna okazja ucieknie im sprzed nosa.

Czasem sprawa jest poważniejsza – wnuczek miał wypadek samochodowy i tylko pieniądze mogą załatwić sprawę, umożliwić zawarcie ugody.

Struchlała babcia lub dziadek, w poczuciu odpowiedzialności za los krewnego, przekazują pieniądze osobie, która zgłasza się w imieniu wnuczka. Sam wnuczek ma się zjawić za kilka dni, z kwiatami, i oddać dług.

– Przestępcy żerują na ich altruizmie, wykorzystują rodzinne uczucia. W panice starsze osoby przestają myśleć logicznie, tłumią wątpliwości – mówił mi policjant.

Metoda „na wnuczka" już dawno ewoluowała i zmieniła się w metodę „na policjanta". Często jest rozgrywana w dwóch etapach – najpierw dzwoni rzekomy wnuczek i szybko kończy rozmowę. Po chwili jest następny telefon – rozmówca przedstawia się jako policjant, podaje nazwisko i stopień. Tłumaczy, że starsza osoba znalazła się na celowniku przestępców, proponuje udział w policyjnej prowokacji. Niezbędnym elementem prowokacji jest przekazanie policjantowi pieniędzy.

Rzekomy policjant proponuje, że się uwiarygodni – każe zadzwonić na numer alarmowy policji. Prosty trik techniczny sprawia, że oszukiwana osoba łączy się z wspólnikiem przestępcy, który oczywiście potwierdza tożsamość rzekomego policjanta.

Każdy, kto zajmował się wyłudzeniami „na wnuczka" i „na policjanta", wie, jak bezwzględni i okrutni są przestępcy. Dlatego policjanci nie lubią artykułów o „cygańskich baronach", w których szefowie gangu „wnuczków" przedstawiani są jak celebryci.

IRYTACJA MINISTRA

Gdyby nagle do organów ścigania zgłosiło się znacznie więcej oszukanych przez Arkadiusza Ł. starych ludzi, nic by się dla niego nie zmieniło.

Sąd przyjął bowiem koncepcję tzw. czynu ciągłego. Czyli, mówiąc językiem potocznym, uznał, że jeśli oskarżony popełnił w krótkim czasie różne czyny tego samego rodzaju, to należy je traktować jako jeden. A okres, za jaki osądzono Hossa, obejmuje lata 2012–2014. Udowodniono mu zresztą niewiele, w porównaniu ze skalą jego działalności, czyli oszustwa na sumę 1,6 mln zł.

– Minister Ziobro może się irytować, że to niewłaściwe i powinno się Arkadiusza Ł. potraktować inaczej, ale po to istnieje art. 12 Kodeksu karnego, by sąd mógł się na nim oprzeć – mówi z satysfakcją mec. Paweł Sołtysiak.

Ma jeszcze więcej powodów do zadowolenia. Jak podkreśla, na korzyść jego klienta działa „powagą rzeczy zawisłych", czyli jeśli w jego procesie zapadł już nieprawomocny wyrok siedmiu lat więzienia za oszustwa metodą „na wnuczka", to chociaż prokuratura wystosowała nowy akt oskarżenia, sąd może go oddalić. Gdy wyrok się uprawomocni, chronić Arkadiusza Ł. będzie „powaga rzeczy osądzonych".

Słowem, dostanie siedem lat i ani dnia więcej. A jak uważa jego obrońca – nawet mniej, bo przecież od wyroku się już odwołał.

Kiedy pytam, czy Arkadiusz Ł. zadośćuczynił krzywdy wyrządzone ofiarom, do czego zobowiązał go sąd, dowiaduję się, że nie.

eprasa.pl 0a823495aa



Ewa Telega i Zofia Domalik. Matka i córka. Ich prywatne relacje są skrajnie różne od tych doświadczanych przez filmową Olę. Ale i w życiu, i na ekranie nagrodzona za kinową rolę córka gotowa jest wyznać: „Wszystko dla mojej matki”

Biegnij Ola, biegnij

Fot. Marcin Brunlecki /REPORTER/East News

eprasa.pl 0a823495aa



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Głośny podwójny debiut – uznanej dokumentalistki Małgorzaty Imielskiej w roli reżysera pełnometrażowej fabuły oraz Zofii Domalik, ubiegłorocznej absolwentki warszawskiej Akademii Teatralnej, jako głównej aktorki – od jakiegoś czasu można oglądać na platformie VOD. „Wszystko dla mojej matki" to poruszający i niełatwy w odbiorze film, ale też wyjątkowo wybrzmiewający komentarz do dwóch radosnych dni schyłku maja i początku czerwca.

RODZINNY AZYL

Zofia Domalik jest córką aktorki Ewy Telegi i reżysera Andrzeja Domalika. Mocne wejście do pierwszego kinowego planu (nagroda za najlepszy debiut na ubiegłorocznym festiwalu w Gdyni), umożliwiła jej rola dziewczyny, którą życie ustawiło na pozycji skrajnie różnej od tej zajmowanej przez młodą aktorkę.

Przyjmując pierwsze tak duże zawodowe wyzwanie, Domalik wyszła poza bezpieczną strefę i zagrała znakomicie, poruszająco. Zdobyte na planie doświadczenia wykorzystała przy kolejnym zadaniu – serialu „Zawsze warto" (wszystkie sezony można teraz oglądać na Ipla.pl), gdzie znów wcieliła się w dziewczynę z zupełnie innej, niż jej prywatna, sfery.

Los często okrutnie doświadczał jej bohaterki, ale ona sama mogła liczyć na azyl, którego tak brakowało jej postaciom. Po najtrudniejszych scenach wracała do bezpiecznego domu, gdzie czekali na nią kochający i oddani rodzice. Z perspektywy czasu widzi, że tylko otoczona miłością, z poczuciem bezpieczeństwa, tak mocno i prawdziwie mogła wejść w wykreowany na ekranie brutalny świat.

DLA MAMY I DLA SIEBIE

Bohaterka „Wszystko o mojej matce" 17-letnia Ola żyje wspomnieniem szczęśliwego dzieciństwa. Zaprzeczając faktom – w końcu od wielu lat jest wychowanką kolejnych placówek opiekuńczych – wciąż podgrzewa w sobie nadzieję, że zarejestrowana na ręcznej kamerce scenka, w której kochająca mama dopinguje małą córeczkę do biegu, jest aktualnym przesłaniem. Z determinacją buduje w sobie przeświadczenie, że jeśli wciąż będzie biegła, jeśli w tym biegu będzie coraz lepsza, jeśli pokona słabości, osiągnie sukces... matka będzie z niej dumna. Odnajdzie ją.

Film Małgorzaty Imielskiej to wielowarstwowy obraz rzeczywistości, w jakiej dorastają mieszkanki domu poprawczego, do którego po kolejnych ucieczkach z rodzin adopcyjnych trafia Ola. W regule ośrodka – wydawałoby się – nie ma miejsca na wyidealizowaną miłość dziecka do matki. I filmowa Ola po serii traumatycznych doświadczeń zostaje zmuszona do zweryfikowania swoich oczekiwań. Poszukania źródła siły, woli przetrwania gdzie indziej. Paradoksalnie jednak, w obrazie Małgorzaty Imielskiej ukrywa się też pozytywna, budująca więź matki i córki.

Zofia Domalik mogła zagrać tak różną od siebie, poranioną przez ludzi postać dzięki osobie, której obecności tak pragnęła Ola. Aktorka mówi, że trudno było jej się odnieść do sytuacji bohaterki, gdyż zawsze się z mamą przyjaźniła. – Mam z mamą świetny kontakt, więc naturalne wydaje mi się, że zrobiłabym dla niej wszystko – podkreśla.

Pytana, jak to jest być córką aktorki i reżysera, odpowiada, że super. Może liczyć nie tylko na bezwarunkowe wsparcie najbliższych, lecz także na merytoryczną ocenę. W razie czego, ma się do kogo zwrócić o profesjonalną radę. I rodzice zawsze są z nią szczerzy, jeśli jest coś do poprawki, mówią po prostu o tym.

WYJŚCIE DO LUDZI

Gdy była dzieckiem, rodzice pracowali w warszawskim Teatrze Dramatycznym. I choć Ewa Telega nie pamięta, by często zabierała tam swoją córkę, Zofia Domalik mówi o wrażeniu, jakby w teatrze była cały czas. Z kolei w rodzinnym domu otaczały ją plakaty ze spektakli, szkice kostiumów teatralnych, zdjęcia z planów zdjęciowych, nagrody rodziców... Trudno czymś takim nie przesiąknąć, nie poczuć fascynacji do teatru, kina, do aktorstwa.

Jako nastolatka grała w serialach – najpierw w „Plebanii", potem w „Czasie honoru", trafiła też na plan „Miasta 44", a jednocześnie walczyła z nieśmiałością i niską samooceną. W podstawówce zdarzały się telefony od nauczycielek informujących rodziców, że chociaż Zosia zna odpowiedź, nie potrafi podać jej przy tablicy.

Kiedy postanowiła zdawać do akademii teatralnej, bliscy się obawiali, jak sobie da radę. Wspierali ją, ale też przestrzegali przed zawodem, w którym nieustannie jest się ocenianym. Na szczęście studia wyleczyły Zofię Domalik z chorobliwej nieśmiałości, nie pozbawiając „świetlistości, delikatności i szczerości", na które to cechy zwróciła uwagę Małgorzata Imielska.

Po roli w filmie „Wszystko dla mojej matki" Zofia Domalik usłyszała od najbliższych, że są z niej dumni. Ale wspomina też dużo wcześniejszą wypowiedź Ewy Telegi: – Kiedy dostałam się do szkoły, mama powiedziała, że chciała, żebym zrobiła większą karierę, osiągnęła więcej niż ona. To najpiękniejsza rzecz, jaką można usłyszeć od matki.



Fot. R. PALKA

eprasa.pl 0a823495aa

Pieśni niespokojnego czasu

Legendy rocka nie poddają się. 79-letni Bob Dylan z powodu pandemii musiał odwołać trasy w Japonii i USA, ale w czerwcu wydaje dwupłytowy album „Rough and Rowdy Ways" z nowym repertuarem. Trzy utwory, udostępnione już promocyjnie w sieci, wskazują, że może być to wydarzenie fonograficzne



ADAM CIESIELSKI

Na swojej stronie laureat Nobla, Oscara, Grammy, Pulitzera dziękuje fanom za lata lojalności i wsparcia. „Bądźcie bezpieczni, ostrożni i niech Bóg będzie z Wami" – napisał Dylan 27 marca 2020 r., rekomendując internautom swoją nową piosenkę „Murder Most Foul". Sam utwór jednak do pocieszających nie należy. To rzecz o meandrach demokracji, z motywem przewodnim przybliżającym detale nierozliczonego faktycznie do dziś mordu na 35. prezydencie USA, Johnie F. Kennedym w Dallas w listopadzie 1963 r. Autor przywołuje fakty, zjawiska i postaci, które zaistniały po tej zbrodni. Wspomina festiwale w Woodstock i Altamont, Beatlesów, kilkudziesięciu innych legendarnych muzyków, ludzi kina i sceny. Wraca jednak wciąż, także w finale, do memento z Dallas. Swoją opowieść snuje niespiesznie, charakterystyczną, z pozoru beznamiętną, melorecytacją. Litanijny utwór trwa prawie 17 minut, ale widać jakoś nikogo nie znużył, bo trafił na sam szczyt listy przebojów prestiżowego magazynu „Billboard". To musiało korzystnie zaskoczyć samego Dylana, którego nawet największe hity w przeszłości nigdy nie trafiły tak wysoko.

Melorecytacyjny, wsparty dyskretną oprawą instrumentalną charakter ma też drugi, udostępniony w sieci 17 kwietnia 2020 r., świeży utwór „I Contain Multitudes". To ledwie czterominutowa, ale błyskotliwa, niepozbawiona autoironii, prezentacja własnych tropów i inspiracji, wśród których są: m.in. Edgar Allan Poe, William Blake, Anne Frank, Rolling Stones, ale też Ludwig van Beethoven i Fryderyk Chopin.

Soczyste, zdecydowanie rockowe brzmienie ma natomiast trzeci (opublikowany w internecie 8 maja) singiel „False Prophet", ilustrowany intrygującym plakatem: szkielet w cylindrze i wytwornym stroju, z chryzantemą w klapie, w kościstej dłoni trzyma olbrzymią strzykawkę wypełnioną kolorowym płynem... Trucizna czy odtrutka? Tekstowo to jeszcze jeden popis poetyckiej biegłości Dylana, której docenienie w 2016 r. drogo kosztowało szwedzki komitet noblowski.

Trzy przesłuchane piosenki pozwalają z zaciekawieniem czekać na siedem następnych, składających się na najnowsze wydawnictwo Dylana.

Amerykański bard, kilkakrotnie oklaskiwany także w Polsce, jest na estradzie już blisko 60 lat. Twórca takich songów jak „Blowin' in the Wind", „Like a Rolling Stone", „The Times They are A-Changing", pokoleniowych hymnów epoki dzieci kwiatów, potrafi do dziś zadziwiać miliony i elity. Genialny kameleon oswoił fanów z nieprzewidywalnością swych wyborów. W XXI w. nie wszystkich porywają regularnie wydawane przezeń albumy z coverami amerykańskich przebojów sprzed lat, takie jak „Shadows in the Night" z 2015 r. czy „Fallen Angels" z 2017 r. Wszakże nieco wcześniej, bo w 2012 r., nagrał perłę – rewelacyjny, w pełni autorski album „Tempest", w którym do cna ograna – wydawałoby się – opowieść o tragedii „Titanica", przefiltrowana przez „Burzę" Szekspira i obserwację współczesnych zachowań społecznych ewokuje nowe pytania o kondycję ludzką, miłość, samotność, śmierć. Mam przeczucie, że oczekiwana w czerwcu płyta Boba Dylana „Rough and Rowdy Ways" (Wyboiste i niebezpieczne drogi) przyniesie emocje podobnej miary.



Bob Dylan
„Rough and Rowdy Ways"
Premiera podwójnego albumu 19 czerwca 2020 r.
Wyd. Columbia Rec./Sony Music

eprasa.pl 0a823495aa

Adamski



Z ziemi włoskiej do Polski



Ten film to jedno z największych zaskoczeń zeszłego roku w polskim kinie. Zaskoczenie bardzo pozytywne. Jeżeli przegapiliście „(Nie)znajomych" Tadeusza Śliwy (ależ debiut!) w kinie, to złapcie film na VOD albo DVD.

Nie wierzyłem, że to może się udać. Film „Dobrze się kłamie w miłym towarzystwie" Paolo Genovesego był hitem polskich kin nie tylko przez genialnie prosty scenariusz. To był obraz przepełniony włoskim humorem i goryczą tego rodzaju kina z Italii. Genovese znalazł uniwersalny klucz, który pozwolił trafić prościutką opowieścią do serc widowni z całej Europy, mimo że i jego film był już remakiem. A jednak Śliwa przeszczepił tę historię na polski grunt, podlewając na wskroś polską opowieść włoskim sosem (w kilku scenach w dosłownym rozumieniu tego słowa).

Siedmioro przyjaciół spotyka się na kolacji i zaczyna spontanicznie grać w dziwaczną grę. Każdy z nich ma głośno czytać esemesy przychodzące na jego smartfona oraz rozmawiać przy wszystkich w głośnomówiącym trybie. Urocza kolacja zamienia się w koszmar, gdy z każdego z osobna spada maska hipokryzji, obłudy i zakłamania. Pryska czas zgodnego związku i bezwarunkowej przyjaźni. Wychodzą wszystkie demony i najgorsze cechy charakteru.

Śliwa nie naśladuje prosto rozwiązań z włoskiego filmu, ale adaptuje historię, nie zapominając o polskim kontekście. „(Nie)znajomi" to opowieść o mieszczuchach ze średniej klasy, którzy nie są wcale wygodnie rozsadzeni w swoim świecie. Bez przerwy aspirują do świata „tych, co zarabiają w euro". Młody reżyser doskonale prowadzi aktorów i brawurowo rozgrywa przedstawienie w jednym mieszkaniu. Nie byłoby tego sukcesu bez bezbłędnej obsady. Obok Kasi Smutniak, która zagrała też we włoskiej wersji, na ekranie błyszczą: Tomasz Kot, Maja Ostaszewska, Łukasz Simlat, Michał Żurawski, Aleksandra Domańska i Wojciech Żołądkowicz. Nikt nie gra tutaj „pod siebie" ani nie szarżuje. Siódemka aktorów daje koncert na siedem instrumentów. Idealnie się dopasowujący i wybrzmiewający dzięki pewnej ręce dyrygenta-reżysera. Moją faworytką jest doskonale neurotyczna Smutniak oraz uroczo misiowaty Żołądkowicz, który po bardzo dobrej roli w „Układzie zamkniętym" może wreszcie odnajdzie należące mu się miejsce w polskim kinie.

„(Nie)znajomi" nie są satyrą na wielkomiejską „warszawkę" z nowoczesnej betonowej dżungli. To film o każdym z nas. Przywiązanym smyczą do telefonu dającego złudne poczucie bezpieczeństwa. Jest to film o naszej hipokryzji i strachu przed jej odkryciem. Dlatego tak mocno podziałała na nas jego włoska wersja.

„(NIE)ZNAJOMI" REŻ. TADEUSZ ŚLIWA, DYSTR. FILMOSTRADA

Fot. Jarosław Sosiński/MIMIKRA

Internet

Tajemnice Ibizy

Twórca hitowego hiszpańskiego „Domu z papieru" Álex Pina idzie za ciosem i daje nam swoją kolejną produkcję. „White Lines" opowiada o brytyjskiej dziewczynie Zoe (Laura Haddock), która udaje się na Ibizę, dowiedziawszy się, że po 20 latach od zaginięcia znaleziono zwłoki jej brata. Axel pojechał na rajską wyspę od lat będącą ulubionym miejscem imprez Europejczyków, by realizować marzenie o zostaniu didżejem. Zoe bała się z nim wyjechać, choć cała ich paczka porzuciła zatopiony w szarzyźnie lat 90. robotniczy Manchester. Teraz dziewczyna, chcąc się dowiedzieć, kto stoi za morderstwem brata, poznaje mroczną stronę wyspy, jednocześnie lustrując własną przeszłość. Lokalny bezwzględny biznes, wyspiarscy gangsterzy, rumuńska mafia i zdemolowane marzenia – o tym opowiada „White Lines". Solidny kryminał pewnie nie zapisze się w klasyce gatunku, choć ogląda się go po prostu przyjemnie. Przepiękne widoki i turkusowe morze wyjątkowo mocno eksploatowane (ciekawe, ile władze dołożyły za folderową reklamę wyspy?) na ekranie zachęca nas, by już teraz odkładać na wakacje. Niestety, dopiero latem 2021 r.



Fot. Des Willie

„WHITE LINES" DOSTĘPNY NA NETFLIXIE

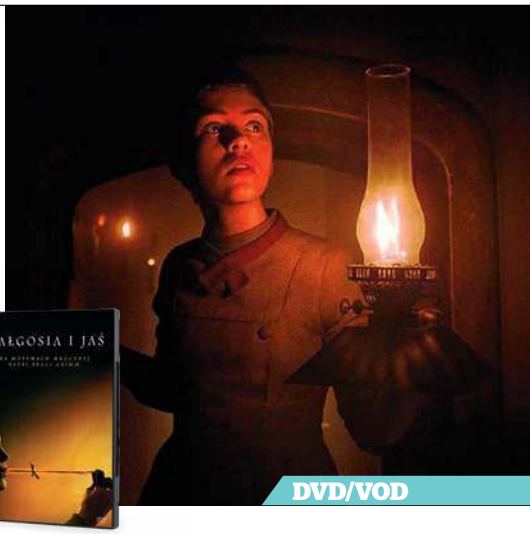
Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl 0a823495aa

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

Rewizjonistyczna wersja braci Grimm



DVD/VOD

Bracia Grimm fascynują filmowców od zawsze, choć ekranizacje ich opowieści są opakowywane w szaty kina familijnego i kastrowane z mroku. „Małgosia i Jaś" zupełnie się różni od disnejowskich wersji klasycznej baśni niemieckich braci, także od opartego na niej hollywoodzkiego „Hansel i Gretel: Łowcy czarownic".

Reżyser i scenarzysta „Małgosi i Jasia" Oz Perkins ma horror we krwi. Nie tylko jest synem Anthony'ego Perkinsa, który zagrał legendarną postać Normana Batesa w „Psychozie" Alfreda Hitchcocka, lecz sam grywał w horrorach. W „Psychozie 2" wcielił się w 12-letniego Normana i pojawił się m.in. w „Wilkołaku" Mike'a Nicholsa. Kariera aktorska mu nie poszła, ale po drugiej stronie kamery radzi sobie całkiem nieźle jako reżyser takich horrorów jak „Zło we mnie" czy netflixowy „I Am the Pretty Thing That Lives".

„Małgosia i Jaś" jest rewizjonistyczną wersją baśni Grimm. Nie ma tutaj ojca drwala, złej macochy, natomiast finał idzie w zupełnie innym kierunku. Zgodnie z trendami ideologicznymi na pierwszy plan wysuwa się walka kobiet. Jaś (Samuel Leakey) jest słabiutkim chłopcem, który staje się wyłącznie elementem bitwy między Małgosią (Sophia Lillis) a wiedźmą z lasu (Alice Krige). Wygłodniałe i wypędzone wcześniej z rodzinnego domu dzieci trafiają do tajemniczej chaty w lesie, w której zastają suto zastawiony stół. Nie jest to piernikowa chata. Nie ma w sobie nawet krzty uroku znanego z kreskówkowych ekranizacji. Rodzeństwo dosyć prędko zdaje sobie sprawę, że ma się stać pokarmem dla wiedźmy. To zdumiewające, że przez lata zapomnieliśmy o grozie baśni Grimmów (to w końcu opowieść o kanibalizmie!), której szkielet opowieści w tym miejscu się kończy. Zaczyna się za to opowieść o dojrzewaniu, walce z przeznaczeniem i pokusie zaprzedania się mrocznej stronie rzeczywistości. Problem w tym, że taki pomysł można zmieścić w godzinnym filmie. Tutaj mamy rozciągnięte wszystko do półtorej godziny i Perkins musi się ratować wizualną stroną opowieści.

Dlatego „Małgosia i Jaś" zawodzi scenariuszowo, ale może się podobać stylistycznie. Znana z „To" Lillis dobrze czuje się w gatunku, jakim jest kino grozy. Świetna jest też Alice Krige, nadająca czarownicy demoniczną naturę. Cofamy się do przeszłości „staruchy", widząc ją jako piękną młodą kobietę, wciągniętą przez złe moce. Ludzki wymiar wiedźmy w zestawieniu z disnejowsko-kreskówkowym szpiczastym kapeluszem jest ciekawym zabiegiem. Odważnym pomysłem jest też wątek zjedzonych przez rodzeństwo muchomorów. Zaraz po tym, jak wygłodniałe dzieci sięgają po truciznę, pojawia się w oddali rozmazana czarownica. Perkins puszcza oko do widza, sugerując, że koszmar w domu wiedźmy jest albo spowodowany halucynogennymi grzybami, albo pośmiertnym „czyśćcem", w którym zbłąkane dusze muszą wybrać, w którą stronę podążą (pojawia się biały rumak i czerń zjadająca ciało). Nie jest to wizja dla dzieci, ale dorośli mogą dzięki niej przypomnieć sobie o geniuszu braci Grimm, którzy są dziś w popkulturze zbyt landrynkowi.

„MAŁGOSIA I JAŚ", REŻ. OZ PERKINS, DYSTR. MONOLITH/CINEMAN.PL

Internet

Powrót kultowej serii

W 1985 r. „Niesamowite opowieści" z NBC były przełomem w telewizji. Steven Spielberg wyprodukował serial, w którego realizację zaprzągł takie nazwiska jak Scorsese, Eastwood czy Zemeckis. Było to w czasach przednetflixowych, gdy telewizja stanowiła rozrywkę drugiego sortu. Nic dziwnego, że postanowiono dziś reaktywować kultową serię. Pięć odcinków nowych „Niesamowitych opowieści" nie ma siły oryginału ani takich nazwisk na stołku reżyserskim. W czasach po „Black Mirror" trudno jednak osiągnąć taki poziom oryginalności. Jest natomiast ten sezon równiejszy niż oryginał, gdzie zdarzały się opowieści i absolutnie genialne, i słabiutkie. Teraz jest równo. Bez fajerwerków, ale za to z uroczym familijnym klimatem wpisującym się w spielbergowski świat znany z „E.T" czy „Poltergeista". Ostatnią rolę w życiu gra Robert Forster w notabene najlepszym odcinku serii, igrającym z modą na komiksowe superprodukcje. Sentymentalny powrót do telewizji, jakiej już nie ma, ale opakowany w nowoczesne szaty.

„NIESAMOWITE OPOWIEŚCI" DOSTĘPNE NA APPLE TV

eprasa.pl 0a823495aa

NA NIEMIECKIM POSTERUNKU*,

czyli uwagi na marginesie nowej książki Jana Grabowskiego

Ocena tak zwanej granatowej policji z czasów II wojny światowej w Generalnym Gubernatorstwie budzi kontrowersje. Formację powołali Niemcy jesienią 1939 r. pod nazwą „polnische polizei", ale nie miała ona wiele wspólnego z Polską. To oczywiste, że była narzędziem polityki okupanta





PIOTR GONTARCZYK

Do służby Niemcy wezwali przedwojennych funkcjonariuszy. Odmowa stawiennictwa groziła śmiercią. Z tysięcy przedwojennych policjantów początkowo większość zachowywała się przyzwoicie, wielu aresztowano i zamordowano za brak obrony przed partyzantką lub współpracę z podziemiem. „Ubyłych" zastępowali niemieccy rekruci. Kiedy w 1942 r. Niemcy zaczęli wyniszczanie Żydów, sytuacja policjantów stała się trudna: niepytani o zdanie musieli brać udział w koncentracjach i deportacjach lokalnych społeczności żydowskich.

Ale jest i druga strona medalu. Wielu policjantów zachowywało się gorliwie w niemieckich działaniach, wśród nich byli szantażyści i łupieżcy mordujący złapanych Żydów. Dokumenty polskiej konspiracji przerysowują problem, ale już wtedy było jasne, że Polska będzie musiała po wojnie rozliczyć policyjne patologie.

Dla pełnego obrazu trzeba wspomnieć o tym, że wielu policjantów przymykało oczy w sytuacjach, kiedy mieli obowiązek chwytać żydowskich uciekinierów. W tych historiach jest wiele scen dramatycznych, kiedy ci sami policjanci, którzy w dzień musieli uczestniczyć w deportacjach, po służbie (przechowując lub wyrabiając im lewe dokumenty) ratowali Żydów.

Nie ma co się trzymać typowego wykwitu megalomanii, wedle którego Polacy tylko ratowali Żydów. Szczególnie granatowa policja chwały tu nie przyniesie. Trzeba opisać kolaborantów, złodziei i morderców. Bo tylko prawda jest ciekawa. Ale należy oddzielić relacje prawdziwe i wiarygodne od skutków traumy żydowskich świadków, wyeliminować z oglądu historii złośliwe donosy elementu komunistycznego i kryminalnego, który do 1945 r. starali się trzymać w ryzach ci sami policjanci. Wszystko musi mieć prawdziwy kształt i rzeczywiste proporcje.

Jak z tym wszystkim poradził sobie Jan Grabowski, autor nowej pracy o granatowej policji zatytułowanej „Na posterunku"?

POLACY – MORDERCY NIEUDACZNICY

Taki przykład. Na s. 113 książki czytamy: „Polscy policjanci strzelali chaotycznie i niedokładnie, tak że żandarmi niejednokrotnie musieli wkraczać i dobijać poranionych Żydów". Taki opis działa na emocje i wyobraźnię. Po sprawdzeniu akt wskazanych w przypisie (IPN GK 209/57) okazało się, że chodzi o sprawę policjanta Wincentego Kołodziejskiego, którego niejaki Bolesław Abczyński pomówił o to, że w obławie w fabryce w Baczkach pod Łochowem postrzelił żydowskiego uciekiniera Szołka Goldsteina, którego potem dobił niemiecki żandarm. Sam Kołodziejski stanowczo zaprzeczył. Murem stanęła za nim miejscowa ludność, twierdząc, że Kołodziejski to porządny człowiek, a oskarżenia o strzelanie do Żyda są fałszywe. Pomawiający Kołodziejskiego Abczyński okazał się byłym funkcjonariuszem UB wyrzuconym za malwersacje i wymuszanie zeznań biciem. Świadkowie opowiedzieli w sądzie, kto strzelał do Goldsteina (tylko niemiecki żandarm). Kołodziejski został uniewinniony.

Po przeczytaniu tych akt Grabowski napisał o istnieniu ważnego zjawiska historycznego, czyli o nieudolnym strzelaniu przez polskich policjantów do Żydów, tak że ich ofiary musieli dobijać Niemcy. Jako źródło wskazał zeznania Bolesława Abczyńskiego i... policjanta Kołodziejskiego. Do tego dodał jeszcze w książce słowo „niejednokrotnie". Czyli tak jak kiedyś (à rebours) przedwojenne żydożercze gazety. Z informacji: „Żydowski kierowca niechcący potrącił polskie dziecko", na drugi dzień powstawał artykuł z fragmentem: „Pejsaci zbrodniarze bezkarnie rozjeżdżają na polskich drogach bezbronne chrześcijańskie niemowlęta".

eprasa.pl 0a823495aa

W innym fragmencie „Na posterunku" jest cytat o wydaniu dwóch Żydów w ręce polskich strażaków. Sprawdzić się nie da, bo nie ma źródła. Potem autor dodał, że taka sama scena miała miejsce w Wolbromiu, i wskazał na tekst Dariusza Libionki z „Dalej jest noc" (t. 2, s. 81–82). Ale tam nic takiego nie ma. Jeszcze jakiś kolejny nonsens i podsumowanie: „Jak można z tego wywnioskować, w opinii współmieszkańców sekcje OSP [Ochotniczych Straży Pożarnych – przyp. P.G.] miały (razem z miejscową żandarmerią i granatową policją) – po wyjeździe niemieckich komand likwidacyjnych – nadzorować i wcielać w życie politykę eksterminacyjną okupanta" (s. 174). Potem Grabowski zebrał przypadki patologicznych zachowań niektórych funkcjonariuszy i napisał rozdział „Udział polskiej policji kryminalnej w wymordowaniu Żydów" (s. 294).

Tak powstały główne twierdzenia książki „Na posterunku". Po przebrnięciu przez 400 stron tekstu można się tak pogubić, że hitlerowskie broszury drukowane w czasie wojny dla Polaków o żydowskich mordach rytualnych – od strony logiki i poprawności wnioskowania – wyglądają na solidny wywód naukowy.

KTO W BOCHNI I KRAKOWIE POLOWAŁ NA ŻYDÓW?

Znakiem firmowym pisarstwa Jana Grabowskiego są informacje, których nie ma w przywoływanych źródłach, oraz przerobione cytaty. Pisałem już o tym wiele razy, ale na tak dyskredytujące zarzuty odpowiedzi nie było. W „Na posterunku" sprawdziłem ledwie kilka cytatów i wyszło, że autor jest niereformowalny.

Pisząc o śmierci znanego obywatela Nowego Wiśnicza, Grabowski zacytował relację Antoniego Łuckiego: „1 września 1942 r. zastrzelono adwokata Izajasza Fragnera, jego żonę i jej siostrę Marię Wiedelman. Ujęto ich w kryjówce w Rajbromie [Rajbrocie – przyp. P.G.], zastrzelono w Lipnicy Murowanej. Egzekucję przeprowadziła granatowa policja w towarzystwie Volksdeutscha. Jednym z policjantów był Musiał – mieszkaniec Lipnicy Górnej". Oryginalna relacja podaje inaczej: „Ujęła i przeprowadziła egzekucję granatowa milicja [policja – przyp. P.G.] i **Volksdeutsch w zielonym mundurze, Shindler. Jeden z członków granatowej policji, który w tym czasie pełnił służbę na posterunku Lipnicy nazywa się Musiał** [...]" (AŻIH 301/1388). Zmieniony tekst podkreślono. Z oryginału zniknął wymieniony z nazwiska Niemiec w mundurze, który w takich sytuacjach dowodził „granatowymi", a tekst relacji podredagowano tak, by lepiej dowodziła sprawstwa polskich policjantów.

Takie manipulacje dotyczą w „Na posterunku" dużo poważniejszych rzeczy. Autor sięgnął po wspomnienia Abrahama Langnera z „Księgi pamiątkowej Żydów działoszyckich", ale „przyciął" je i „przetłumaczył" tak, że Langner opowiedział o wymordowaniu przez polską policję w czasie deportacji z Działoszyc 2 tys. Żydów (s. 117). Przez 75 lat opracowania i źródła były tu zgodne: tej zbrodni dokonali Niemcy. Tak ostatnio jednoznacznie opisał sprawę Dariusz Libionka w książce pod redakcją Jana Grabowskiego „Dalej jest noc" (t. II, s. 79). Będzie spór w rodzinie dotychczas zgodnie dokonującej destrukcji polskiej nauki w obszarze Holokaustu?

W przypomnianej wyżej książce dużą mistyfikacją był opis getta w Bochni, gdzie w 1943 r. żydowscy policjanci wyciągnęli z bunkrów, obrabowali i wydali w ręce Niemców setki Żydów. W „Dalej jest noc" podmieniono żydowskich policjantów na polskich. Opisałem to w tygodniku „Sieci", więc zrobiło się

Znakiem firmowym pisarstwa Jana Grabowskiego (na zdj.) są informacje, których nie ma w przywoływanych źródłach, oraz przerobione cytaty. Pisałem już o tym wiele razy, ale na tak dyskredytujące zarzuty odpowiedzi nie było. W „Na posterunku" sprawdziłem ledwie kilka cytatów i wyszło, że autor jest niereformowalny



Fot. East News/MICHAŁ WOŹNIAK

eprasa.pl 0a823495aa



Gubernator Hans Frank przyjmuje meldunek od komendanta oddziału polskiej granatowej policji

Fot. NAC

głośno. Grabowski musiał bronić tych tez, odsądzając mnie od czci i wiary jako nacjonalistę i nieuka w izraelskiej prasie. Ale w „Na posterunku" sprawy mordów polskiej policji w Bochni już nie ma. To jest dopiero kapitulacja...

Radość z wygranej bitwy była krótka, bo zaraz przeczytałem w tej książce o Krakowie: „Dzień po dniu schrony i bunkry wpadały w ręce niemieckich i polskich policjantów przeszukujących teren byłej dzielnicy żydowskiej" (s. 144). W 2006 r. pracownik Yad Vashem Witold Mędykowski opublikował w „Zagładzie Żydów" (redaktorem był Jan Grabowski) tekst pod znaczącym tytułem „Przeciw swoim: wzorce kolaboracji żydowskiej w Krakowie i okolicy". W środku jest taki fragment: „Wyruszały wówczas całe wyprawy złożone z Niemców i odemanów [policjantów żydowskich] pod wodzą [żydowskiego komendanta] Spiry w asyście robotników uzbrojonych w siekiery, kilofy i drągi żelazne. Wykrywano misternie zrobione skrytki w schronach, piwnicach, w dużych piekarniach, gdzie ludzie zaopatrzeni w żywność i wodę mogli przeżyć całe miesiące, gdyby nie pech lub zdrada. Znalezionych odstawiono do więzienia OD, stąd szli do Płaszowa, najczęściej na śmierć" (s. 214). Rękawica leży na stole. Będzie pojedynek na źródła w sprawie Bochni i Krakowa czy rytualny walkower Jana Grabowskiego w postaci obelg pod adresem IPN?

BIEDNI POLACY PODPALAJĄ GETTO

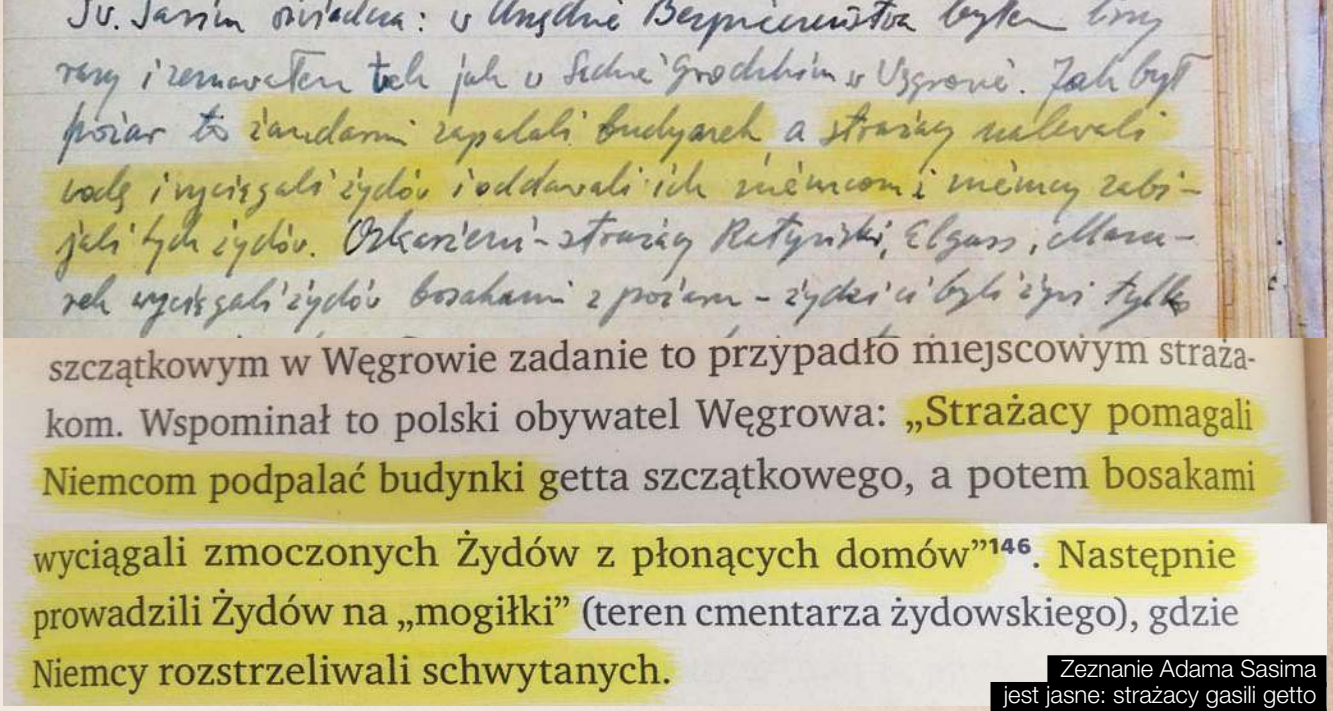
Wcale niedrugoplanowymi bohaterami książki „Na posterunku" są strażacy, którzy rzekomo mieli odgrywać niepoślednią rolę w Holokauście. Ich sytuacja była podobna do policjantów: byli podporządkowani niemieckim władzom bezpieczeństwa, wzywani na łapanki i niemieckie akcje, nie mieli możliwości sprzeciwu. Tak samo musieli łapać uchylających się od przymusowych robót Polaków. Latami Centrum Badań nad Zagładą Żydów IFiS PAN nie dawało rady zrobić z nich „ochotników Holokaustu". Naukowego przełomu dokonała Alina Skibińska w książce „Dalej jest noc": „Przykładem dobrowolnego uczestnictwa w akcjach przeciw Żydom może być choćby sprawa Tomasza Jamińskiego z Łukowej, który w zastępstwie syna był w straży pożarnej i brał udział w wyłapywaniu – i przy okazji – ograbianiu Żydów" (t. 1, s. 259). Aresztowany Tomasz Jamiński zdecydowanie zaprzeczył oskarżeniom o rabunek i tłumaczył, że w czasie niemieckiej akcji nie miał wyboru: „Byłem członkiem straży pożarnej, którą żandarmeria zapędzała do swoich usług i nieposłuszeństwo groziło Majdankiem" (AIPN Lu, 326/60). Został skazany, ale sąd, łagodząc karę, argumentował: „Obecność żandarmerii aktualizowała groźbę represji wobec oskarżonego Jamińskiego, w razie niewykonania poszukiwań za ukrywającymi się Żydami". O sprawie rabunku, nie tylko w wyroku, lecz nawet w akcie oskarżenia nie było mowy.

A jak Skibińska zrobiła z Jamińskiego „ochotnika Holokaustu"?! Nim przyszło mu do głowy, do czego zostanie użyty tego dnia przez żandarmów, zgłosił się na przymusową służbę za syna (to było możliwe), który działał w konspiracji. „Dobrowolność" zastępstwa za syna autorka przeniosła na „dobrowolność" udziału w Holokauście. Dało się? Dało.

Skoro tak przekręciła sprawę Skibińska, przed naukowcami z IFiS PAN otworzyły się dziewiąte wrota nowych możliwości. Jan Grabowski (powołując się na akta Jamińskiego i Skibińską) napisał już w „Na posterunku" o licznym, ochotniczym udziale straży pożarnych w Holokauście: „Oprócz wyłapywania ukrywających się Żydów druhowie z miejscowych sekcji OSP dokonywali również rabunku mienia żydowskiego" (s. 172).

Ale narracja „Na posterunku" nie opiera się tylko na poprzednikach, bo autor książki ma własne epokowe sukcesy. Do nich należy opis polskich strażaków podpalających w 1943 r. getto w Węgrowie. Grabowski cytuje zeznanie polskiego świadka tych wydarzeń: „Strażacy pomagali Niemcom podpalać budynki getta szczątkowego, a potem bosakami wyciągali zmoczonych Żydów z płonących domów" (s. 172–173). Jeżeli strażacy podpalali getto, do dlaczego Żydzi wyciągani z płonących domów byli „zmoczeni"? Po sprawdzeniu (AP Siedlce, Sąd Okręgowy w Siedlcach, sygn. 653, k. 167) okazało się, że oryginał zeznania brzmi tak: „Jak był pożar, to żandarmi zapalali budynek, a strażacy nalewali wodę i wyciągali żydów [...]". Zamiana strażaków gaszących getto na podpalaczy robi wrażenie nawet u Grabowskiego. Na marginesie dodam, że sąd zignorował zeznania owego świadka, Adama Sasima, uznając go za oszczercę „zmieniającego swoje zeznanie w toku postępowania sądowego i mającego opinię pijaka zabierającego w czasie okupacji rzeczy ludności żydowskiej" (tamże, k. 99v).

eprasa.pl 0a823495aa



szczątkowym w Węgrowie zadanie to przypadło miejscowym strażakom. Wspominał to polski obywatel Węgrowa: „Strażacy pomagali Niemcom podpalać budynki getta szczątkowego, a potem bosakami wyciągali zmoczonych Żydów z płonących domów”[146]. Następnie prowadzili Żydów na „mogiłki” (teren cmentarza żydowskiego), gdzie Niemcy rozstrzeliwali schwytanych.

Zeznanie Adama Sasima jest jasne: strażacy gasili getto w Węgrowie. Jan Grabowski powołał się na nie i napisał, że strażacy je podpalali

Żenujące pomówienia sąsiadów zwaśnionych o płot, kłamliwe opowieści niewiarygodnych świadków, mściwe donosy pijaków, komunistów i złodziei jako źródło wiedzy o postawach Polaków wobec Holokaustu. Czyli Centrum Badań nad Zagładą Żydów IFiS PAN w pełnej krasie.

ŚWIAT TO ZA MAŁO

Jan Grabowski próbuje wepchnąć do nauki teoryjki typu: „Granatowa policja stanowiła istotny, niekiedy niezbywalny element niemieckiej strategii eksterminacji europejskich (!) Żydów” (s. 389). Epatuje słowami o „niepoliczonych, dziesiątkach, setkach tysięcy żydowskich ofiar granatowej policji” (tamże). To chyba bardziej ilustracja pewnego stanu umysłu niż coś z obszaru badań historycznych. Sporządzane w „Na posterunku” zestawy słów nie uwzględniają ich znaczeń ani reguł naukowej grawitacji. Historia przestaje być obszarem rekonstrukcji, ale jest opowieścią, która – jak u Barbary Engelking – uwzględnia interwencję w rzeczywistość duchów zmarłych przodków („Dalej jest noc”, t. 1, s. 134–135).

Jan Grabowski ubiera się w szaty naukowca atakowanego za prawdę przez polskich nacjonalistów i niedowiarków, a Barbara Engelking ostatnio zdefiniowała oczekiwania wobec Polaków: „Najpierw trzeba się przyznać” („Polityka”, 19.04.2020). Do czego? Do wymordowania Żydów w Działoszycach? Do podpalenia węgrowskiego getta? A może do udziału w mordzie setek Żydów w Bochni i Krakowie? W tym samym tekście Engelking zdefiniowała samą siebie słowem „odpowiedzialność” w odróżnieniu od krytyków prezentujących „tożsamość infantylną i prowincjonalną”. Taka narracja wspomnianych autorów celuje w ludzkie słabości wyszydzone w znanej bajce Jana Christiana Andersena „Nowe szaty cesarza”. Zabrzmi bardziej poważnie, jak z ich tekstów na dobre znikną poprzycinane i przeredagowane cytaty.

> Wielu policjantów przymykało oczy w sytuacjach, kiedy mieli obowiązek chwytać żydowskich uciekinierów. W tych historiach jest wiele scen dramatycznych, kiedy ci sami policjanci, którzy w dzień musieli uczestniczyć w deportacjach, po służbie (przechowując lub wyrabiając im lewe dokumenty) ratowali Żydów

Debaty nad książką „Na posterunku” raczej nie będzie, co dobrze świadczy o polskiej przestrzeni publicznej. Ekscytuje się dziełem tylko prof. Marcin Zaremba z Instytutu Historii UW (na jego okładce), a kampanię medialną urządziła mu „Gazeta Wyborcza”, o której napisano już wszystko. Jak kiedyś mawiano: wart Pac pałaca, a pałac Paca.

Z uwagą oczekujmy kolejnych publikacji Jana Grabowskiego i Barbary Engelking, bo ich potencjał wydaje się niewykorzystany. Do tej pory Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego latami przelewało setki tysięcy złotych rocznie Centrum Badań nad Zagładą Żydów wyłącznie na badania opisane w nazwie tej instytucji. Przecież z taką ekipą ze stanu „infantylizmu i prowincjonalności” możemy wyprowadzić wiele innych obszarów nauki. Pokażemy wszystkim: „Patrzcie, to nasze, przez nas wykonane i to nie jest nasze ostatnie słowo!”. Na początek proponuję grant dla IFiS PAN na projekt badawczy pt. „Filozoficzne i socjologiczne konsekwencje użycia gaśnicy przez Herostratesa z Efezu”. Tu nie chodzi tylko o strażaków z Węgrowa – cały naukowy świat czeka.

Autor jest pracownikiem IPN. Tekst odzwierciedla wyłącznie jego ustalenia i opinie

---

* *Książkę swojego stypendysty Jana Grabowskiego „Na posterunku” w początkach 2020 r. zapowiedziało Zentrum für Holocaust-Studien przy Instytut für Zeitgeschichte w Monachium*

eprasa.pl 0a823495aa



Działamy normalnie w nienormalnych czasach

O wpływie epidemii na wyniki polskiego czempiona, o pomocy w czasie epidemii i roli naszych konsumenckich wyborów z ***Marcinem Chludzińskim***, prezesem KGHM SA, rozmawiają Michał Karnowski i Maciej Wośko („Gazeta Bankowa")

W tych nienormalnych czasach możemy działać normalnie – mówił pan w czasie prezentacji wyników spółki za pierwszy kwartał 2020 r. Zanim przejdziemy do wyników, które są przecież sukcesem polskiego koncernu, musimy zapytać, co kryje się pod podkreślanym przez pana sformułowaniem, że priorytetem dla spółki w czasie pandemii jest bezpieczna praca.

Marcin Chludziński: To, co nas spotkało, to nie jest zwykły kryzys. Dotychczas zapaści związane były np. z wirtualnym pieniądzem, tak jak to było w 2008 r., w każdym razie z wydarzeniami makroekonomicznymi. Tym razem to gwałtowny wybuch COVID-19 i zagrożenie epidemiczne wpłynęły bezpośrednio na przedsiębiorstwa i rozwój gospodarczy.

Trzeba przyznać, że to było wyjątkowe wyzwanie – nagle uwidoczniło się, że kondycja firmy zależy od tego, czy ludzie przyjdą do pracy, czy uda się utrzymać produkcję. To wyzwanie – patrząc na te kilka miesięcy tego roku – udało nam się przejść – może nie suchą stopą, ale z jak najmniejszym wpływem na biznes. Pierwszy kwartał zamknęliśmy zgodnie z planem. W przypadku produkcji udało nam się nawet wytworzyć więcej srebra i miedzi niż w poprzednim kwartale. Utrzymaliśmy sprzedaż, mimo że lockdown praktycznie zamknął przemysł – najpierw w Chinach, a potem problemy pojawiły się także w Europie. Osiągnęliśmy ten cel dzięki dużemu wysiłkowi, a także zwinności biznesowej, wynikającej choćby z gotowości do przyjęcia skutków wojny handlowej Chiny – USA na rynku surowców i metali w 2019 r. Trzeba nadal zakładać, że świat będzie się dynamicznie zmieniał i manewrując naszym handlem, produkcją, kosztami – odpowiadać na te wyzwania. Świat nie zwolni.

Ale żaden scenariusz stress-testów nie zakładał przecież wyłączenia przemysłu w związku z grypą...

eprasa.pl 0a823495aa

W ostatnich miesiącach wielu ludzi pracowało po kilkanaście godzin na dobę, żeby firma normalnie funkcjonowała. Priorytetem było i jest utrzymanie produkcji oraz poziomu sprzedaży. Działamy zgodnie z planem. Górnicy, hutnicy, ratownicy chcą przychodzić do pracy, rozumieją wspólny cel. Cena miedzi jest niższa, mniej jest optymizmu na rynku. Ale póki produkujemy, sprzedajemy i potrafimy trzymać w ryzach koszty, wyniki są dobre.

Utrzymanie produkcji, sprzedaży oraz dyscypliny kosztowej, w czasie gdy na świecie firmy często wstrzymują aktywność, jest rzeczywiście sukcesem KGHM – 1-procentowy wzrost produkcji miedzi, 3 proc. wzrostu produkcji srebra oraz 7,4 proc. spadku kosztu C1, to wyniki pierwszego kwartału 2020 r. Tymczasem wszyscy pytają o bezpieczeństwo...

Działanie firmy zależy od postawy pracowników. To, że nasza załoga jest z nami, wynika przede wszystkim z poczucia bezpieczeństwa w kilku wymiarach. Pierwszy to w naszym przypadku fizyczna ochrona przed rozprzestrzenianiem choroby: najnowocześniejsza i powszechna termowizja w postaci kamer mierzących temperaturę, dostęp do płynów biobójczych i środków ochrony osobistej. To rzeczy, które fizycznie pomagają funkcjonować ludziom na stanowiskach pracy. Drugi aspekt to procedury – w KGHM wyprzedzająco izolujemy pracowników wracających z zagranicy i innych miejsc o wysokim stopniu ryzyka zarażenia. Prewencja działa cały czas, bo przecież sytuacja jest dynamiczna. To walka o każdy dzień. Trzecim elementem jest bardzo intensywna edukacja i komunikacja. Rozmowy, odprawy, infolinia telefoniczna dla pracowników, użycie wszelkich kanałów i narzędzi to sposób na dotarcie z informacją, uspokojenie emocji i wzbudzenie odpowiedzialności u każdego pracownika. Komplet tych działań, z perspektywy ostatnich kilku miesięcy, pozwolił nam utrzymać produkcję i podjąć walkę o każdy następny dzień.

Jako pierwsza polska firma odczuliście bezpośrednio skutek lockdownu – choćby w związku z obecnością na rynku chińskim.

Dziś możemy powiedzieć kolokwialnie, że Chiny już się odbijają. Nie widzimy spadku zapotrzebowania na nasz produkt. Ale wciąż podkreślam elastyczność, która jest naszym cełem strategicznym. Nawet jeśli jeden z rynków europejskich ograniczał popyt, przenosiliśmy sprzedaż do kraju, w którym budowano zapasy. Widzimy, że zmienia się model biznesowy. Dziś utrzymywanie zapasów jest niezwykle istotne, o czym przekonało się wiele gospodarek. Rządy na całym świecie podjęły się też mocnego stymulowania rynków – także w Polsce pomoc trafia do przedsiębiorstw, na rynek – to ożywia gospodarkę i pozwala, także nam, prowadzić bezpiecznie biznes.

> Kryzys staje się czasem szansą, niesie presję na innowacyjność, na nowe usługi. Wierzę, że polskim firmom uda się zawalczyć o rozwój i wykorzystać szanse, które pojawiły się w związku z niezwykłą zmianą naszych zwyczajów konsumenckich i potrzeb

Mówi pan o pomocy państwa. Potężne koncerny europejskie: niemiecka Lufthansa, francuskie Renault, Air France KLM, zabiegają o pomoc publiczną. Stosunek rządów do wspierania narodowych czempionów i gospodarki narodowej zmienił się znacząco w związku z kryzysem. Czy KGHM będzie zwracał się o wsparcie związane z kryzysem COVID-19?

Tak jak powiedziałem – funkcjonujemy normalnie w czasach dla biznesu nienormalnych. Dziś możemy się cieszyć tym, że nawet nie spełniamy warunków niezbędnych do zabiegania o wsparcie zewnętrzne. Jeśli sytuacja międzynarodowa, geopolityczna, makroekonomiczna, a także sytuacja produkcyjna związana z liczbą zachorowań dotknęłyby nas w wyraźny sposób – będziemy się mogli zwracać o wsparcie. Robią to nasze mniejsze spółki, bezpośrednio dotknięte kryzysem – np. z branży uzdrowiskowej. Polskie tarcze antykryzysowe to jedne z najszerszych pakietów ochronnych i stymulujących gospodarkę. Rząd bardzo wcześnie i – jak widać po już udzielonej pomocy – skutecznie zadbał o miejsca pracy i jak najmniejszy wpływ pandemii na dobrobyt Polaków.

Za to KGHM włączył się w pomoc społeczną. Od pierwszych dni, tygodni epidemii w Polsce spółka rozpoczęła pozyskiwanie i przekazywanie najpotrzebniejszych artykułów – środków ochrony bezpośredniej, środków dezynfekcyjnych.

Postąpiło tak wiele polskich firm. W takiej sytuacji kryzysowej jedynym nakazem etycznym jest pomagać i działać. Dzięki temu respiratory, środki ochrony, kombinezony, gogle znalazły się w szpitalach i przeszliśmy spokojnie ten trudny czas. Zespół zadziałał błyskawicznie – uruchomiliśmy produkcję płynu biobójczego, gdy tylko się okazało, że może go zabraknąć. Nasi pracownicy, wolontariusze zajęli się sąsiadami, ludźmi potrzebującymi pomocy. Nasze laboratoria włączyły się w publiczny system testów na COVID-19. To polski wyróżnik, chyba mamy to w DNA – w sytuacjach kryzysowych ludzie biorą odpowiedzialność za innych. Nasze hasło: dbamy, chronimy, nie jest frazesem. Mam satysfakcję, że naprawdę pomogliśmy potrzebującym.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 0a823495aa

Tymczasem niektórym mediom udało się zrobić prawdziwą kampanię hejtu z norm, które spełniały bądź których nie spełniały maseczki sprowadzone do Polski u progu epidemii. Skala pomocy rekompensuje panu ten czas spędzony na tłumaczeniu, wyjaśnianiu wątpliwości dotyczących maseczek z Chin?

Przywieźliśmy do Polski razem z wieloma firmami i organizacjami setki ton najpotrzebniejszego sprzętu. Maski były i są niezbędne dla medyków. Jeżeli pojawiają się jakiekolwiek informacje dotyczące niższej jakości niektórych partii, traktujemy je poważnie. Do Polski ma trafiać odpowiedni sprzęt i tego oczekujemy od naszego dostawcy. Krytycy działań byli i będą. Ja mam głębokie przekonanie, że działanie i pomoc w kryzysowej sytuacji są konieczne.

Rozmawialiśmy z wicepremierem Sasinem, który podkreślał znaczenie spółek skarbu państwa w systemie wsparcia, ale też w utrzymaniu gospodarki. To narzędzie, które pomaga państwu radzić sobie też w sytuacjach kryzysowych.

W ramach odpowiedzialności społecznej to naturalne, że włączyliśmy się w ten proces. Podobnie zrobiły inne spółki z udziałem skarbu państwa, ale też prywatny biznes i środowiska obywatelskie, które na wezwanie premiera Morawieckiego i wicepremiera Sasina wsparły te działania. Jednak trzeba też zauważyć, że „zagrało" państwo, które wzięło odpowiedzialność – rząd, który zareagował i ustami swych przedstawicieli powiedział, jak w tych warunkach funkcjonować i jak się poruszać. Ta sytuacja burzy taki mit, stereotyp, że jesteśmy narodem niezdyscyplinowanym.

A jak pan ocenia zauważalny zwrot w stronę gospodarek narodowych? Niektóre kraje w Europie podjęły decyzje o ochronie narodowych firm przed przejęciami przez obcy kapitał. Każdy rząd jasno też deklaruje – w pierwszej kolejności pomoc należy się firmom inwestującym, działającym i płacącym podatki w danym kraju. To jest zmiana, która dokonuje się na dłużej?



Fot. Andrzej Wiktor

Patrząc historycznie, na sytuację sprzed kryzysu koronawirusowego, to nie jest nowość, że interes narodowy ma znaczenie. Obserwowaliśmy przecież wcześniej procesy ochrony własnych biznesów, choć odbywało się to za pomocą np. polityki regulacyjnej Unii Europejskiej.

Co było działaniem niezwykle cynicznym, bo odbywało się pod hasłami niezwykle wzniosłymi – wspólnego rynku, sprawiedliwego dostępu do usług, także równych rzekomo zasad dla wszystkich...

To jest też pewna umiejętność biznesowa. Gdyby Unia Europejska koncentrowała się na wartościach, które stały u zarania wspólnoty, to z pewnością byłoby lepiej. Dziś widzimy, że te zachowania merkantylne stały się w większości krajów pewną normą. Przykładem niech będzie sprawa jednego ze składników płynów biobójczych, który importowaliśmy przez lata. Gdy pojawiła się epidemia, eksport został przez producenta wstrzymany z dnia na dzień. W sytuacji kryzysowej – co nie dziwi – każdy myśli w pierwszym odruchu o sobie. Pomoc własnej gospodarce i własnemu przemysłowi jest narzędziem i odpowiedzią na taką potrzebę zadbania o siebie. Proszę zwrócić uwagę, że w czasie epidemii każde państwo działało samodzielnie i zabezpieczało w pierwszej kolejności swoje bezpieczeństwo i swoje interesy. Dziś tym, co może zadziałać w ramach całej Unii, są wspólne programy pomocowe i stymulacyjne dla gospodarki. W polityce wspólnotowej pojawia się zupełnie nowy wątek – kwestia związana z bezpieczeństwem zdrowotnym i epidemiologicznym. Bezpieczeństwo, niwelowanie skutków kryzysu i powrót do normalnego rozwoju to dziś najważniejsze wyzwania wspólnoty międzynarodowej.

KGHM włączył się też w projekt portalu wGospodarce.pl i tygodnika „Sieci" – „Kupuję, bo polskie". Jak pan ocenia akcje promujące polskie produkty i wspierające polskich producentów?

Zjawisko patriotyzmu konsumenckiego jest istotnym czynnikiem naszego rozwoju gospodarczego. Jesteśmy na dobrej drodze – Polacy coraz bardziej świadomie dokonują zakupów, wybierając lepsze – polskie produkty. Do ludzi zaczyna docierać, jak wielkie znaczenie mają zwykłe zakupy. Sami też staramy się – tam gdzie jest to możliwe – kupować w Polsce. Coraz więcej polskich firm produkuje zaawansowane elementy produkcji przemysłowej. To kwestia odpowiedzialności. Ale trzeba pamiętać, że produkt – poza tym, że będzie polski – musi być konkurencyjny cenowo i jakościowo. Nikt nie będzie przepłacał tylko dlatego, że coś jest stąd. Jakość i cena – tu stajemy się coraz bardziej konkurencyjni. Kryzys staje się czasem szansą, niesie presję na innowacyjność, na nowe usługi. Wierzę, że polskim firmom uda się zawalczyć o rozwój i wykorzystać szanse, które pojawiły się w związku z niezwykłą zmianą naszych zwyczajów konsumenckich i potrzeb.

eprasa.pl 0a823495aa



Czeszka Vera Jourova, wiceszefowa Komisji Europejskiej i komisarz UE odpowiedzialna za praworządność, to główna unijna tropicielka „pełzającej dyktatury" w Polsce

Polska jako upiór

Polska jest jak Austria lat 30., salazarowska Portugalia, sklerykalizowana jak frankistowska Hiszpania, a także jak PRL, bo likwiduje trójpodział władz. Jednocześnie jest jak Niemcy za czasów III Rzeszy, bo Marsz Niepodległości przypomina pochody SA. Tylko czekać na noc długich noży. Tak Polska wygląda w oczach zagranicznych lewicowo-liberalnych polityków, ekspertów i mediów. Ale lista kłamstw i manipulacji jest dłuższa. Oto kilka z nich



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

POLSKA ULEGA AUTORYTARNEJ POKUSIE

Ta teza pojawia się cyklicznie w zagranicznych mediach, odkąd PiS przejęło w 2015 r. władzę. Wraz z pandemią koronawirusa przeszła ona pewną przemianę i teraz gazety (głównie niemieckie) straszą czytelników korona-autokracją w Polsce. Według definicji z encyklopedii PWN autorytaryzm (łac. auctoritas – powaga, wpływ) to system rządów powstałych w opozycji do rządów demokratycznych z powodu ich niedowładu. Potocznie nazywany rządami mocnej ręki. Wprowadzenie rządów autorytarnych odbywa się z reguły przez zamach stanu. Autokracja natomiast to „system rządzenia, w którym cała władza należy do jednego człowieka i jest sprawowana poza jakąkolwiek kontrolą społeczną".

Dlaczego więc zdaniem zagranicznych komentatorów Polska jest krajem autorytarnym? Bo, jak pisze w „Die Welt" korespondent tej gazety Philipp Fritz, PiS wygrało w 2015 r. wybory i rozpoczęło swój program reform, w tym reformę systemu sprawiedliwości, a z telewizji publicznej „zrobiło kanał propagandowy". Przebudowa państwa, podporządkowanie sobie sądów i „innych instytucji" przez PiS, marginalizacja opozycji, nienawiść do mniejszości (szczególnie seksualnych) mają czynić Polskę „drugą Turcją" w samym sercu Europy. A jak wiadomo, w Polsce cała władza należy do Jarosława Kaczyńskiego. Zadziwiająca w tych wywodach jest ich wewnętrzna sprzeczność. Fritz, podobnie jak inni zagraniczni komentatorzy, podkreśla, że PiS zostało wybrane demokratycznie i cieszy się dużym poparciem społecznym. Korzystać z mandatu udzielonego

Fot. Alexandros Michailidis / Shutterstock

eprasa.pl 0a823495aa



przez społeczeństwo mu jednak nie wolno, bo „to niszczenie demokracji". A jeśli dyktatury jeszcze nie ma, to zapewne za chwilę będzie. A ciemny lud to kupi, no bo jest ciemny.

Z okazji pandemii i planowanych początkowo na maj wyborów prezydenckich pojawiły się oskarżenia, że – jak ujął to „New York Times" – polski rząd chce wykorzystać pandemię do wzmocnienia swojej władzy. Poprzez gnębienie opozycji, niepozwalanie jej na prowadzenie kampanii i zakazywanie publicznych zgromadzeń. O tym, że w ramach walki z koronawirusem zostały one zakazane także w innych krajach, data wyborów była narzucona przez konstytucję, a to kandydatka opozycji, czyli Małgorzata Kidawa-Błońska, bojkotowała wybory i zrezygnowała z kampanii, „NYT" oczywiście nie wspomniał ani słowem. Polska to chyba jedyny autokratyczny reżim na świecie, gdzie rząd dąży do przeprowadzenia demokratycznych wyborów, a opozycja nie chce do nich dopuścić w obawie przed przegraną. Ponadto opozycja zdobyła w ostatnich wyborach Senat, który wykorzystuje do blokowania procesu wyborczego. Tak to gnębienie opozycji i wszechwładza PiS wyglądają w praktyce.

POLSKA TO NAJBARDZIEJ HOMOFOBICZNY KRAJ W UNII EUROPEJSKIEJ

Teza forsowana przez lobby LGBT oraz związane z nim think tanki. Dowodem na to mają być „strefy wolne od LGBT", ogłoszone przez niektóre polskie samorządy „pokrywające jedną trzecią powierzchni kraju". To, że uchwały przyjęte przez samorządy nie mówią o strefach wolnych od LGBT, tylko o ochronie rodziny lub walce z ideologią gender w jej wymiarze politycznym, nie ma przy tym znaczenia.

Jak podkreśliła Karolina Gierdal z Kampanii przeciw Homofobii podczas konsultacji społecznych organizowanych przez komisję LIBE Parlamentu Europejskiego w ramach sporządzenia raportu na temat stanu polskiej praworządności, „uchwały mówiące o ochronie rodziny są jeszcze bardziej nienawistne, bo wykluczają rodziny inne niż te składające się z matki, ojca i dzieci". O szalejącej w Polsce homofobii mówi także raport ILGA-Europe, organizacji lobbującej za prawami osób LGBT w Brukseli. Według organizacji proponowane ustawy zakazujące aborcji i edukacji seksualnej w Polsce to „alarmujący sygnał o tym, jak działają rządy o silnych tendencjach autorytarnych w celu dalszego ograniczenia praw słabszych grup i mniejszości". Informacja, że są to inicjatywy obywatelskie, a nie rządowe projekty ustaw, znów nie zmieściła się w raporcie.

Nie znajdziemy też żadnych innych przykładów ograniczania praw mniejszości seksualnych w Polsce. Ani informacji o tym, że zdjęcia pojawiające się w zagranicznych mediach pokazujące gnębionych homoseksualistów przed żółtymi tablicami przy wjeździe do niektórych polskich gmin z napisem „Strefa wolna od LGBT", to akcja gejowskich aktywistów, którzy te napisy tam sami umieścili. Tymczasem w Polsce nie ma żadnej instytucjonalnej walki z mniejszościami seksualnymi. Nie wprowadzono też żadnych drastycznych zapisów prawnych, które mogłyby o tym świadczyć. Przeciwnie. W naszym kraju od wielu lat odbywają się Marsze Równości (policja gwarantuje bezpieczeństwo ich uczestnikom), a polskie prawo chroni wszystkie mniejszości, nie tylko seksualne.

W POLSCE SPADA POZIOM WOLNOŚCI MEDIÓW

Amerykańska organizacja Freedom House opublikowała 6 maja br. raport, z którego wynika, że „polski sektor mediów jest solidny i różnorodny, zarówno pod względem struktury własności, jak

eprasa.pl 0a823495aa

i spektrum ideologicznego". Jednak, zdaniem Freedom House, publiczne radio i telewizja „nadal promują jednostronny, pozytywny wizerunek rządzącego obozu". Lepiej by oczywiście było (dla pluralizmu), gdyby wszystkie media promowały negatywny wizerunek rządu, no ale to i tak nieźle, przecież uznano, że w Polsce jest jakaś tam medialna różnorodność. Nic bardziej mylnego.

Polska została uznana przez Freedom House za „niepełną demokrację" m.in. dlatego, że „utrudnia debatę publiczną". A konkretnie, że rząd PiS serwuje narrację historyczną, która „w znacznym stopniu omija udział Polaków w okrucieństwach II wojny światowej", a jednocześnie eliminuje głosy przeciwne. Jako przykład autorzy raportów wskazują na... Jana Tomasza Grossa. Dziwić to nikogo nie powinno, autorami fragmentu raportu dotyczącego Polski są bowiem eksperci związani m.in. z „Gazetą Wyborczą" oraz portalem Oko.press, a także z Archiwum Osiatyńskiego – jednym z nieformalnych think tanków nie tylko Koalicji Obywatelskiej, ale także kasty sędziowskiej.

W podobny ton uderza regularnie organizacja Reporterzy bez Granic (RSF). W tym roku, już po raz piąty z rzędu, Reporterzy bez Granic obniżyli pozycję Polski w swoim corocznym raporcie. W 2020 r. nasz kraj zajął 62. miejsce na 180 sklasyfikowanych państw, co zdaniem przedstawicieli RSF świadczy o najniższym w historii poziomie wolności słowa w Polsce. W uzasadnieniu tegorocznego spadku Polski w rankingu Reporterów bez Granic podano m.in. „podejmowane przez obecny rząd próby kontroli systemu wymiaru sprawiedliwości, które mają zły wpływ na wolność wypowiedzi w niezależnych mediach". W dalszej części uzasadnienia raportu przytoczono rzekome ataki na „Gazetę Wyborczą" czy TVN w ramach kampanii prezydenckiej. Raport zupełnie pomija ogromną różnorodność mediów w Polsce, ich swobodne funkcjonowanie we wszystkich sektorach i nieskrępowane prowadzenie biznesu przez firmy i koncerny medialne, w tym zagraniczne, oraz to, że większość mediów w Polsce to media prywatne i antyrządowe.

POLSKA DĄŻY DO POLEXITU

Jak już wyżej wspomniałam, komisja ds. wolności europejskich (LIBE) opracowała raport na temat stanu polskiej praworządności. Jaki jest jego wydźwięk? Oczywiście negatywny. Szef komisji, hiszpański socjalista López Aguilar, twierdzi, że stan demokracji w Polsce stale się pogarsza, podobnie jak stan praworządności i ochrony praw podstawowych. Podczas debaty nad raportem w PE holenderska europosłanka Sophie in't Veld (Odnowić Europę) przekonywała, że polski rząd nie przejmuje się europejskim porządkiem prawnym. Jej zdaniem trzeba wyciągnąć z tego jeden wniosek: „Jeżeli polski rząd nie akceptuje autorytetu UE i traktatów UE, to nie chce być członkiem Unii". „Nie można być poza ramami prawnymi UE i być członkiem Unii oraz korzystać z jej wszystkich możliwości, także finansowych" – dodała.

> W zagranicznych mediach brak informacji, że żółte tablice przy wjeździe do niektórych polskich gmin z napisem „Strefa wolna od LGBT" to akcja gejowskich aktywistów, którzy je tam sami umieścili

Polexitem, dobrowolnym czy nie, od lat straszą nas też zagraniczne, a przede wszystkim niemieckie gazety. W styczniu o „pełzającym polexicie" pisał niemiecki tygodnik „Der Spiegel". Według pisma ignorowanie przez Warszawę wyroków Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej (TSUE) oznacza, że Polska znajduje się już poza europejskim porządkiem prawnym, a więc de facto „już jedną nogą poza Unią Europejską". Oczywiście nikt w Polsce, także w polskim rządzie, nie zamierza wyprowadzać kraju z europejskiej wspólnoty. Jest to teza szerzona przez polską opozycję i bezmyślnie powtarzana w Berlinie i Brukseli. Co się tyczy wyroków TSUE, to wiele państw UE ich nie wykonuje, choćby Hiszpania, Francja, Grecja czy Włochy. Nikt nie wypycha ich z tego powodu z Unii. Ponadto kształt systemu sprawiedliwości stanowi prerogatywę państw członkowskich, a więc TSUE wykracza tu poza swoje kompetencje. Niedawno zresztą niemiecki Trybunał Konstytucyjny wydał wyrok, w którym stwierdził, iż orzeczenie TSUE akceptujące działania Europejskiego Banku Centralnego w ramach prowadzonej od 2015 r. akcji kupowania obligacji państwowych, nie będzie w Niemczech już stosowane. Działania EBC wychodziły według sędziów z Karlsruhe poza jego kompetencje, a TSUE przekroczył swoje uprawnienia, uznając je za legalne. Choć TSUE wyrok niemieckiego TK ostro oprotestował, argument „bycia poza europejskim porządkiem prawnym" wobec Berlina się jakoś nie pojawił. No, ale pod tym względem od dawna panują podwójne standardy.

Do polexitu polski rząd ma zresztą dążyć także dlatego, że nasz kraj staje się coraz bardziej bogaty. Według Gabriele Lesser, korespondentki niemieckiej „Die Tageszeitung", gdy tylko Polska stanie się płatnikiem netto w Unii, „Kaczyński wyprowadzi kraj z UE, ale winę za to zamierza zrzucić na Brukselę i pozostałe państwa członkowskie". Jest to oczywiście kompletna bzdura. Zacznijmy od tego, że dziś opuszczenie przez Polskę wspólnoty jest praktycznie niemożliwe. Polacy gremialnie opowiadają się za obecnością w UE, a wśród największych partii panuje konsens co do tego, że obecność w Unii jest w naszym strategicznym interesie. Oczywiście pojawiają się pytania, jaka ma być nasza rola w UE i czy rzeczywiście jesteśmy w Brukseli traktowani po partnersku. I to pytanie jest jak najbardziej uzasadnione. Od tego jednak jeszcze daleko do polexitu. A im Polska będzie bogatsza, tym większe będą jej wpływy w Brukseli.

eprasa.pl 0a823495aa

RYJÓWKA FLORKA I INNI BOHATEROWIE

Z menu Florki

Florka pojawiła się najpierw w „Misiu” – najstarszym polskim czasopiśmie dla najmłodszych, które pamiętają dziś jedynie dorośli. Jej przygody spisywała Roksana Jędrzejewska-Wróbel, a plastyczną postać nadała jej Jona Jung. W 2007 r. sympatyczna ryjówka przeniosła się do książek, a siedem lat później zadebiutowała na małym ekranie w animowanej serii „Pamiętnik Florki”.

Czas jest dla Florki łaskawy, lata lecą, a ona wciąż ma pięć lat i z tym samym zapałem dzieli się z czytelnikami i widzami doświadczeniami przedszkolaka.

A co smakuje Florce? Na przykład muchy w czekoladzie, sok z żuka (który nie ma nic wspólnego z filmem Tima Burtona), patyczaki śniadaniowe, pieczeń z turkucia podjadka, grillowane udka komarze i spaghetti z dżdżownic. Lubi lizaki z komarem, które przynosi jej czasami jej przyjaciel chomik Klemens. Od czasu gdy stała się telewizyjną gwiazdą, zmieniła się jej forma ekspresji. W książkach jest bardziej introwertyczna, analizuje i przeżywa, na ekranie – mówi i działa.

W serialu ważną postacią jest tata Florki, który nieustannie smaży naleśniki. Jego atrybutami są kapelusz i patelnia, a miejscem, które na dobre anektuje – kuchnia. Inaczej niż u Muminków, gdzie to Mamusia Muminka nie odchodziła od garnków.

Florka na ekranie, częściej niż w książce, sięga po różne przysmaki, a co z innymi postaciami z książek Roksany Jędrzejewskiej-Wróbel?

Z okazji Dnia Dziecka zadałam autorce dość karkołomne pytanie, co mogłoby smakować jej bohaterom. I tak się okazało, że Praktyczny Pan wypiłby odżywczy, choć niezbyt smaczny koktajl ze szpinaku, zakochane świnki – Melania i Melchior – zamówiłyby w przytulnej cukierni ciastko, a potem zjadły je jedną łyżeczką z jednego talerzyka, Bzyk Brzęk, muchówka, przysiadłby z apetytem na czymś słodkim, lepkim i oczywiście brudnym, świnka Halinka, przytulanka małego Filipa, ma zawsze ochotę na okrągłe smaczne historie, które jej Filip opowiada, samotna królewna Amelka zjadłaby cokolwiek, byle w towarzystwie, czarnoksiężnik Gębolud połknąłby jednym chapsem własnoręcznie ulepione kulki z pajęczyny, jamnik Hipolit Kabel podzieliłby się parówką ze swoim przyjacielem kotem Alojzym, ale już ulubiony szponderek zjadłby sam, niezależna Królewna Aurelka na pewno miałaby ochotę na placek ze śliwkami upieczony przez mądrą Jagę, a do tego zrobiłaby herbatę zaparzoną w magicznym różowym czajniku poprawiającym nastrój, natomiast Aurora – naprawiaczka złamanych serc – zamiast jeść sama, poczęstowałaby każdego z nas szklanką aromatycznej herbaty i ciasteczkami z kardamonem oraz długą rozmową. Bo od tego zaczyna się każde „prawdziwie karmiące” spotkanie.

Jolanta Gajda-Zadworna



Rys. Jona Jung

Tort naleśnikowy Florki

Naleśniki pięknie usmażone przez tatę (mamę/siostrę/brata… lub samodzielnie, ale pod okiem dorosłych) przekładamy **ulubionymi składnikami:** serkiem, owocami, masą czekoladową, budyniem albo dżemem, a potem układamy w piramidę – jeden na drugim.

Całość polewamy syropem klonowym, ozdabiamy tym, co podpowie wyobraźnia albo kulkami cukrowymi, a potem kroimy jak tort i zajadamy w dobrym towarzystwie.

prasa.pl



SŁODKO-SŁONY

Śniadanie niespodzianka

ANNA MONICKA

Ten włoski ser kojarzy mi się z wakacjami. Uwielbiam go, jest delikatny, aksamitny, słodki i biały. I najlepiej smakuje wtedy, gdy są upały. Gdy nikomu nie chce się stać przy parujących garnkach ani zajadać ciężkich, polanych sosem mięs, kasz czy ziemniaków, warto sięgnąć po mozzarellę i podać ją tak jak Włosi, czyli w sałatce caprese. Dzieci ją uwielbiają, a takie cudownie kolorowe śniadanie dobrze otwiera dzień.

Pierwszy raz poznałam jej smak, gdy ze studiów w Holandii wróciła moja siostra, ze lat 30 temu. Przywiozła mi w prezencie karton soku z pomarańczy i właśnie mozzarellę – to, czym sama zajadała się, gdy już zeszła z roweru, którym podróżowała na zajęcia. Nasze mozzarelle przypominały tę od niej tylko kształtem – były twarde, zbite i żółte. Ta rozpływała się w ustach. Gdy kilka lat później wyjechałam służbowo do Włoch, znajomi zabrali mnie do rodzinnej restauracji pod Mediolanem, gdzie skosztowałam pierwszy raz najszlachetniejszej odmiany tego sera – bufali, wytwarzanej ręcznie z bawolego mleka już w XII w. – jeszcze bardziej kremowej, delikatnej i soczystej. I burraty – serowych sakiewek, z których po przekrojeniu wylewa się gęsta, aksamitna, kremowa śmietana. Wszystkie trzy można zapiekać na pizzy albo w warzywnym sosie, ale nic nie przebije ich smaku na surowo, z pachnącymi świeżymi pomidorami, które miały szansę powygrzewać się na słońcu.

Tak naprawdę po to, żeby móc się delektować caprese, posadziłam w ogrodzie zamiast trawnika rokiettę siewną, czyli rukolę, a na tarasie od wiosny do późnej jesieni uprawiam różne odmiany bazylii. O ile ta druga roślina jest delikatna i łatwo ją przesuszyć, o tyle rokietta rozrasta się sama, śmiało konkuruje z inwazyjnymi trawami, miętami czy melisami. Ostatnio znalazłam ją kilka metrów od grządki – sama się wysiała albo przeniosły ją ptaki – a dziś nagle zauważyłam jej liście wyłażące spod żeliwnej wycieraczki przed drzwiami. Początkowo myślałam, że to mniszek, ale charakterystyczny korzenny zapach świadczył o czymś innym. Wyrosła dorodna kępa, w sam raz do posypania sałatki dla trzech–czterech osób.

Jak zrobić caprese? Nic prostszego – pomidory i kule serów (po jednym na głowę) kroimy w plastry, układamy na sałacie, posypujemy świeżą bazylią lub rukolą, oprószamy solą, pieprzem i skrapiamy oliwą. Pomidory możemy zastąpić plastrami swojskich, dorodnych truskawek. Smacznego.

Fot. Shutterstock, archiwum autorki



WILCZYM OKIEM

Płeć drzew

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Chociaż kwestia ta uchodzi często naszej uwagi, płeć roślin istnieje. Niekiedy ujawnia się ona jedynie w obrębie kwiatów. Leszczyna na tym samym krzewie posiada zarówno wydłużone kwiaty męskie wytwarzające pyłek (zwane kotkami), jak i malutkie czerwone osobne kwiaty żeńskie, na których osiada pyłek i w miejscu których rozwija się następnie orzech. U innych roślin z kolei męskie pręciki z pyłkiem oraz żeński słupek występują w tym samym kwiecie. Co ciekawe, nawet jeżeli organy męskie i żeńskie znajdują się w jednym kwiecie, istnieje wiele mechanizmów zapobiegających samozapyleniu, chodzi bowiem o to, by zapylenie, a tym samym rozmnażanie, zachodziło pomiędzy różnymi osobnikami i aby zachodziły wymiana i krzyżowanie materiału genetycznego.

Istnieje jednak grupa roślin, u których kwestia płci jest podkreślona znacznie wyraźniej i u których, tak jak u ludzi, mamy do czynienia z całkowicie odrębnymi osobnikami żeńskimi i osobnikami męskimi. Roślinami takimi są pokrzywy zwyczajne (mówiąc nieco kolokwialnie, istnieje pokrzywa „pani" i pokrzywa „pan") czy chmiel, nasze rodzime pnącze z nadrzecznych lasów.

Co ciekawe, ewidentna rozdzielność płci występuje także u niektórych drzew, np. u wierzb: jedne z nich są osobnikami męskimi (kwiaty, tzw. bazie, przeważnie krótsze, okrąglejsze, pyłące), a inne żeńskimi (kwiaty często dłuższe, po zapylaniu wytwarzające nasiona, które wraz z puchem roznoszone są przez wiatr).

W Polsce występuje dwadzieścia kilka rodzimych gatunków wierzb, porastających lasy nadrzeczne (wierzba biała i wierzba krucha), tworzących łozowiska (wierzba szara, uszata i pięciopręcikowa) lub rosnących na torfowiskach i wysoko w górach w postaci malutkich krzewów bonzai (wierzba borówkolistna, czy tatrzańska wierzba żyłkowana).

Łacińska nazwa rodzaju wierzba brzmi *Salix*. Od tego właśnie łacińskiego określenia rodzaju wzięła swoją nazwę salicyna i kwas salicylowy, znajdujące się w korze i liściach wierzb, które pełnią funkcję substancji zabezpieczających przed zwierzętami roślinożernymi. Wyekstrahowanie tych związków w XIX w. dało przyczynek do powstania leków przeciwzapalnych i przeciwgorączkowych, w tym aspiryny.

eprasa.pl 0a823495aa

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Silne państwo



Nikt nie wie, jak się zakończy niepokojąca sprawa wyborów prezydenckich. Opozycja ćwiczy kilka scenariuszy, łącznie z doprowadzeniem do opróżnienia urzędu prezydenta, aby funkcję tę przejął marszałek Senatu. Koalicja rządowa, dziś jeszcze zgodna, podtrzymuje termin wyborów na dzień 28 czerwca, będzie więc musiała obronić legalność wyborów ustanowionych w drodze ustawy, gdyż walkę o wybory w terminie konstytucyjnym niestety przegrała. Dała się ograć opozycji, czemu przysłużył się Jarosław Gowin.

Jednak największym błędem Zjednoczonej Prawicy było zlekceważenie ostatnich wyborów do Senatu, w którym większość zdobyła opozycja, zamieniając izbę wyższą w centrum walki opozycji z sejmową większością, rządem i prezydentem. Senatem rządzi dziś Platforma Obywatelska. Jej szef Borys Budka wydaje polecenia marszałkowi Senatu Tomaszowi Grodzkiemu, a ten gorliwie je wykonuje, szukając dla siebie jeszcze większej trampoliny do politycznej kariery. Izba „refleksji" stała się narzędziem brutalnej walki politycznej, która może doprowadzić nawet do rozkładu państwa polskiego. Chaos, anarchia, destabilizacja w warunkach kryzysu gospodarczego mają w zamierzeniach opozycji wymusić polityczne przesilenie. Polacy mają powiedzieć „dość" i domagać się dopuszczenia opozycji do władzy, choćby tylko dla tzw. świętego spokoju. Sekundować temu będzie „zagranica", zwalczająca polski rząd na forum Unii Europejskiej.

To wszystko zmusza do refleksji nad izbą „refleksji". W przyszłości nie może to być miejsce politycznej walki, ale żeby tak było, senatorami nie mogą być partyjni nominaci. Państwo winno wypracować taką metodę doboru kandydatów na senatorów, a w przeszłości tych metod było wiele (m.in. majątek, pochodzenie, wykształcenie), żeby nie istniało uzależnienie senatora od partyjnej centrali. Senat RP, jeżeli ma nadal istnieć, winien się składać z ludzi reprezentujących wiele różnych środowisk, a głównym kryterium aspirowania do senatorskiego urzędu powinny być zasługi i dorobek dla Polski, środowiska lokalnego, naukowego, biznesowego itd., a więc autentyczne, potwierdzone dokonania zawodowe i twórcze oraz nienaganna postawa etyczno-moralna.

Nie wydaje mi się też słuszne wiązanie Senatu z ideą samorządową, a były takie koncepcje stworzenia „senackiej izby samorządowej". Tak samo jak Senat polska samorządność uległa dziś głębokiej destrukcji. Organy wykonawcze (wójt, burmistrz, prezydent, zarządy powiatów i województw) zyskały zbyt silne kompetencje, a organy uchwałodawcze, zatem i kontrolne (rada gminy, powiatu, sejmiki województw), straciły na znaczeniu.

Przykład kandydującego na urząd prezydenta RP prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego dowodzi, że może robić, co tylko chce. Nikt nie jest w stanie go rozliczyć z godzin pracy, za które pobiera wynagrodzenie, prowadząc równocześnie kampanię wyborczą. To on rozdziela pieniądze, także dla agentki Lange od LGBT. Prezydenci dużych miast mianowani przez PO stali się lokalnymi władcami na czele swoich księstw, choć dziś bardziej pasuje do nich określenie „kacykowie". Tak więc idea Senatu zorientowanego na problemy i rozwój samorządności jest dziś utopią.

Pandemia udowodniła ponadto, jak wielkie znaczenie dla bezpieczeństwa obywateli ma sprawne i silne państwo, scentralizowane i narodowe. I z takim właśnie państwem czołowi przedstawiciele samorządów w Polsce postanowili walczyć o wpływy i pieniądze, czego dowodem jest 21 postulatów z sierpnia ub.r. podpisanych w Gdańsku. Wśród tych postulatów znalazły się i te, które finansowanie z Unii Europejskiej chcą powiązać nie z państwem, ale z władzą samorządową. Landyzacja Polski, przypominająca niemiecką strukturę terytorialną, była od zawsze marzeniem Donalda Tuska. Warto przypomnieć jego postulaty zgłaszane na forum Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, bardzo podobne do późniejszych postulatów Ruchu Autonomii Śląska (własny parlament, skarb, rząd, a nawet wojsko).

Nietrudno sobie wyobrazić, jak chaos wywołany pozbawieniem Polski urzędującego prezydenta może zachęcić różnych regionalistów, autonomistów i separatystów, z których olbrzymia większość wywodzi się z samorządów, do działań osłabiających państwo polskie. Już 27 lat temu w Poznaniu Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie, Związek Górnośląski, Związek Podhalan i RAŚ, zawiązali Ligę Regionów wymierzoną w państwo „centralne".

Polska opozycja gotowa jest zniszczyć własne państwo, byleby upadł obecny znienawidzony przez nich rząd. Takie jej najwyraźniej postawiono zadanie. Tymczasem Polsce potrzebny jest silny prezydent wyposażony przez naród w atrybut suwerena. Jeżeli przyszła konstytucja rozszerzy kompetencje prezydenta, to oczekiwałbym, by były one podobne do uprawnień prezydenta USA, Francji, Rosji czy kanclerskich w Niemczech. Polska nie może sobie pozwolić na słabą władzę centralną.

eprasa.pl 0a823495aa

Kierownik KO



Jerzy Jachowicz

Potwierdza się moja obserwacja, że najważniejsze sprawy, decydujące o życiu wewnętrznym partii – niespodziewane kariery albo upadki – rozstrzygają się podczas luźnych pogawędek w ustronnych salkach restauracyjnych przy kuflu mrożonego piwa, lampce wina czy drinkach z mocniejszymi trunkami. Np. senator Stanisław Gawłowski, będący zwykle duszą towarzystwa, preferował palomę na bazie tequili.

Większość polityków ma swoje ulubione knajpki, w których czuje się swobodnie, zapominając, że czułe mikrofony oraz wścibskie kamery mogą być zainstalowane także poza pomieszczeniami sejmowymi. Kiedy już są po pierwszych łykach napojów wprowadzających w dobry nastrój, z ulgą rozpinają uciskające brzuch marynarki i oddają się snuciu opowieści o swoich kolegach partyjnych i układankach personalnych na szczytach ich ugrupowań. Nudy na pudy. W restauracji, w której obsługiwałem gości specjalnych, bujałem się już ponad dwa lata. Tego wieczoru oprócz wspomnianego już Gawłowskiego, który musiał wcześniej łyknąć coś dla kurażu, bo przywitał mnie: „Cześć, Dżordżik", byli Sławek Nitras, Robert Kropiwnicki, Marcin Kierwiński i Michaś Szczerba, czyli jak sam o sobie senator mówił: „Piątka Stasia, licząc mnie".

Dopiero po dwóch godzinach się zorientowałem, że nie włączyłem nagrywania. Kiedy powiedziałem to szefowi, wściekł się. Niemal chciał mnie wywalić na bruk. Udobruchał się dopiero, gdy usłyszał fragment nagrania z końcówki spotkania. Sławek: „Zwykłym świństwem było zmuszenie Małgosi, by samotnie ogłosiła wycofanie się". Marcin: „A wcześniej nie było chamstwem odbieranie Małgosi mikrofonu, choć pytania nie były do niego?". Robert: „Ośmiesza się, ale i partię. Coś bredzi o konstytucji". Michał: „Wczoraj się chwalił, że tylko dlatego, że jest liderem Koalicji Obywatelskiej, namówił Rafała Trzaskowskiego do startu".

„Taki z niego lider jak z parówki świder" – skwitował Stasio.

Dżordż

CO MNIE WZRUSZA

Moje spotkanie z Ojcem Świętym



Katarzyna Łaniewska

W tym roku obchodziliśmy 100. rocznicę urodzin św. Jana Pawła II. Mam osobiste wspomnienia z naszym Ojcem Świętym.

Byłam na pielgrzymce z moim przyjacielem księdzem i aktorem Kaziem Orzechowskim oraz grupą kolegów w Ziemi Świętej i w Rzymie. Ks. Kazimierz znał Karola Wojtyłę z Krakowa, jeszcze z teatru. Bardzo chcieliśmy się zobaczyć z papieżem. Pamiętam, byliśmy na szczycie Bazyliki św. Piotra. Wjechaliśmy windą, ale potem trzeba było już iść schodami. Dzielnie się wspinałam, mówiąc wiersz „Lokomotywa". A Ewka Domańska i Piotr Bajor, którzy roztaczali nade mną opiekę jako energiczną jeszcze wtedy staruszką, polewali mnie wodą z butelki. I tak dotarliśmy na taras. Były wspaniałe widoki. Nagle Kazio dostał wiadomość, że dzisiaj mamy spotkanie z Ojcem Świętym w Castel Gandolfo. Nastąpił odwrót biegiem ze świątyni do naszego miejsca zamieszkania u polskich zakonnic. Tam szybkie przygotowania. Mieliśmy ułożony program, który chcieliśmy wykonać. Miała być czytana poezja ks. Jana Twardowskiego. Ania Seniuk łączyła się przez pożyczony telefon z Warszawą, by jej przedyktowali, czy dobrze pamięta śmieszne pytania dzieci do Boga. Potem pamiętam jeszcze burzę, kupowanie kwiatów, autobus i zdenerwowanie.

Gdy przyjechaliśmy do Castel Gandolfo, wyszło słońce. Było dużo ludzi, nie tylko Polaków. Zasiedliśmy na ławkach. Na spotkanie z wiernymi Ojciec Święty szedł sam, powoli. Usiadł blisko nas, powiedział do nas parę słów. Kazio zapowiedział, że przygotowaliśmy program i zaprosił mnie przed mikrofon. Nie wiem, jak tam stanęłam. Zaczęłam mówić poezję napisaną przez Karola Wojtyłę, fragment poematu „Stanisław". Dołączyłam do tego „Modlitwę" z „Kwiatów polskich" Tuwima i zakończenie z „Wyzwolenia" Wyspiańskiego: „Daj nam poczucie siły i Polskę daj nam żywą". Dostałam brawa i usiadłam na ławce. Koledzy czytali poezję, Ania rozśmieszyła Ojca Świętego pytaniami.

Potem dano mi kwiaty, podeszłam do Ojca Świętego i zamarłam. Jan Paweł II trzymał moje ręce. Ja starałam się powiedzieć, jak bardzo go kocham i że takie piękne wiersze pisze. Ojciec Święty do mnie mówił. Mam naprawdę dobrą pamięć, ale proszę mi wierzyć – nie pamiętam, co mówił i czy mnie błogosławił. Mam takie wielkie zdjęcie w sypialni. Papież pochylony nade mną z troską na twarzy, a ja jakaś zadziwiona i chyba szczęśliwa. To spotkanie zostanie we mnie do końca życia.

eprasa.pl 0a823495aa

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Stowarzyszenie miernot



Aleksander Nalaskowski

Nawet nie wiem, kiedy nabrałem kompetencji profetycznych, a może to nie żaden profetyzm, lecz tylko wiek i doświadczenie. W każdym razie w przeciwieństwie do większości socjologów wymądrzających się w telewizji, którzy nie są w stanie przewidzieć żadnego zdarzenia ani procesu społecznego, umiejąc komentować tylko to, co wszyscy widzą, więc w przeciwieństwie do nich przewidziałem to, co nieuchronnie musiało nastąpić. Po prostu prorok.

Wiele tygodni temu, gdy pandemia ostro zagościła w naszym kraju, codzienne konferencje prasowo-informacyjne miał prof. Łukasz Szumowski. Mniej lub bardziej zmęczony, ale zawsze kompetentny i dobrze poinformowany pokazał, że jest najwłaściwszym człowiekiem na właściwym miejscu. Po którejś konferencji, gdy słupki zaufania wzrosły mu rekordowo, powiedziałem do małżonki, że teraz opozycja mu tego nie daruje i lada moment zacznie się atak i grillowanie ministra. Słowo stało się ciałem i mamy to, co mamy. Oczywiście zaczęła „Gazeta Wyborcza", której drzazgą w palcu i ością w gardle stało się to, że ktoś bez przyzwolenia Czerskiej jest w stanie urzec Polaków. Bo tam nadal chcą rozdawać takie certyfikaty. Zaczęła się ogromna akcja, zupełnie nieprzypadkowa i metodycznie prowadzona, aby skompromitować, obrzydzić Polakom profesora ministra, a tym samym pośrednio uderzyć w Andrzeja Dudę, bo przecież każdy pretekst dobry. Kłamstwa, pomówienia, manipulacje, przeinaczenia to stałe punkty w menu opozycji, której podobnie jak niektórym europosłom można by zarzucić działanie antypaństwowe w krystalicznej postaci, rzekłby w postaci podręcznikowej.

Miernota pokorna (cóż za rzadkość!) to najczęściej uczciwa prostota. Miernota ambitna to niebotyczne prostactwo

Zastanawiałem się, dlaczego tak się dzieje? Czy to tylko walka polityczna (a raczej polityczna nawalanka bez reguł i fair play), czy może coś innego. I myślę, że mamy tu do czynienia z zależnością. Ale o niej za chwilę.

Próbuję sobie przypomnieć, czy w opozycji są jakiekolwiek postaci znaczące, które w widoczny sposób wysferzyły się ponad przeciętność. Wynik tego przypominania wynosił zero. W opozycji mamy do czynienia wyłącznie z miernotami, ludźmi bez znaczących osiągnięć czy dorobku. Jej najnowszą emanacją jest Bosak i Hołownia. Nieco starszą emanacją jest Biedroń. Osoby mierne, nudne i tak odległe od jakiejkolwiek charyzmy czy indywidualności jak Pluton od Ziemi. Ale to zupełnie im nie przeszkadza ubiegać się o najwyższy urząd w państwie, bo demokracja niestety hołubi nijakość, kocha mdłość kompromisów i politpoprawne figury werbalne. W zdumienie wprawiają mnie komentatorzy polityczni, którzy takie kandydatury traktują całkiem serio, zamiast reagować na nie. Cóż...

Suma miernot nie może urodzić niczego wybitnego ani ważnego. Ale ma za to niepohamowane ambicje, aby zaistnieć, aby – chociażby kuchennymi schodami – stanąć na piedestale. Miernota pokorna (cóż za rzadkość!) to najczęściej uczciwa prostota. Miernota ambitna to niebotyczne prostactwo. I zrobiła mi się diagnoza opozycji.

Łukasz Szumowski okazał się wybitnym lekarzem i ministrem. Nadto doskonałym organizatorem i dowódcą w walce z niewidzialnym wrogiem. Tego żadna miernota od Grodzkiego przez Kosiniaka-Kamysza po Budkę nie zniesie. Przy kimś takim przeciętność i intelektualne niziny są bowiem jeszcze bardziej widoczne. Zatem jeśli jest ktoś nietuzinkowy, obdarzony charyzmą, skuteczny i przekonujący, to trzeba go zgnoić, dopasować do szablonu miernot, nazwać malwersantem, aferzystą, cwaniakiem, molestantem, milionerem (czego większość nie zniesie) albo faszystką, publicystą z „Der Stürmera", führerem z Żoliborza. Cokolwiek by powiedział, jakiegokolwiek dobra by przysporzył, jakimkolwiek by był patriotą, nie ma to znaczenia. W kampanii przeciwko indywidualności miernota jest w stanie poświęcić zdrowie i dobro Polaków, polską rację stanu, skuteczną walkę z kryzysem. Przepustką do udziału w obecnej opozycji jest zatem czytelna przeciętność, nijakość i ambicja węża, aby stać się rumakiem.

I tak właśnie przewidziałem nagonkę na Szumowskiego. Marnych przeciwników trzeba oszczędzać, bo są wygodni i niegroźni. Wybitnych przeciwników trzeba eliminować i niszczyć. W kłamstwa, manipulacje i całą tę ohydę zawsze jakiś procent uwierzy. Zatem próbować warto. A z ludzkimi kompleksami nie wygra się żadnymi argumentami. W moim, bardzo subiektywnym, oglądzie, dalekim zapewne od wysublimowanych i szczegółowych analiz, widzę dwie wybitne postaci wśród ministrów. To Szumowski właśnie i Ardanowski. Obu w różnym stopniu próbuje kąsać opozycja, która jest wszak niczym innym jak stowarzyszeniem ambitnych ponad wszelką miarę przeciętniaków, którzy nikomu, kto coś naprawdę wie i potrafi, kogo mogą ludzie bezwarunkowo akceptować, nie przepuści.

eprasa.pl 0a823495aa

PRZEZ ŚWIETLIK

Śląskie taczki



Wiktor Świetlik

Ludwik Wittgenstein zauważył, że logika nigdy nie jest w stanie człowieka zaskoczyć. Polityka z logiką nie ma wiele wspólnego, więc zaskoczyć potrafi, i jest to chyba jej jedyna żelazna reguła. Niestety dowieść jej potrafią także ci, od których umiarkowanie tego oczekujemy. W zeszłym tygodniu dowody złożyli w jednej sprawie zgodnie – prezydent, rząd, a także mający status udzielnego księstwa resort sprawiedliwości.

Wszyscy nasi rządzący wespół w zespół przygotowali, ogłosili, a także wdrożyli pakiety chroniące Ślązaków i medyków przed społeczną nienawiścią. A także z powodu ataków tą nienawiścią powodowanych wyrazili dogłębne ubolewanie, przeprosiny, żal. Wszystko to było poruszające i łapało za serce. Poza jednym drobiazgiem. A gdzież ta nienawiść? Tam, gdzie wszystko inne – w internecie. Odkryły ją media totalnej opozycji już dawno. Niemal jak tylko zaczęło się koronaprzekleństwo, mogliśmy się dowiedzieć, że dzikie polactwo chce wyrzucać z domu lekarki, napada na sanitariuszy, ze sklepów wyrzuca.

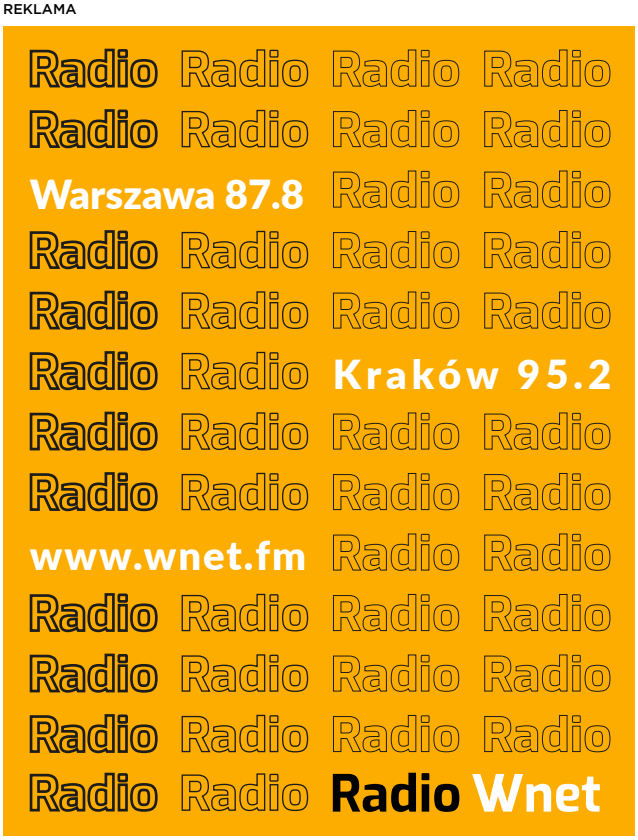
Trochę to dziwne, że ludzie nagle zaczęli atakować innych ludzi, którzy ratują im życie, ale czegóż oczekiwać po rodzinach szmalcowników, a przecież wychowankowie jedynej słusznej gazety za taką „jedną wielką szmalcowniczą rodzinę" całą Polskę uważają. Więc szybko posypały się porównania. Gorzej było z nazwiskami. Żaden z atakowanych medyków nie wypowiadał się pod nazwiskiem, a historie były cokolwiek mętne.

Potem zaczęło się ze Śląskiem. Ponieważ choróbsko rozprzestrzeniło się w kopalniach, minister zdrowia czy inni urzędnicy opisywali stan faktyczny, mówiąc, że epidemia się zmniejsza poza Śląskiem. Totalniacy z miejsca to podłapali, pisząc o tym, że to spowodowało falę „hejtu na Ślązaków" ze strony innych Polaków. W jednej z gazet tygodniowych – nie będę pisał, że właściciel niemiecki, bo przecież bez związku i nie wypada – opisano, jaka to fala nienawiści się przetacza przez polski internet. Potem chciałem to zrewidować, ale podawane frazy znalazłem tylko przy okazji... cytowania wspomnianego tekstu z owego tygodnika. To wystarczyło – zupełnie bez związku – by Ruch Autonomii Śląska (zupełnie nie antypolski i nie proniemiecki) ogłosił, że będzie dokumentować tę straszliwą społeczną agresję wobec Ślązaków. Dokumentacja polega na upublicznieniu kilku chamskich anonimów internetowych, które śmiało mógł napisać jeden pijak, redaktor z gazety albo działacz RAŚ.

Co nasze nieszczęsne władze, wrabiane w całą tę nieistniejącą animozję społeczną, zrobiły? To, co podpowiada „logika polityczna", czyli brak logiki. Przeprosiły ustami prezydenta, a w imieniu rządu zabrały się do wdrażania odpowiednich rozwiązań antystalkingowych. W ten sposób wszyscy już tak zasuwają w walce z antyśląskością i antymedycznością z taczkami, że nie tylko te taczki są puste, lecz nawet jakby chcieli, to nie ma ich czym ładować.

Te ataki na medyków, podobnie jak rzekoma nienawiść do Śląska, to margines marginesu. Tego na miarę socjologiczną, nie mówiąc o politycznej, w Polsce po prostu nie ma. Jest za to paru – niestety wpływowych – typów spod ciemnej gwiazdy, a czasem i spod całego unijnego gwiazdozbioru, którzy chcą zniszczyć polskie społeczeństwo, konfliktując kogo się da z sobą – w tym grupy zawodowe i poszczególne regiony. Może w tej sytuacji trzeba było ogłoszeniem walki z fikcyjnym zjawiskiem ich zneutralizować. Ale generalnie nie warto tańczyć pod ich melodię, a pod swoją. I o to, zarówno w okresie przed-, jak i powyborczym, gorąco proszę, a nawet nalegam.

REKLAMA



42/0520/F

eprasa.pl 0a823495aa

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***



TRENDY I OWĘDY

Gra na chaos

Podmiankowy kandydat KO na prezydenta buksuje kampanijnie

Ideę unoszącą się nad naradami Koalicji Obywatelskiej świetnie sprecyzowała siła intelektualna tego ugrupowania, posłanka Izabela Leszczyna. Podczas wymazywania z kart wyborczych „prawdziwej prezydent" i „pewnej przyszłości" w jednym z wywiadów obwieściła: „Jestem przekonana, że polska polityka, także komentatorzy, chyba nie są gotowi na Małgorzatę Kidawę-Błońską.



Ryszard Makowski

Nie jesteśmy gotowi na polityka zupełnie uczciwego...". Ten sposób zaanonsowania dublera Rafała Trzaskowskiego był z jednej strony trochę niezręczny, a z drugiej stał się ważnym komunikatem dla żelaznego elektoratu Platformy. Nic dziwnego, że wicemarszałek nie miała poważania we własnych szeregach. Owszem przytrafiało jej się sporo gaf, ale nie ciągnął się za nią ogon afer czy sprzeniewierzeń tak szanowanych przez zwolenników tego ugrupowania.

Kandydat dubler Rafał Trzaskowski zaprezentował inny styl. W ramach platformerskiego umiłowania wolności słowa z błyskiem w oku zapowiedział likwidację TVP Info i „Wiadomości". Potem wyprzytykał się z entuzjazmu. Hasło wyborcze: „Wszyscy z PiS będą siedzieć", jest już trochę zgrane. I on, i jego otoczenie po tej nominacji wyglądają jak sflaczały balon. Jedynie dobrze nadymany jest marszałek Senatu. Z innymi rozmawia na zasadzie: mistrz i uczeń. Rzeczywiście jest mistrzem potęgowania chaosu. Robi wszystko, by zniszczyć demokrację. Gorzej, że robi to całkiem bezkarnie.

Miejmy nadzieję, że ci z PO też kiedyś będą siedzieć. Bo oni na to zasługują.

eprasa.pl 0a823495aa

***Michał Korsun prezentuje:* Spurek podjadek**



***Wycinki z* przeszłości**

Zdjęcia i krótkie filmy z ulubionymi psami i kotami zalewają dziś internet, wymieniamy się takimi obrazami przez telefony. Ale przeglądając „Niwę Polską" z 1910 r., zobaczymy, że ta fascynacja to wcale nie taka nowość. Równo 110 lat temu zwierzaki domowe też dawały ludziom radość. Autor podpisany A. Kuprin notował:

„Mam teraz w domu śliczną psinę – czarnego pudelka. Wabi się »łajdak«. Nazwano go tak wcale nie dlatego, aby obrazić jego psią godność, ale dlatego, że w okresie dostawania zębów gryzł nóżki stołków i stolików, żuł prastare portrety i wypluwał je w brzydkim i oślinionym stanie, wbiegał jak oszalały do kurnika, wypędzał stamtąd wszelkie ptactwo i szczekał na nie głośno. Dzięki jego »łajdactwu« wszystkie kury biegały jak powariowane po dziedzińcu, gdakały i gubiły upierzenie.

Raz nawet urządził nam wcale niemiłą niespodziankę. Wpadł do pokoju podczas domowego koncertu i tak podle zaczął akompaniować słynnemu skrzypkowi, że ten wyniósł się od nas raz na zawsze i wątpliwe, czy kiedykolwiek jeszcze zajrzy.

Dziś rano dałem mu kawałek chleba z masłem, ale pudelek ostrożnie, i jak się zdaje tylko przez grzeczność, zlizał masło i znów ułożył się u mych nóg, patrząc mi w oczy pytającymi oczyma. Wiem dobrze, że marzy mu się wycieczka, wyjście na ulicę, przejażdżka dorożką".

Kto ma psa, ten wie, że psie marzenia nic a nic się nie zmieniły.

(mk)



Na Dzień Matki, na Dzień Dziecka

Wtedy i teraz...

Dawno odeszłe, w zaświatach rozproszone
Te nasze matki mateczki mamy
Wciąż idą z nami
Nawet gdyśmy dorosłe, już siwe ich dzieci
Na dalekich kilometrach naszego życia
– One i wtedy
Z nami blisko



***Leszek* Długosz**

Zjawiają się
Jak elektryczność
Jak jaskółki do piskląt
Jak suki do szczeniąt
Gdy tylko posłyszą:
„Ach mamo gdybyś wiedziała..."
Tu, z tego świata wypowiedziane bezgłośnie
Gdy: „nie możemy wytrzymać"
I jak się powiada: „musimy musimy pęknąć
Przed kimś się wyżalić..."
I one to usłyszą?

Zza horyzontu
Zza pagórków niebieskich
Zbiegają momentalnie
Chwytają nas za rękę
W całym kosmosie prócz Boga i nas dwojga
Nikt się nie domyśla że z nami
Wciąż aż tak

Dawno odeszłe, rozproszone w zaświatach
Te nasze matki mateczki mamy
– One to wciąż potrafią

Lecz jakże często dopiero wtedy
– Po latach i tak p o c z a s i e
Dopiero wtedy
Mogą się doczekać
Usłyszeć
– Te proste słowa czułości
I przywiązania
Których wcześniej nie zdążyliśmy
Nie chcieliśmy, czy tylko
Nie umieliśmy im
Wtedy powiedzieć

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	**75** zł	**139** zł	**245** zł
wSIECI HISTORII	–	**29** zł (3 wydania)	**54** zł (6 wydań)
pakiet **SIECI** i **wSIECI HISTORII**	–	**158** zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	**280** zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 0a823495aa

OD A DO ZYBERTOWICZA

Wielka nieobecna

Napisana przed pandemią, lekko zaktualizowana po jej wybuchu ukazała się w kwietniu tego roku. „W Polsce, czyli wszędzie. Rzecz o upadku i przyszłości świata" – kolejna książka Edwina Bendyka, dziennikarza i publicysty tygodnika „Polityka". Bendyk od lat zajmuje się przyszłością. Studiuje poważne książki dobrych badaczy, a potem prowadzi wywód tak, by różnym koncepcjom dać szansę na „dialogowanie" w ramach swoich dociekań.

CYWILIZACJA NA KRAWĘDZI

Cóż wynika z książek tych dobrych badaczy? Niemal same niedobre rzeczy: cywilizacja ludzka znajduje się blisko upadku, stary świat się wyczerpał, drastyczna zmiana zda się nieuchronna i niemal zupełnie nie wiadomo, co potem...

Deficyt energii niezbędnej do podtrzymania wzrostu gospodarczego, destabilizacja klimatu, nierówności i niepokoje społeczne, rozpad więzi społecznych – te wszystkie niedobre zjawiska łączy motyw w książce się powtarzający, choć i tak, moim zdaniem, jeszcze niedostatecznie wyeksplorowany: złożoność. Zbyt wysoka jest złożoność organizacji społecznej, by starczyło nam na to energii oraz – to autor chyba zbyt słabo uwypukla – byśmy potrafili ją poznawczo ogarnąć.

KSIĄŻKA O CZYMŚ INNYM

To ważna, potrzebna, niepowierzchowna i godna debaty książka. Po krótkim namyśle dodam, że w istocie jest to książka o czymś innym, niż autor sobie to wyobraża. A mianowicie o próbie samobójstwa, jaką właśnie podejmuje nasza cywilizacja. A jest tego tak samo bodaj nieświadoma jak Bendyk faktycznego przesłania swej książki.

Bendyk próbuje się trochę pastwić (prawie bez popadania w obsesyjny antypisizm) nad polityką dobrej zmiany,



Czy to poprawność polityczna powoduje, że ten kierunek refleksji wybitnego polskiego filozofa Leszka Kołakowskiego nie jest dziś podejmowany?

ale nie twierdzi, że dzisiejsza opozycja polityczna w Polsce jest zdolna sformułować jakąś realistyczną wizję radzenia sobie z nadchodzącym cywilizacyjnym szokiem.

ARTYŚCI – POMOCY!

Cały wywód książki oscyluje między solidnym, godnym rzetelnego badacza, realizmem, sięganiem do głębokich źródeł problemu a z trudem powstrzymywaną chęcią zawierzenia jakiejś utopii. Być może jest Bendyk analitykiem już dostatecznie dojrzałym, by rozumieć, że to właśnie taka oscylacja – psychicznie wyczerpująca, jak każda niestabilność – jest niezbędna, by pole poszukiwań pozostało otwarte.

Autor nie ulega defetystycznej ekscytacji wizjami (w dużej mierze uzasadnionymi) nieuchronnej apokalipsy. Szuka rozwiązań. Gdzie? Może to kogoś zadziwi, ale raczej nie w myśleniu naukowym. Szuka w sztuce i w społecznym aktywizmie. Przywołuje (komentowany na łamach „Sieci", nr 1–2/2020, przez moją żonę Katarzynę) noblowski wykład Olgi Tokarczuk, ufając, że wyobraźnia artystów jest w stanie pomóc nam ogarnąć świat w jego całościowości. Nadzieje wiąże też z ruchami miejskimi jako miejscami, gdzie wyłania się nowa podmiotowość zbiorowa.

RELIGIA

Ale wśród poszukiwanych przez Bendyka kandydatek/ów na podmiot zbawczy, na siły umiejące przeprowadzić ludzkość przez odmęty (Morza Czerwonego?) nadchodzącego załamania się społecznego ładu, zabrakło pewnej, obecnej z ludzkością od samego jej zarania ważnej siły. Zabrakło religii. Tymczasem szukając rozwiązań, warto sięgać po zasoby nie tylko sztuki, lecz całej ludzkiej kultury. Czyli także tradycji, w tym zwłaszcza tradycji religijnych.

W roku 1973 filozof Leszek Kołakowski w eseju „Odwet *sacrum* w kulturze świeckiej", pisze: „Sens [...] pochodzi tylko z *sacrum*, ponieważ nie wytwarza go żadne badanie empiryczne. Utopia doskonałej autonomii człowieka i nadzieja na jego doskonalenie się nieskończone są, być może, najbardziej skutecznymi narzędziami samobójstwa, jakie nasza kultura wynalazła". Czy to poprawność polityczna powoduje, że ten kierunek refleksji wybitnego polskiego filozofa nie jest dziś podejmowany?

A gdyby zastosować wobec Edwina Bendyka i całej formacji kulturowej osób wobec religii niechętnych – ba, ślepych na nią – odrobinę psychologizowania, to owo *wyparcie* religii z pola poszukiwań rozwiązań kryzysu cywilizacji czegóż może być świadectwem? Może lęku; przed czym? Jakie miękkie podbrzusze lewicowo-liberalnego myślenia się tu odsłania? Tak, jest o czym dyskutować.

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl 0a823495aa

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW

SIECI

wSIECI HISTORII



100 książek w prezencie

Piękna książka o polskiej potrzebie wolności

ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

tel. 22 616 15 70 | prenumerata@fratria.pl | www.wsieciprawdy.pl/prenumerata



ZAMÓW ROCZNĄ PRENUMERATĘ PAKIETU:

tygodnika SIECI i magazynu wSIECI HISTORII za 280 zł,
a książkę **Słynne ucieczki Polaków** otrzymasz **GRATIS**!

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.

eprasa.pl 0a823495aa

Forum wGospodarce.pl

II edycja projektu Grupy Medialnej Fratria

Platforma wymiany doświadczeń dotyczących budowy nowego ładu gospodarczego i lepszego zabezpieczenia strategicznych interesów Polski po epidemii oraz roli dużych firm w wyjściu z kryzysu gospodarczego

- **Zainicjujemy dialog** między największymi przedsiębiorstwami inwestującymi na polskim rynku, ekspertami a administracją.
- **Podsumujemy** negatywne skutki oddziaływania koronawirusa na naszą gospodarkę.
- **Przeanalizujemy** możliwe scenariusze powrotu na ścieżkę rozwoju.
- **Zaprezentujemy** znaczenie obecności największych marek w Polsce.

Więcej informacji w dedykowanej zakładce na:

www.wgospodarce.pl

PATRONAT HONOROWY:

Ministerstwo Cyfryzacji

Minister Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej
PATRONAT HONOROWY

Ministerstwo Rozwoju

Ministerstwo Zdrowia
Patronat Honorowy Ministra Zdrowia

PARTNERZY GŁÓWNI:

allegro

Coca-Cola

PHILIP MORRIS POLSKA

PARTNERZY WSPIERAJĄCY:

AstraZeneca

Deloitte.

emitel

JTI

NOVARTIS

STRABAG

VELUX

eprasa.pl 0a823495aa

PLANSZÓWKI na Dzień Dziecka

Partner dodatku TAURON

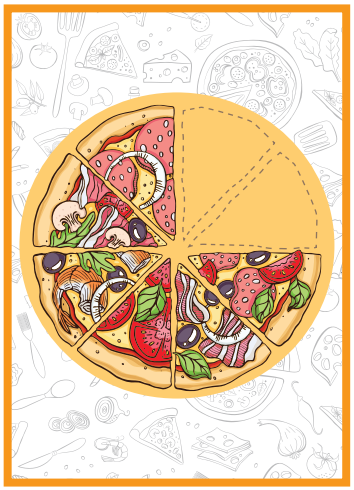
Drodzy Czytelnicy tygodnika Sieci!
Mamy Dzień Dziecka inny niż zwykle, ale nic nie stoi na przeszkodzie, żeby się dobrze bawić w rodzinnym gronie. Przygotowaliśmy dla Was dwie karcianki, które umilą Wam to cudowne święto.

Ponieważ wyzwaniem jest pozostawanie w domu z dziećmi i dodatkowo wypełnianie szkolnych obowiązków, postawiliśmy na gry edukacyjne:

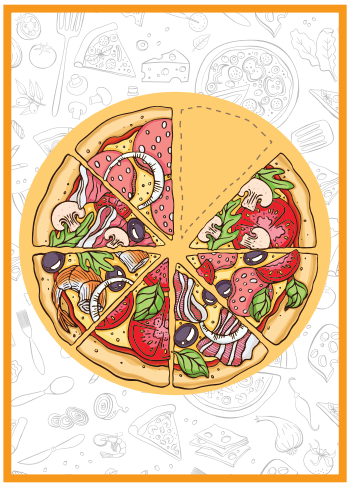
- **PIZZOWY PIOTRUŚ** do ćwiczenia ułamków (dla dzieci w wieku szkolnym)
- **DOMINO RYCERSKIE** z ciekawostkami o rycerzach (dla przedszkolaków)

To mądre i proste gry dla całej rodziny, które uczą przez zabawę. Grajcie i cieszcie się sobą – zawsze, nie tylko od święta!

Wspaniałego Dnia Dziecka życzy redakcja tygodnika Sieci

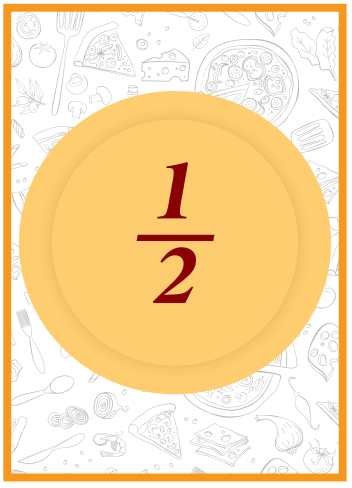


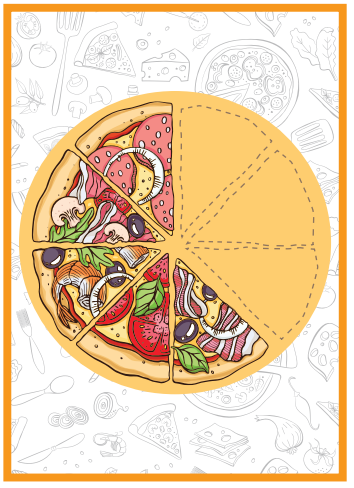








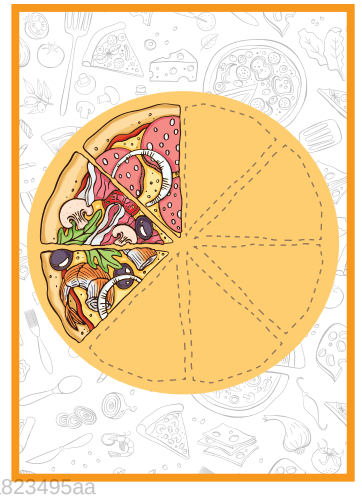














eprasa.pl 0a823495aa



TAURON














eprasa.pl 0a823495aa

Pizzowy Piotruś – jak grać?

W talii jest 25 kart:

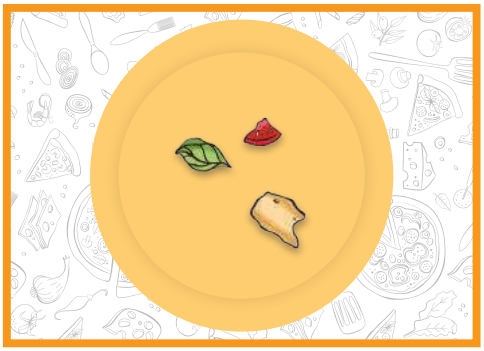
- 12 par z pasującymi do siebie obrazkami, np. ułamek 1/2 i połowa pizzy na talerzu
- 1 karta z Pizzowym Piotrusiem, czyli pustym talerzem po pizzy

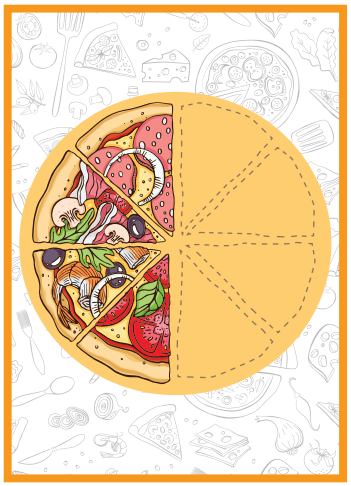
Przejrzyjcie karty, żeby wyodrębnić pary. *Uwaga! Niektóre obrazki się powtarzają, bo pasują do nich 2 ułamki, np. pół pizzy to 1/2 i 4/8.*

Celem gry jest kompletowanie i wykładanie par tak, żeby nie pozostać z Pizzowym Piotrusiem.

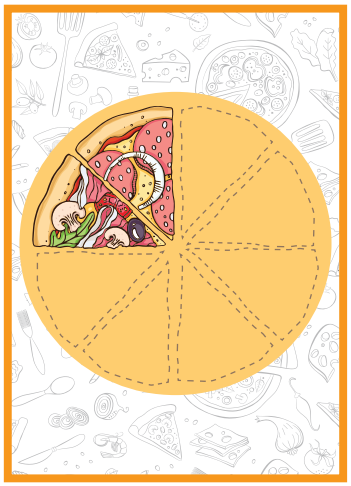
Rozpoczynamy grę!

1. Potasujcie i rozdajcie karty.
2. Każdy gracz zaczyna od sprawdzenia, czy ma wśród swoich kart jakieś pary. Jeśli tak, wykłada je na stół, a pozostali gracze sprawdzają, czy wszystko się zgadza.
3. Teraz zaczyna się prawdziwa gra.
4. Gracze sprawdzają, kto ma w ręce najwięcej kart. Gracz siedzący na prawo od rekordzisty wyciąga od niego jedną z kart i jeśli w ten sposób skompletował parę, wykłada ją na stół.
5. Teraz kolejny gracz wyciąga kartę od poprzednika i powtarza czynności.
6. Gra toczy się w kółko.
7. Wygrywa ten gracz, który pierwszy pozbył się wszystkich kart, przegrywa ten, który pozostał z Pizzowym Piotrusiem.

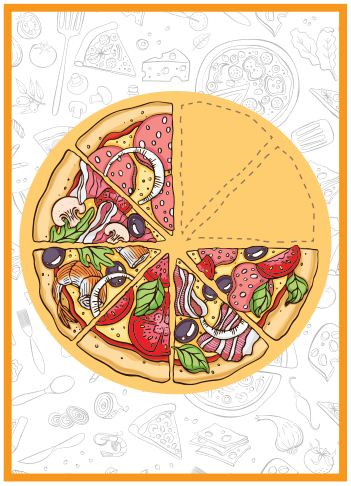




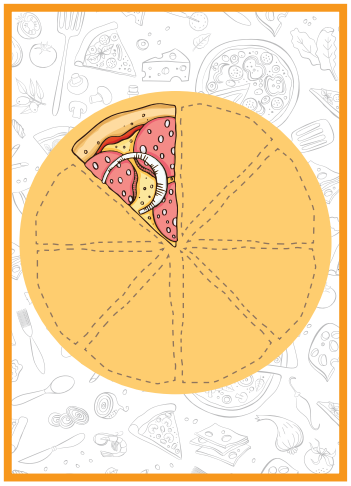




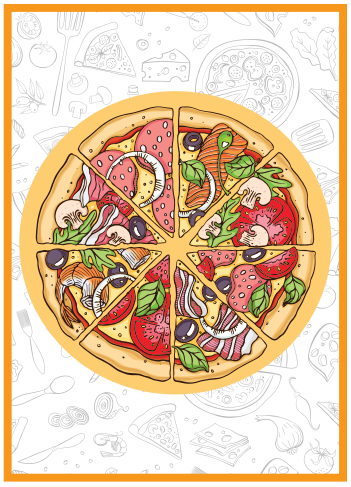




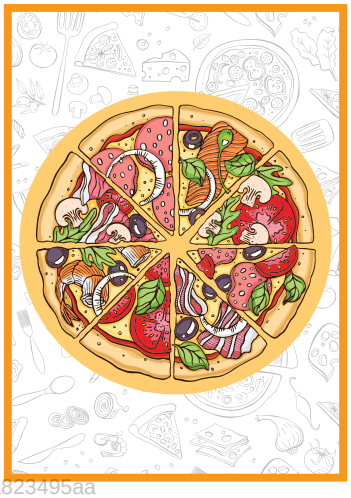














eprasa.pl 0a823495aa



TAURON



TAURON TAURON TAURON TAURON



TAURON TAURON TAURON TAURON



TAURON TAURON TAURON TAURON



eprasa.pl 0a823495aa

DOMINO RYCERSKIE | Zagraj w domino – poznaj średniowiecznego rycerza

Rycerz walczył mieczem, więc określano go mianem „człowieka miecza”. Przestrzegał **kodeksu rycerskiego**: był dzielny, wierny panu, bronił wiary chrześcijańskiej, dbał o niewiasty i dotrzymywał danego słowa. Najsłynniejszym polskim rycerzem był **Zawisza Czarny**. Wspominamy o nim w powiedzeniu „polegać jak na Zawiszy”.



Domino rycerskie – jak grać?

Gra składa się z 28 kart – na każdej karcie są 2 obrazki.
Celem gry jest jak najszybsze pozbycie się wszystkich swoich kart przez dołożenie ich w odpowiednie miejsca dominowego węża.

Rozpoczynamy grę!

1. W grze biorą udział dwie, trzy lub cztery osoby.
2. Karty domina trzymamy obrazkami do dołu, tasujemy je i rozdajemy każdemu z graczy maksymalnie 7 kart (w przypadku czterech graczy rozdajemy mniej kart, np. po 5).
3. Gracze NIE pokazują sobie nawzajem swoich kart.
4. Z nierozdanych kart tworzymy stosik (obrazkami do dołu) i zostawiamy go na stole. Z niego gracze będą dobierać karty.
5. Rozpoczyna najmłodszy gracz i wykłada jedną ze swoich kart na stół.
6. Kolejny gracz dokłada jedną ze swoich kart tak, żeby stykające się pola miały takie same obrazki.
7. Jeśli kolejny gracz nie posiada karty, którą mógłby dołożyć (żaden z obrazków nie pasuje do początku lub końca dominowego węża), dobiera kartę ze stosiku na stole.
8. Można grać na 2 sposoby:
   1. gracz dobiera tylko jedną kartę i: albo dokłada ją do węża, albo z nią zostaje i ruch rozpoczyna kolejny gracz,
   2. gracz dobiera karty do skutku, czyli aż natrafi na kartę z obrazkiem pasującym do początku lub końca węża i dołoży ją w odpowiednie miejsce lub do wyczerpania kart na stosiku. Wtedy ruch rozpoczyna kolejny gracz.
9. Wygrywa gracz, który pierwszy wyłoży wszystkie posiadane karty.

Pomysł i adaptacja gry – Kinga Sułot | Opracowanie graficzne – Kasia Czyżewska
Grafiki – Shutterstock

eprasa.pl 0a823495aa

Tak widzimy przyszłość – pełną zielonej energii





eprasa.pl 0a823495aa

Rycerze sprawdzali się podczas **turniejów rycerskich**. Walczyli na koniach, które musiały być niezwykle silne, bo dźwigały rycerza w zbroi ważącej 20–30 kilogramów. Rycerzami byli mężczyźni, ale znamy również kobietę rycerza, czyli Joannę d'Arc. Żeby zostać rycerzem, chłopiec w wieku siedmiu lat trafiał na służbę jako **paź**.

Gdy ukończył 14 lat, zostawał **giermkiem** i towarzyszył rycerzowi na wojnie, pomagał mu nosić broń i zakładać zbroję. Giermek uczył się władać bronią, jeździć konno i czasem sam walczył u boku rycerza. Wreszcie był **pasowany na rycerza** i otrzymywał od pana miecz, ostrogi i pas rycerski.



eprasa.pl 0a823495aa

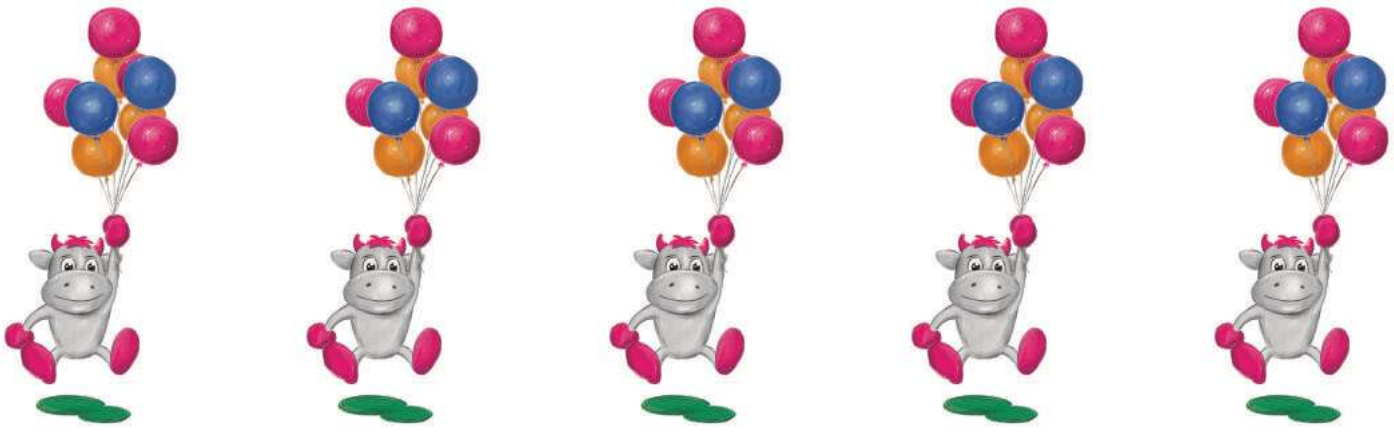
Tak widzimy przyszłość – pełną zielonej energii



TAURON



TAURON



TAURON



eprasa.pl/0a823495aa